

Nr 1-2 (84-85)

2021



ISSN 1732-1069



CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM

NASZ MISTRZ

Szczęśliwy, kto dokonał pięknej podróży. Niemal pół tysiąca lat temu tymi słowami francuski poeta Joachim du Bellay otworzył swój sonet, a potem umieścił go w zbiorze „Les Regrets” – „Żale”. W przedziwny sposób wpisuje się on w pełną smutku i zadumy uroczystość, dla której tu przybyliśmy. Bo jeśli żal za przyjacielem, nauczycielem, mistrzem przepaja nasze uczucia, nasze spojrzenia i myśli, to przecież nie sposób oprzeć się spostrzeżeniu, że jak mało kto On właśnie dokonał pięknej podróży. Jego życie było piękną podróżą, przez życie podróżował w sposób pełen piękna, emanującego od niego niczym światło na wszystkich czerpiących radość i głębokie przeżycie z bycia z Nim, słuchania Go, uczenia się od Niego, rozmawiania z Nim, oglądania prowadzonych przez Niego spektakli teatralnych, uczestniczenia w literackich spotkaniach, które organizował i prowadził, czytania tomików poezji i periodyków, które redagował, wreszcie czytania i słuchania poezji, którą On kreślił nieustannie przez kilkadziesiąt lat życia tak niesłychanie twórczego, że kiedy nieco przycichnie najgłębszy żal po Nim, to zapewne będzie pierwsze pytanie, jakie wielu z nas będzie sobie zadawać: Jak jest możliwe, aby życie jednego człowieka było tak piękną podróżą, było nieustannym tworzeniem piękna i nieegoistycznym, niesamolubnym, a było tworzeniem i rozdawaniem przez Ireneusza piękna wszystkim, którzy przychodzili i chcieli. A jakże wielu z tych, którzy nie chcieli, potrafił namówić, aby przyszli? Potrafił ukazać piękno metafory i ubrać ją we frazę najwłaściwszą, potrafił pokazać nawet temu, kto nie chciał, że w tym też jest piękno, tyle że dotąd ukryte, a on – Mistrz – wydobędzie je i ukáže. Bo Ireneusz Krzysztof Szmidt był Mistrzem, był tym, którego Dante Alighieri nazywa „il miglior fabbro” i jeżeli opuścił nas i gdzieś – gdziekolwiek – teraz przebywa, to zapewne w beczelnej krainie poetów, teraz mogąc rozmówić się z Arnautem Danielem, Juliuszem Słowackim czy Williamem Shakespearem, któremu być może zasugeruje „Odpowiedź na pytanie Hamleta”. Opuścił nas, odszedł od nas Mistrz. Strata nasza jest niepowetowana, żal wielki, ale tym większy jest nasz podziw dla piękna, jakie On – nasz Mistrz – przez całe życie rozdawał, podziw dla uporu, z jakim to czynił, podziw dla wiary, jaką miał nieustannie, że każdy jest na piękno słowa wrażliwy.

Ireneuszu, niech dane mi będzie w imieniu wszystkich, którzy Cię znali, dla których tworzyłeś, których uczyłeś, których prowadziłeś krętymi ścieżkami poezji, wyrazić nasz najgłębszy żal i smutek, ale też podziękować Ci za całe piękno, które od Ciebie otrzymaliśmy. Wiele z Ciebie tu zostanie. Dokonałeś, Mistrzu, pięknej podróży.

Krzysztof Ansilewski (Jerzy Alski)
w imieniu członków Związku Literatów Polskich



Fot. Kazimierz Ligocki

4 maja 2021 r. zmarł Ireneusz Krzysztof Szmidt

Urodził się 16 IX 1935 r. w Zgierzu. Od 1954 r. mieszkał w Szczecinie, gdzie studiował na Politechnice Szczecińskiej. Jednak skończył studia w Szkole Teatralnej w Warszawie, bo teatr stał się jego pasją i zawodem. W latach 60. i 70. był jednym z najważniejszych twórców młodzieżowego teatru alternatywnego w Polsce.

Literacko debiutował jako licealista na łamach łódzkich „Odgłosów”, a pierwszy tomik wierszy wydał w 1961 r. Za tom „Ludzkie pojęcie” (2005) otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki.

Od 1991 r. związał się z Gorzowem. Był prezesem Oddziału Związku Literatów Polskich, redaktorem naczelnym „Pegaza Lubuskiego”, wydawcą ponad stu książek literackich. Odznaczony najwyższymi medalami: Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” i wieloma innymi.

Pochowany został w Alei Zasłużonych na gorzowskim cmentarzu, kwatery 48B, rząd 1, miejsce 39.

W ZASTĘPSTWIE

Podjęłam się pełnienia funkcji redaktora naczelnego „Pegaza Lubuskiego” w zastępstwie zmarłego męża, Ireneusza Krzysztofa Szmida. To on w 2003 roku umyślił sobie pismo literackie dla Gorzowa. Już nie żyli ci, którzy tworzyli podwaliny literackiego Gorzowa: Papusza, Włodzimierz Korsak, Zdzisław Morawski, tylko cztery osoby należały do Związku Literatów Polskich, ruch literacki był słabo widoczny. Swój felieton inauguracyjny Irek rozpoczął w stylu dość pompacyjnym: *Podajemy kolejną w Gorzowie próbę osiodłania skrzydlatego rumaka, skutecznego środka lokomocji dla ludzi, co wybierają się na Parnas. Nie ma na świecie środowiska literackiego, które nie marzyłoby o własnym piśmie. Gorzowski „Pegaz” [...] ma szansę stać się tak długo oczekiwanym pismem literackim. Czas pokaże, czy starczy nam sił, aktywności i tekstów gotowych do druku.*

Od początku uczestniczyłam w pracy nad kolejnymi numerami pisma. Pamiętam, jak mój mąż wydzwaniał do wszystkich piszących, aby dali coś do druku. W pierwszym numerze byli autorzy już z pewnym dorobkiem: Jan Gross, Tadeusz Szyfer, Ludwik Lipnicki, Stanisława Plewińska, Maria Przybylak, Barbara Trawińska, ale także wtedy młodzi: Agnieszka Moskaluk, Roman Habdas, Aldona Robak, Joanna Ziemińska-Kurek. Dziś prawie wszyscy „z dorobkiem”, łącznie z redaktorem naczelnym, już nie żyją. Ich miejsce zajęli wtedy młodzi, a tym po pięćdziesiąt lat jeszcze młodszy. W swojej ostatniej książce, w almanachu „Literaci w Gorzowie pod skrzydłami Pegaza”, Ireneusz Krzysztof Szmida zamieścił sylwetki 68 autorów z dorobkiem książkowym. Wszyscy oni skupieni byli w kręgu „Pegaza Lubuskiego”, choć tylko 43 było lub jest członkami ZLP.

To właśnie Ireneusz Szmida doprowadził do utworzenia w Gorzowie w 2004 r. Oddziału Związku Literatów Polskich. Jemu zawsze bardzo zależało, aby literackie środowisko było skonsolidowane, aby było widoczne w kulturalnym pejzażu Gorzowa. Funkcję prezesa tego Oddziału pełnił do końca życia. Ale „Pegaz” oddawał wszystkim, którzy chcieli z czytelnikami dzielić się swoimi przeżyciami i przemyśleniami ubranymi w literacką formę. Spośród blisko 400 publikujących w „Pegazie” pochodzą autorzy 97 książek wydanych przez Ireneusza Szmida w „Bibliotece Pegaza Lubuskiego”. To on z każdym z autorów pracował nad tekstami przesłanymi do „Pegaza”, a potem mobilizował do wydania ich w książce. Nad każdą książką z każdym autorem pracował długo i sumiennie. Bo każda książka spod jego ręki musiała być dobra.

Choroba Irka nie pozwoliła mu na przygotowanie numeru w 2021 r. Oddajemy więc czytelnikom numer podwójny. Pierwszą część poświęcamy pamięci zmarłego redaktora naczelnego, przywołując przemówienia wygłoszone podczas Jego pogrzebu, artykuły o Nim zamieszczone w „Kurierze Szczecińskim” i wspomnienia przyjaciół.

Natomiast część druga zawiera wiersze, opowiadania i fragmenty powieści nadesłane przez autorów związanych z „Pegazem”. Na moją prośbę o twory odpowiedziało bardzo wiele osób, zaskakująco wiele. Taki odzew autorów odczytuję jako kolejne zwycięstwo Ireneusza Krzysztofa Szmida: starczy sił, aktywności i tekstów, by „Pegaz Lubuski” mógł się nadal ukazywać.

Krystyna Kamińska

FILAR KULTURALNEGO ŻYCIA NASZEGO MIASTA

Jestem tu dziś, by w imieniu swoim i mieszkańców Gorzowa Wielkopolskiego powiedzieć dziękuję. Pożegnać człowieka, który przez 30 lat stanowił filar kulturalnego życia naszego miasta. Poetę, dramaturga, reżysera i krytyka teatralnego, dziennikarza...

Urodzony w Zgierzu, sercem i duszą przez cztery dekady związany ze Szczecinem, ale w latach 90. ubiegłego wieku zbudował sobie nowy dom w Lubuskim. I choć, jak sam pisał – *pełen obaw czy starczy sił żywotnych, by się ukorzenić w nową ziemię*, pięknie ją sobie oswoił, stając się najlepszym przewodnikiem po świecie literatury, jej doskonałym propagatorem, a dla wielu literatów i poetów – mentorem.

Razem z żoną Krystyną Kamińską prowadził Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenal”. To dzięki niemu powstał w Gorzowie Oddział Związku Literatów Polskich, którego był prezesem.

Debiutował w 1961 r. tomikiem wierszy „Kreska na twarzy”, w latach następnych wydał 10 książek literackich. Jego dramat „Medea, czyli kameralna tragedia rodzinna niewiernie przepisana z Eurypidesa” wystawiony (w jego reżyserii) w Teatrze J. Osterwy zebrał entuzjastyczne recenzje i cieszył się ogromnym powodzeniem. Wiersze pana Ireneusza K. Szmida tłumaczone były na szereg języków, ukazywały się w licznych czasopismach i antologiach. Sam był autorem wielu antologii i almanachów literackich, m.in. „Poetyckiego portretu miasta Gorzowa i jego mieszkańców”.

Dorobek twórczy Pana Ireneusza jest ogromny, choć my dziś czujemy niedosyt... Bo tak trudno uwierzyć, że już nie spotkamy się w czasie kulturalnych gorzowskich wydarzeń, nie usłyszymy jego rad, wyważonych, mądrych opinii.

Dziękujemy, Panie Ireneuszu, za wiele lekcji, które teraz już przyjdzie nam odrabiać bez nadziei na cenne Pana uwagi.

W mojej pamięci na zawsze zostanie nasze spotkanie 2 października 2020 roku, podczas uroczystości Inauguracji Roku Kulturalnego, kiedy to byłem świadkiem niezwykle wzruszającego momentu. Przekazania w Pana ręce najwyższego odznaczenia przyznawanego ludziom kultury – Złotego Medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Byłem ogromnie dumny, że dane mi było dzielić z Panem tę podniosłą chwilę. Ale nawet nie podejrzewałem, że to będzie nasze ostatnie spotkanie...

Pragnę złożyć najszczerze kondolencje pani Krystynie Kamińskiej, ukochanej żonie Pana Ireneusza, całej rodzinie i wszystkim jego bliskim i przyjaciółom.

Szanowny Panie Ireneuszu!

Gorzów, który *oswoić sobie zamysliłeś, oddaje dziś w geście szczerym garść słońca*, jednak Ci, których przez tyle lat prowadziłeś, pogrążeni są w żalu. Ale wdzięczni! Za każdą strofę, za każde słowo, za Twą mądrość i ciepły uśmiech...

Na koniec posłużę się jeszcze raz Pana słowami, dziękując za miłość do miasta nad Wartą:

I wiem, to miasto jest już moje albo ja jego, z życiem nowym, w którego dom z dawnego domu, już powróciła dusza moja...

Jacek Wójcicki

prezydent Miasta Gorzowa Wielkopolskiego

POŻEGNANIE IRENEUSZA KRZYSZTOFA SZMIDTA

W słoneczny majowy poniedziałek 10 maja o godz. 13.15 na cmentarzu komunalnym w Gorzowie rozpoczęło się pożegnanie śp. Ireneusza Krzysztofa Szmidta. Uroczystość miała charakter poetycko-muzycznego spotkania. Wspominano człowieka, który pozostawił po sobie 30-letni ślad w tworzeniu środowiska literackiego miasta i budowaniu gorzowskiej kultury.

„Jest takie miejsce...”, to scenariusz, według którego przebiegała ceremonia, a jej przewodnikiem był **Janusz Dreczka**.

– Mszą św. żałobną, dziś odprawioną w dreźnieckim kościele przez księdza Jerzego Hajdugę, poetę i przyjaciela, rozpoczęliśmy to pożegnalne spotkanie Ireneusza Krzysztofa Szmidta, jakby po poranku pustej nocy; nastał już czas popołudniowy, a my wciąż trwamy na czuwaniu, a my razem, przy nim – powiedział na wstępie.



środowiska. Z Myśluborza przybył i słowa pożegnania w imieniu członków Związku Literatów Polskich przywiózł lekarz, jednocześnie pisarz i przyjaciel zmarłego, który opiekował się nim w czasie choroby, **Krzysztof Ansilewski**. Wreszcie głos zabral brat Ireneusza Krzysztofa Szmidta, **Karol**, który ze wzruszeniem opowiadał o swoich związkach z bratem, o dochodzeniu do rozumienia jego twórczości i uznania jego autorytetu. Dziękował również za liczną obecność gorzowian. Były to piękne słowa o twórczości i działalności brata oraz godne jego pożegnania.

Formą specjalnego pożegnania było Adagio g-mol Tomasa Albiniego w wykonaniu **Marzeny Szumlańskiej-Śron**.

– Czytaliśmy wiersze Ireneusza i będziemy czytać! Tak przetrwa poeta w naszych myślach i pamięci – mówił Janusz Dreczka i przypomniał, że w informatorium WiMBP żona zmarłego **Krystyna Kamińska** wyłożyła książki. Są dla wszystkich, którzy chcieliby je mieć.

– Mogą je po prostu wziąć. Będą tam do wyczerpania zapasów, jednak nie dłużej niż do końca tygodnia. Wśród wielu tytułów jest do wzięcia ostatnie dzieło Ireneusza, czyli almanach „Literaci w Gorzowie pod skrzydłami Pegaza”, a w nim pełna wiedza o wszystkich ludziach piszących z naszego świata – dodał. Zanim **ks. Jerzy Hajduga** przejął prowadzenie ostatniego pożegnania, Janusz Dreczka powiedział:

– Irku! Pozostajesz dla nas i w nas, w swojej twórczości,

w książkach, w „Pegazie”. Pozostajesz wielkim człowiekiem, znakomitym literatem, człowiekiem teatru, znawcą sztuki i po prostu troskliwym ogrodnikiem w ogrodach kultury i pielęgnowaniu artystów. Pochylamy się nad tym co ludzkie i tym, co z człowieka powstaje.

Kiedy przed domem pogrzebowym ustawił się kondukt żałobny, już dochodziły nas dźwięki trąbki z okolic kwatery 48B (rząd 1, miejsce 39). Tam spoczęły prochy Ireneusza, a ci, którzy byli z nim w ostatniej drodze, wysłuchali na pożegnanie wiersza: „Krajobraz po...”:

*Poumierali nam poeci,
a ziemia wciąż się jeszcze kręci.
Przyszło nam żyć bez marzeń, trzeźwo,
bez alkoholu, bez pamięci. [...]*

*Dźwigamy co dzień nasze ciała
na coraz większe piętra strachu.
I coraz dalej nam do nieba,
i coraz bliżej nam do piachu.*

Tekst i foto Hanna Kaup
http://www.egorzowska.pl/pokaz,hanna_kaup,10828



Janusz Dreczka



Jacek Wójcicki



Karol Szmidt

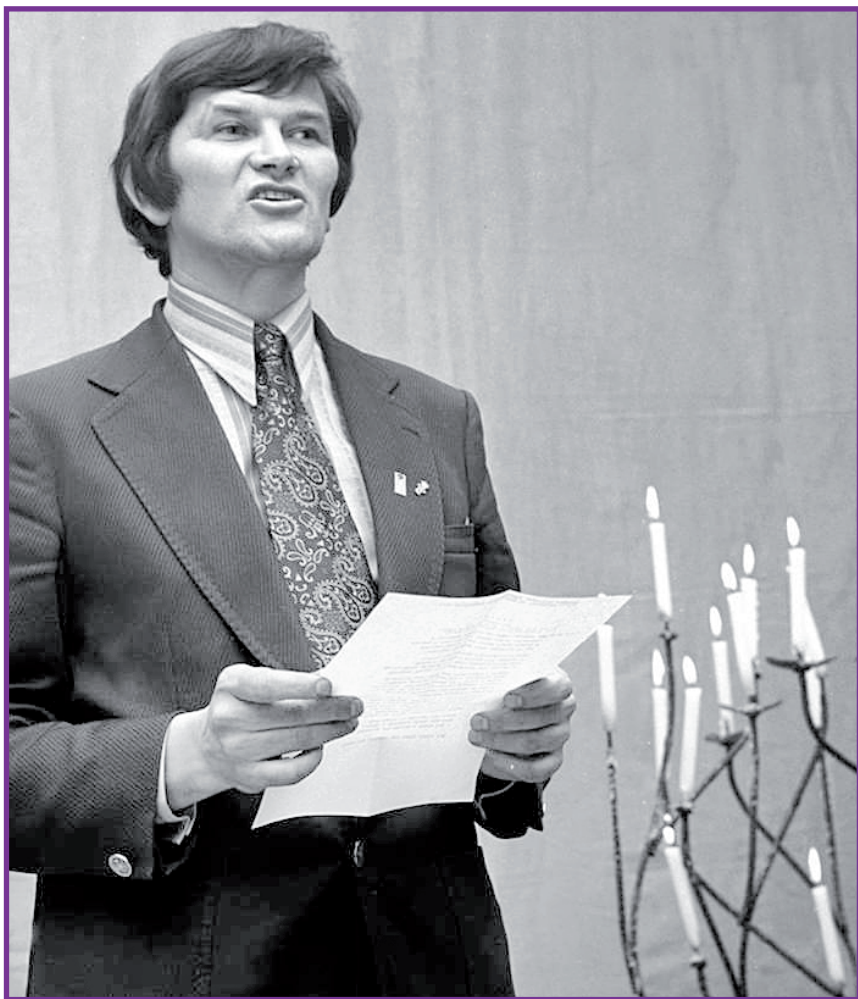
W tym wspomnianiu pojawiły się cytaty z wierszy zmarłego, które odczytał jego przyjaciel **Roman Habdas**, a poszczególnym wystąpieniom towarzyszyły lub je muzycznie komentowały skrzypce **Lecha Serpiny**. Jednym z wierszy I.K. Szmidta był: „Spoza milczenia”, o słowach uwieczonych w klatce myśli.

*Co teraz z nimi? Kto je przyjmie,
kto je wygłosi? Kto zapisze,
przedtem szlifując je na diament,
aż w popiół spłoną? W wieczną ciszę...
[...]*

Prezydent **Jacek Wójcicki** pożegnał Ireneusza K. Szmidta, przywołując niedawne, bo październikowe spotkanie przy okazji wręczenia dorocznej nagrody kulturalnej miasta oraz przyznania poecie Złotego Medalu Gloria Artis. Ze Szczecina, w którym poeta zamieszkał w 1954 r., przyjechała – z powodu ograniczeń epidemicznych z niewielką grupą – **Barbara Puzowska**, wdzięcznie wspominając zasługi Ireneusza dla tamtego



IREK. DWA MIASTA, TYSIĄC SPEŁNIEŃ



Ireneusz K. Szmidt czytający swój wiersz podczas wieczoru poetyckiego w Klubie 13 Muz, rok 1972. Fot. Marek Czasnojęć

Wysoki i postawny, z szopą włosów na głowie – długo ciemnych, później siwych – o charakterystycznym, niezbyt pięknym, lecz donośnym głosie, zdawał się być wiecznie młody. A że przy tym bezpośredni, otwarty na ludzi, zawsze uśmiechnięty, znany był powszechnie jako Irek po prostu; a że wszędzie było go pełno, znali go wszyscy – związani ze środowiskiem kulturalnym i artystycznym – najpierw, przez blisko 40 lat – Szczecina, potem – przez blisko 30 lat – Gorzowa.

Urodził się w roku 1935 w Zgierzcu, do Szczecina przyjechał w 1954. Studiował inżynierię lądową na Politechnice Szczecińskiej, potem filologię polską na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, był też absolwentem studium teatralnego przy krakowskiej PWST.

Ale akademickie życie kulturalne wciągnęło go nie z racji rozmaitych i długich studiów, a z powodu otwartości tegoż życia na nowe prądy w sztuce i nowe formy jej popularyzacji. Na PS redagował studenckie pismo „Razem”, ale przede wszystkim współtworzył liczne teatry, teatryki i kabarety – m.in. Studio Pantomimy Politechniki Szczecińskiej, z którym jednak, jak potem mówił, związany był krótko, bo jego żywiołem było przede wszystkim słowo, oraz Akademicki Teatrzyk

Satyryczny „Skrzat”, jeden z pierwszych tego rodzaju w Polsce – był autorem i reżyserem przedstawień, współpracującym z młodolite-rackim środowiskiem miasta, ale i aktorem. Również w późniejszych, już pozaakademickich latach ciągnęła go scena i estrada – był kierownikiem literackim i artystycznym popularnych szczecińskich kabaretów „Okaryna”, „Indyk”, Wyrodek”.

Doświadczenie w pracy teatralnej z młodzieżą wykorzystał też, kierując w Szczecinie różnego rodzaju teatrami szkolnymi, wśród których były „Zielone Tarcze”, Studio „Zet”, „Puls” przy Liceum Medycznym. Fascynował go zresztą amatorski ruch teatralny we wszystkich jego przejawach – pisał o nim, analizował, współtworzył na warsztatach i kursach dla instruktorów. Ładnie, tytułem *Nie próbujemy, żeby grać – gramy, żeby próbować* – ujmując najważniejsze cele tego typu działalności artystycznej w środowisku młodzieży.

Teatr, również ten profesjonalny, do końca zresztą był mu chyba najbliższą ze sztuk – pisał dla niego dramaty (własną sztukę *Medea, czyli...* wystawił w roku 2000 na scenie Teatru Osterwy w Gorzowie), zdarzyło mu się reżyserować (w 1980 r. w Gnieźnie wystawił sztukę H. Bardijewskiego *Zacznijcie się śmiać*), ale też uprawiać krytykę teatralną – najpierw na łamach „Głosu Szczecińskiego”, potem „Gazety Nowej” i „Ziemi Gorzowskiej”. Z prawdziwą satysfakcją spełniał się też jako redaktor gazetki festiwalowej Ogólnopolskiego Przeglądu Teatrów Małych Form w Szczecinie, którego przez lata był wyrazistą postacią; po swoim wyjeździe do Gorzowa pojawiał się zresztą często na kolejnych edycjach „Małej Formy”,

przekształconej już wówczas w „Kontrapunkt”.

Jako długoletni i aktywny działacz Towarzystwa Kultury Teatralnej – w Szczecinie, ale też w kraju – był bowiem członkiem Zarządu Głównego i Prezydium TKT – uhonorowany został tytułem jego honorowego prezesa.

Najgłębiej w sercu miał jednak z pewnością pisanie, poezję przede wszystkim. Członkiem Koła Młodych przy Oddziale Związku Literatów w Szczecinie był od roku 1958, w którym zadebiutował – w książce – na łamach almanachu *Szczecin literacki* – do ZLP przyjęty został w roku 1965. W jego strukturach był czynny przez lata, również po reaktywacji ZLP – prezesując szczecińskiemu, a później gorzowskiemu Oddziałowi.

Wydał stosunkowo niewiele – siedem tomów wierszy; debiutował arkuszem *Kreska na twarzy* (Wydawnictwo Poznańskie, 1961), potem był m.in. *Człowiek, ziemia i morze* (1964) – wydane przez PAX – a zwieńczeniem tej lirycznej drogi – mimo że były po nim także inne książki i wiersze – wydaje się dziś tom *Ludzkie pojęcie* (Gorzów, 2005).

Poezja Ireneusza K. Szmidta nie zyskiwała wielkich pochwał u krytyków, ale była doceniana i przyjmowana życzliwie

przez środowisko, a szczególnie młodych odbiorców poezji. Co wykorzystywał z czasem jako przewodnik i mentor młodych piszących – prowadząc różnego rodzaju kluby, spotkania, warsztaty.

We własnej liryce – na przemian tradycyjnej, to znów szukającej nowych form wyrazu – zwłaszcza w poezji miłosnej – bywał ciepły i pogodny, nawet radosny, po „fraszkowemu” filuterny, ale w tych, gdzie pojawiały się refleksje na temat życia i sztuki, tworzenia w ogóle – melancholijny, czasem nawet gorzki, ale też patetyczny, pełen emocji.

Pisał: *W palcach grudkę gliny rozgniatam / chcę jej nadać kształt jakiś / najprostszy / Ziemia moja / znam cię za mało / palce moje pokłute przez osty // Daj mi jeszcze kilka swych gościńców / chcę się Ciebie nauczyć / na pamięć / wierzę tobie / jak wiosnie co roku / Lecz jak ona / Ziemia / nie zawieść.*

Ta wiosna go nie zawiodła, a może zawiodła właśnie – tam gdzie poprowadziły go wszystkie poznane w życiu gościńce.

Zawsze młody, wiosenny właśnie – jak wydawało się przez lata – drugą młodość przeżył już w Gorzowie, gdzie wraz z dziennikarką, popularyzatorką kultury Krystyną Kamińską – z czasem żoną – powołał do życia miesięcznik informacyjno-kulturalny „Arsenał Gorzowski”, w którym publikował różnego rodzaju teksty – począwszy od felietonów, recenzji m.in. teatralnych i plastycznych, a skończywszy na literackich – potem Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał”, pełnił też funkcję sekretarza polsko-niemieckiego Stowarzyszenia Literackiego „Prom”, a potem też dwujęzycznego pisma o tytule („Prom/Die Fähre”).

Jego gorzowską aktywność – podobnie zresztą jak tę wcześniejszą, szczecińską – trudno jednak zamknąć w ramach pełnionych funkcji i konkretnych zatrudnień; Irek po prostu był sobą i – nieustannie – z innymi działał, pomagał, animował. Ukazujące się przy internetowych hasłach z jego nazwiskiem słowa „animator kultury” nazywają zresztą nie tylko praktyczny charakter tej aktywności, ale oddają też jej ducha; anima to przecież po łacinie dusza właśnie. A Irek umiał i lubił być duszą artystycznego środowiska, aktywizować i napędzać rozmaitego rodzaju przedsięwzięcia.

Pod koniec życia odznaczony został złotym medalem „Zasłużony dla Kultury Gloria Artis”. Potraktował to jako nagrodę za całokształt, ale i – jak mówił w wywiadach – zachętę do dalszych działań. I choć choroba zabrała mu wiele sił, miał jeszcze kilka planów i projektów.

W moim kalendarzu pod datą 4 maja zapisałem sobie dwa dni wcześniej, że muszę do Niego – po latach – zadzwonić.

Coś mi w tym przeszkodziło. Nie zadzwoniłem.

Dwa dni później dowiedziałem się, że zmarł 4 maja właśnie. W wieku 86 lat. A mnie się wciąż wydawało, że ma ich z tej liczby co najwyżej połowę.

Spoczął na cmentarzu w Gorzowie uhonorowany stosownie przez miejscowe władze. Ze Szczecina na pogrzebie było jedynie paru jego dawnych aktorów z wiecznie już „Zielonych Tarcz”.

ADL (Artur D. Liskowacki)

„Kurier Szczeciński” z 13 maja 2021 r.

DZIĘKI TOBIE JESTEŚMY, JACY JESTEŚMY

Jesteśmy tutaj też. Przyjechaliśmy w bardzo małej, okrojonej przez zagrożenie pandemią, grupie, ale jesteśmy w imieniu wszystkich Twoich dzieci z „Zielonych Tarcz”, z późniejszego „Studia Zet” i kabaretu „Wyrodek” ze Szczecina.

Jesteśmy tutaj, żeby po raz kolejny podziękować Ci za wszystko, co nam dałeś. To Ty uformowałeś naszą wrażliwość na rozumienie teatru, filmu, literatury, poezji... W znacznym stopniu dzięki Tobie jesteśmy, jacy jesteśmy. W wieku dojrzewania te właśnie nasze częste spotkania, wyjazdy wakacyjne na obozy, próby, występy były wartościową treścią naszego młodego życia.

Nasze sukcesy teatralne w latach 60. i 70. dzięki Twojemu zaangażowaniu reżyserskiemu były powodem naszej dumy, poczucia własnej wartości, pewności siebie i radości życia.

Dzisiaj, po wielu latach, będąc już dorosłymi, dojrzałymi ludźmi doskonale rozumiemy i doceniamy ogromne szczęście, jakie mieliśmy, spotykając na naszej drodze kogoś takiego jak Ty.

Dziękujemy Ci, Irku!!!

Mowa wygłoszona podczas pogrzebu

Barbara Puzowska

Anna Żłobińska

Odszedł Mistrz Słowa
Została tylko pustka
Nikt nie wypełni

4 maja 2021



Odszedł nasz guru i przyjaciel naszej młodości,
poeta, edukator teatralny, reżyser i twórca zespołów
„Zielone Tarcze”, „Studio ZET”, „Kabaret Wyrodek”,
„Teatryk na Wielkiej”,
zasłużony dla kultury szczecińskiej

Ireneusz Krzysztof Szmidt

o czym z głębokim żalem i smutkiem
zawiadamiają
członkowie teatru „Zielone Tarcze”

PROMIENIOWANIE IKS-A

*Mrze i poeta, ale nie umiera,
bo pozostawia nieśmiertelność słowa
i nową kartę żywota otwiera,
mrze i poeta, ale nie umiera.*

*Pamięć potomnych i wdzięczna, i szczerą
pośród pokoleń żywego zachowa –
mrze i poeta, ale nie umiera,
bo pozostawia nieśmiertelność słowa.*

Aforyzmy perskie /triolet/,
przekład Remigiusza Kwiatkowskiego



*I.K. Szmidt czyta wiersze w Szczecinie podczas konkursu
„O wers Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej”, 2013 r.*

Wspomnienia są jak rozbłyski, czasem obrazek przywołany z pamięci, czasem epizod kolorowy, żart, anegdota. A czasem film, krótki dokument albo rozwijający się epicko w fabułę życia. Z niego kadrujemy niekiedy szczególny fragment, ważny, bo obfity w treści oczekiwane, nasycony postaciami, które są dla nas ważne, najważniejsze w momencie odtwarzania.

Do takich należą plecione słowami – na kanwie świerku (symbol!) – wieńce z kwiatów miłości, przyjaźni, bliskości lub skromniejsze kwietne wiązanki znajomości, koleżeńskiego działania, wspólnych pasji, zawodowych zmagani czy tylko przelotnych spotkań, które oddajemy temu, który odszedł.

Na szarfie naszej wiązanki imię zmarłego, którego już nie ma, a przecież nieustannie jest, bo o nim się pisze, mówi, przywołuje... Przeszłość znów na moment, na chwile, na godziny... staje się teraźniejszością... można ją ścinać jak świeże kwiaty i ułożyć bukiet dla pamięci... IRENEUSZA KRZYSZTOFA SZMIDTA... w rozbłyskach, obrazkach, scenach... czasem na filmie...

Robert A. Florczyk

Smutna wiadomość. Odszedł Ireneusz Krzysztof Szmidt! Mieliśmy co najmniej wspólne dwie sprawy: poezję i dwa miasta: Gorzów i Szczecin, bo też mieszkałem w obu i w obu odnalazłem życzliwych ludzi. W „Pegazie Lubuskim” miałem okazję przedstawić gorzowianom swoje wiersze, a podczas wieczoru w nowoczesnej Bibliotece im. Zbigniewa Herberta, życzliwie zachęcany przez Irka, czytałem publiczności swoje wiersze.

To był ciepły, życzliwy człowiek oddany kulturze. Łączył nasze dwa miasta i nasze dwa Oddziały ZLP. Jego odejście to niepowetowana strata dla nas. Pozostaje nam Jego twórczość, warto do niej wracać. W niej odnajdziemy to, za co Go ceniliśmy.

Barbara Moraczewska-Jankowska

Upływający czas jest mozaiką marzeń i wspomnień. Ważnym elementem tej mozaiki jest dla mnie wspomnienie o Irku, który był pierwszym profesjonalnym cenzorem mojej poezji. Po spotkaniu w Gorzowie, które zaaranżował mój szkolny kolega Leszek Bończuk, usłyszałam od Irka takie słowa o moich wierszach: „to jest dobre, nie ma tu zbędnych słów, no może trochę za dużo przymiotników”. Poezja, która dotąd była tylko we mnie, wypłynęła w kilku wydaniach „Pegaza Lubuskiego”, bywałam też wielokrotnie na spotkaniach poetyckich w Gorzowie. Gdy powoli dojrzywałam do dzielenia się swoimi wierszami, Irek „przekazał” mi prezesowi szczecińskiego Oddziału ZLP Leszkowi Dembkowi i niebawem wydany został w serii „akcent” mój pierwszy poetycki tomik.

Szczecin, gdzie znaleźliśmy się tylko z widzenia, choć mieszkaliśmy po sąsiedzku, przez wiele lat był także miastem Ireneusza Krzysztofa Szmida, dlatego ta część mozaiki wspomnień błyszczący podwójnie.

Stanisław Rapior

Byłem młodym studentem, na drugim roku studiów pedagogicznych. Poznałem Ireneusza Szmida w 1979 roku w szczecińskim Klubie Studenckim „Kontrasty”, podczas próby jego autorskiego programu, w ramach Teatru Studio „Zet”. Teatr Studio „Zet” miał wcześniej siedzibę w DK „Wspólny Dom”.

Dał mi się wtedy poznać jako „fachman od słowa” oraz człowiek ze sporym poczuciem humoru. Próby były otwarte i mogli na nie przychodzić studenci z różnych lat szczecińskich uczelni. Często bywałem na tych próbach, które jednocześnie były warsztatami gry aktorskiej i wiele z nich wyniosłem. Mogłem niektóre z mądrych uwag Ireneusza zastosować w swoim kabarecie studenckim **DZIURA** – czyli **DZ**iennik **I**lustrowany **U**jawniający **R**óżne **A**ktualności, założonym w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Szczecinie w 1979 roku.

Wówczas w kulturze studenckiej Ireneusz był guru dla młodych autorów. Miał na koncie już trzy tomiki poezji. Był autentycznym pasjonatem teatru, kabaretu i działaczem na niwie studenckiej, a również licealnej kultury.

Przypomnieliśmy sobie po wielu, wielu latach. Spotkaliśmy się przypadkiem na jednym ze spotkań ZLP Oddział w Szczecinie w 2010 roku. Naturalnie natychmiast mnie poznał i serdecznie się ze mną przywitał. Działalem już wówczas w Regionalnym Stowarzyszeniu Literacko-Artystycznym w Po-

licach i współtworzyłem Ogólnopolski Konkurs Literacki im. K.I. Gałczyńskiego. Jedną z najtrudniejszych spraw przy organizacji konkursów literackich jest znalezienie kompetentnych jurorów. W związku z tym poprosiłem Ireneusza o przewodniczenie IX Konkursowi w 2011 roku. Naturalnie zgodził się i ze swojego zobowiązania wywiązał się znakomicie.

Ireneusz Krzysztof Szmidt był niesamowicie zasłużonym dla Pomorza Zachodniego i regionu gorzowskiego autorem i działaczem kultury. Powiada się, że nie ma ludzi niezastąpionych, ale odejście ludzi takiego formatu jest stratą zawsze bolesną.

Elwira Rewcio

Poeta, animator kultury, redaktor, człowiek teatru – Ireneusz Krzysztof Szmidt – wszędzie się Go spotykało. Na Zamku, w amatorskim ruchu artystycznym, w teatrach, w jury konkursów recytatorskich i we wszystkich edycjach Szczecińskiego Festiwalu Teatrów Małych Form. Dzielił się szczerze swoją wiedzą i umiejętnościami. W Pałacu Młodzieży też się udzielał.

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku współprowadziliśmy, w ramach doskonalenia nauczycieli, warsztaty teatralne, które kończyły się premierą. Pomysłodawczynią była metodyczka wychowania muzycznego Lidka Bergandy. Intensywne warsztaty kończyła wyreżyserowana przez Irka sztuka pt. „Ananasy z IV klasy”. Po kilku edycjach warsztatów wieść o przedstawieniu Irka rozeszła się drogą pantoflową i zaprosili nas nauczyciele z Gorzowa, którzy go wkrótce przejął.

Ewa Kulesza

W latach 60. XX w. (jak to dawno!) współpracował Irek z moją mamą Wandą (zanim nie wyjechała ze Szczecina) „na niwie krzewienia kultury słowa”. Dziecięciami będąc, obserwowałam próby amatorskich teatryków. Wysoki Irek z drobną Wandą uwrzliwiali młodych na poezję, uczyli ruchu scenicznego, ekspresji. Ireneusz pisał też wiersze.

Nie ma Ich już.

Sławomir Osiński

Nie potrafię wyobrazić sobie „Kontrapunktu” bez Irka... Był ze Szczecińskim Tygodniem Teatralnym od początku. Ja wtedy kończyłem pięć lat i z teatrem miałem do czynienia jeno w „Pleciudze”. Nasze drogi się zeszyły, gdy byłem w liceum, a na XIV STT w 1979 r. pojawił się biuletyn informacyjny, czyli gazetka zwana „Małą Formą”. Wymyślił ją właśnie Irek, i jak sam powiadał: „siermiężną, rękodzielniczą, na festiwalowe salony wprowadził”. Od przełomowego 1980 r. przez następne kilkanaście lat co roku w atmosferze szaleństwa, trunków, papierosów i sztuki pracowaliśmy w „XIII Muzach” od ostatniego przedstawienia kończącego się często około północy aż do

Sławomir Osiński

LIST

Gdy odchodził ktoś mi bliski, piszę kolejną wersję listu do Tej, Która Go Zabrała. Oto kolejne pismo do Niej.

Wiem, że kochasz teatr i poezję, że lubisz być adorowana przez artystów, ale czy nie mogłabyś być bardziej subtelna i cierpliwa? Czemu nie pozwoliłaś Irkowi napisać kolejnej książki o jego ukochanych Małych Formach? Czemu nie pozwoliłaś Mu być jeszcze chwilę tutaj, na kolejnych Kontrapunktach, dyskutować, wspominać?

Patrzę z ziemskiej perspektywy, bo innej nie mam, ale nie rozumiem Twojej decyzji. Może Nasi Zmarli są tam szczęśliwi, nie dręczy ich ból i uciążliwości życia, ale tu została pustka. Zwykła, ziemiska, dotkliwa.

Widzę Cię, Mistrzyni Ostatniego Monodramu! Jakże bardzo masz nas za proch, odbierając tych, którzy zapełniają nasze życie sensem!

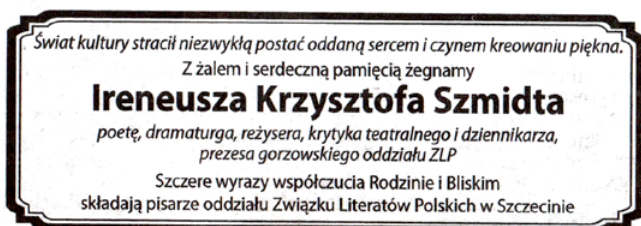
Śmiejesz się, że nie mogę uwolnić się od banału sformułowań, że wciąż mówię te same słowa! Śmieję się! Ja po raz kolejny wezmę szklanice, wleję do niej kilkunaścieletniej single malt whisky i będę sączył powoli. Jeden puchar za Irka, drugi za sztukę, za przyjaźń, za Kontrapunkt, za nasze zasmucenie...

świtu, „wspomagani (jak pisał IKS) duchowo i płynnie przez znajomych i artystów wpadających do redakcji w drodze z baru do domu z pomysłami, plotkami lub na chwilową drzemkę”. Rano Irek na piechotę lub swoją syrenką jechał po pieczętkę do dyżurnego cenzora, a potem do biblioteki, gdzie gazeta była drukowana. To był czas magiczny uczenia się dziennikarskiego rzemiosła, spotkań z najwybitniejszymi artystami polskiego teatru. Dziś pozostały anegdoty i wspomnienia.

Irka widać było na każdym festiwalu: bacznie oglądał, komentował lub czasem chrapał na co nudniejszych spektaklach. Przez wiele lat był specyficzną nie szarą, ale złocistą eminencją Przeglądu. Zawsze uczestniczył w spotkaniach z aktorami, a potem w sesjach naukowych. Był zawsze, nawet gdy przeprowadził się do Gorzowa, gdzie błyskawicznie stał się instytucją kulturalną szanowaną przez władzę i środowisko.

Marek Sztark

My z niego wszyscy, chciałoby się powiedzieć, myśląc o IKS-ie, Irku Szmidcie. Trafiając pod skrzydła Zygmunta Duczynskiego w Teatrze Kana, trafiało się pośrednio pod skrzydła Irka. To on zarządzał bowiem Międzyszkolnym Studium Małych Form Teatralnych „Zielone Tarcze” (od 1964) w Szczecinie, przekształconym w latach 70. w Studio „Zet”, w którym młody Duczyński stawiał swoje pierwsze teatralne kroki. Zygmunt wielokrotnie wspominał o wpływie, jaki wywarł na niego IKS. Potem jego wszechobecna postać na Szczecińskim Tygodniu Teatralnym. Na Kontrapunkcie był Irek Szmidt naszym Honorowym Gościem. I takim pozostanie.



Pisarze z Oddziału ZLP w Szczecinie zlecieli wydrukowanie nekrologów o śmierci Ireneusza Szmidta w „Kurierze Szczecińskim” i „Gazecie Lubuskiej”.



Marek Rudnicki

Czuję się jak stary most między brzegami rwącej rzeki; jeszcze stoi, jeszcze skleja dwa pobrzeża, ale nie wiadomo jak długo. Tak jest w przypadku, gdy ktoś pyta o „starych” literatów. Niegdyś czułem się młody, a tych uznanych już działaczy kultury (takie to było nazewnictwo) traktowałem jak tuzów, na których warto się wzorować. Wydawało mi się, że stan taki trwać będzie wiecznie, a tu trach, czas przeleciał jak z bicza strzełił i to ja jestem dziś ten stary. Przede mną nowi, młodzi, zupełnie inni, wiedzący wszystko najlepiej, nieszukający jakis „filarów”, jak ja niegdyś. Pamiętam moje wzorce, widzę tych młodych i wcale nie czuję, bym dobrze się czuł, będąc przesiadłym nad rzeką.

Ireneusza Krzysztofa Szmida poznałem przez Janusza Krzymińskiego, niesamowitego erudyte, który barwnie opowiadał przy okazji spotkań o kolorowej i niejednoznacznej przeszłości i o ludziach, którzy ją tworzyli. A opowieści warte byłyby utrwalenia, gdyby tylko Janusz zmusił się do działania. Przy tej okazji spotkałem i miałem okazję wielokrotnie rozmawiać z Ireneuszem Szmidem. Wpatrzony w wielką osobę ja, któremu imponowało, że tak znany twórca poważnie rozmawia z takim młodzieńcem, nasiąkałem Jego wielkością i tymi nieoficjalnymi opowieściami Janusza o Nim i o innych.

Oni, ci najstarsi, to była klasa sama w sobie, która stworzyła swój świat i kreowała go tak, jak go sobie wymarzyła, a przynajmniej starała się. Z kłopotami w tle, sprzyjaniem lub nie oficjalnym trendom politycznym, drwieniu z tych trendów lub wręcz wynoszeniem ich pod niebiosa. [...] Sporo na ten temat otwarcie rozmawiałem z Mariuszem Czarnieckim, kierownikiem działu kulturalnego „Kuriera Szczecińskiego”.

O dziwo, wracając do Szmida, zawsze pamiętał, kim jestem, choć nie wszyscy z owego Olimpu tak się zachowywali. Gratulował mi szczerze, gdy po wielu komplikacjach, głównie ze względu na przeszłość polityczną, zostałem zatrudniony w przez Ryszarda Liskowackiego w redakcji „Morza i Ziemi”. I serdecznie się witał, pytając za każdym razem, czy już dojrzałem. To pokłosie rozmów, gdy usilnie namawiał mnie do napisania książki. Pan Ireneusz był wręcz „upierdliwy” w tym temacie, konsekwentnie zawsze o to zahaczał, gdy mnie widział. I gdy mu kiedyś wreszcie oznajmiłem radośnie, że zbieram już materiały do książki o tematyce paleoastronautycznej, stwierdził krótko: „Nie do szuflady, młody, to dziura bez dna, z której trudno cokolwiek wydobyć, puszczaj kawałki w »Morzu i Ziemi«, a gdy będzie ich dużo, książka gotowa”. Tak też dzięki jego namowom i mojego szefa Liskowackiego (obaj ostrzegali, że pisanie jest łatwe, ale tylko gdy o nim się opowiada, gorzej w praktyce) powstały książki „Kołowrót dziejów”, a następnie „Bękarty bogów”.

Kim był dla mnie Szmida? Kolorytem sfery, do której za wszelką cenę chciałem się dostać. I być takim jak pan Ireneusz, którego „Myśli koślawe” publikowane w „Głosie Szczecińskim” bardzo do mnie trafiały. Ot, chociażby ta (życie studenckie ciągle wówczas miałem w pamięci i trafność spostrzeżeń robiła na mnie wrażenie): „Ciekawe czy Bóg stworzył studenta na utrapienie swoje czy jego?” albo „Wykłady – mowa do chińskiego ludu przez dziurkę od klucza” lub „Nie warto grać całą noc w brydża, co innego w pokera”. Kiedyś mi powiedział, gdy rozmawialiśmy o dobrych i złych studentach (może nie tymi słowy, już nie pamiętam, ale z taką intencją): „Pokorny kujon zostaje inżynierem, a niepokorny – literatem”.

Pisał wiersze, ale przyznam, że nie trafiały do mnie, czego mu nigdy nie powiedziałem. Wydawały się być za nowoczesne, jak monolog, którego treści i przesłania nie sposób zrozumieć.

Pamięć zatarła szczegóły, ale jakieś odpryski pozostały, jak to określenie Krzymińskiego o panu Ireneuszu: „To jest aparat nie do zdercia. Podczas studiów na Politechnice Szczecińskiej założył pismo „Razem”. A wspominam o tym, bo jego egzemplarze trafiły do moich rąk, gdy włączałem się w pisanie (jeszcze na studiach) w piśmie wychodzącym na Politechnice „Naprzeciw”, próbując z kolegami stworzyć coś nowego, odmiennego. To były dwa spojrzenia, odmiennie, bo młodość w tym przypadku nie uznawała tego, co przed nią tworzyli poprzednicy.

„Daleka jest droga do łóżka, zwłaszcza piętrowego”, to powiedzenie Ireneusza Szmida (kilka razy je od niego słyszałem) było interpretowane na kilka sposobów. Miało też taką, że aby wspiąć się wyżej, trzeba zaliczyć parter, a wielu z tego parteru nie wychodzi przez całe życie. Jego dopytywania się, czy piszę książkę, spowodowały, że wspinałem się na to piętrowe łóżko, choć były okresy, że chciałem to rzucić w diabły.

Róża Czerniawska-Karcz

Początek XXI wieku. I moje początki działalności w środowisku szczecińskich literatów. Na zebraniach padało nazwisko Ireneusza Krzysztofa Szmida, mówiło się o Gorzowie. W 2003 roku Józef Gawłowicz, ówczesny prezes Oddziału ZLP, wydał we współpracy z Ireneuszem Szmidem w Jego wydawnictwie „Arsenał” w Gorzowie almanach „Nabrzeże poetów”, debiuty trzech poetek i poety ze szczecińskiego uniwersytetu. Rok później (2004) w wyniku współpracy literacko-wydawniczej obu prezesów ukazał się leksykon „Urzeczeni morzem”. Obie książki trafiły w moje ręce i... służą mi do dzisiaj, szczególnie leksykon szczecińskich marynistów.

Jak się przekonałam znacznie później, to były zapowiedzi nadchodzącej znajomości. W 2011 roku w maju, na zjeździe pisarzy w Warszawie, poznałam Ireneusza, który reprezentował swój gorzowski Oddział. Wysoki mężczyzna, z którym zjadłam przy jednym stole śniadanie pod olbrzymim portretem Jarosława Iwaszkiewicza. Nomen omen. W kilka lat później oboje byliśmy nominowani do nagrody jego imienia za działania na rzecz upowszechniania literatury współczesnej. Nagroda przypadła Ireneuszowi. I sprawiedliwie.

Wtedy na Krakowskim Przedmieściu były rozmowy, wymiana doświadczeń z Jego strony, bo ja dopiero stawiałam pierwsze kroki w swoim prezesowaniu. Kilka miesięcy później spotkaliśmy się w październiku na 40. Warszawskiej Jesieni Poezji. Klimat wydarzenia sprzyjał rozmowom o poezji, nawiązaniu czy zacieśnianiu znajomości. W lutym 2012 roku Ireneusz był gościem na obchodach 60-lecia naszego Oddziału. Te zacieśniane relacje skutkowały wymianą korespondencji e-mailowej, zaproszeniami na wydarzenia. Rozwijała się współpraca. Odwiedzaliśmy Gorzów, gdzie na zaproszenie pani Krystyny i Ireneusza odbyło się spotkanie autorskie Rafała Podrazy, zwiedzanie Gorzowa, wizyta w Bibliotece im. Zbigniewa Herberta, byliśmy u Barbary Schroeder „Na Zapiecku”.

Z kolei my zaprosiliśmy Ireneusza do jury naszego IV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O wers Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej”. W lutym 2013 roku gościł Ireneusz Szmida wraz z Krystyną Kamińską na gali finału konkursu w Pałacu Młodzieży. Z Gorzowa przychodził regularnie „Pegaz Lubuski”, nasi pisarze i poeci pojawiali się u gorzow-

skich literatów na wydarzeniach literackich. Zobaczyliśmy się w Warszawie, a właściwie w Oborach, w październiku 2014 roku na 43. Warszawskiej Jesieni Poezji. W gronie poetek i poetów wymieniano książki, dzieliliśmy się wierszem w najnowszej antologii. Koncerty, prezentacje, wycieczki były naszym udziałem i zapiskami w pamięci.

Rok później w Warszawie na zjeździe, w maju 2015 roku, dwudniowe spotkanie. Moje pożegnanie z prezesurą. Nowy prezes naszego Oddziału Leszek Dembek zaprosił Irka na kolejny jubileusz, tym razem już 65-lecia oddziału ZLP w Szczecinie. Przyjechał w grudniu 2015 roku. W Klubie 12 Dywizji Zmechanizowanej świętowaliśmy wspólnie sukcesy środowiska. To było nasze ostatnie widzenie. Potem jedynie mailowa korespondencja... życzenia świąteczne. Enigmatyczna pamięć i trochę fotografii dla utrwalenia wizerunku.

Pozostał mi w wyobraźni (a może właśnie na zdjęciach) wysoki, barczysty mężczyzna o rumianej twarzy, szpakowatych włosach i uśmiechniętych oczach. Życzliwy, ale pewny siebie i... dominujący. Chętny do działania, ale wiodący prym w określaniu warunków. Podczas naszych dyskusji jurorskich ustępstwa były jednak po mojej stronie. Uznawałam Jego rację. Sztuka kompromisu! Przecież miał nieporównywalnie większe doświadczenie w kwestiach wydawniczych czy poetyckich. Choć irytowała mnie nieco arbitralność jego stanowiska, ale przecież zespoły jury tak muszą współpracować. Najważniejsze jest przecież porozumienie i dobro młodego uczestnika konkursu. Za to miałam satysfakcję, gdy chwalił i ocenił wysoko teatralną prezentację wierszy laureatek w wykonaniu pałacowych grup teatralnych pod kierownictwem artystycznym Marcela Mroczyńskiego. Tutaj przecież autorytet Ireneusza był niepodważalny. Docierały do nas informacje o sukcesach Irka... o benefisie, odznaczeniach, o nagrodzie *Gloria Artis*... i o chorobie. A przecież mieliśmy w Oddziale wielką nadzieję na spotkanie jubileuszowe z okazji naszego 70-lecia. Przecież świętowaliśmy te jubileusze razem co pięć lat.

Odbyła się gala bez gości, bez publiczności. Bez laudacji i uhonorowań. Wybrzmiał tylko koncert. Dla niektórych po raz ostatni. Jaka wielka szkoda.

Ofiaruję Ci, Irku, skromny kwiatek moich zamyśleń, dołączony do tej wiązanki wspomnień, z podziękowaniem za to, że znalazłeś się w fabule (nie w epizodzie) naszego związkowego życia.

Leszek Dembek

Ireneusz Krzysztof Szmida to, według mnie, niezwykle ważna postać w polskiej kulturze i osoba szczególnie zasłużona dla Szczecina i Gorzowa. Bogata jest lista Jego zasług. Wielką pasją Ireneusza było słowo, a z niego kreował poezję i teatr. Ale był też *czułym* (nie tylko) *narratorem* życia społeczno-politycznego, począwszy od lat studenckich na Politechnice Szczecińskiej. Warto przypomnieć, że z Jego inicjatywy powstało Studio Pantomimy Politechniki Szczecińskiej, a na początku lat 60. przy Klubie „Kierunki” powołał do życia Grupę Poetycką „Kontrasty”. W 1958 roku wstąpił do Koła Młodych szczecińskiego Oddziału ZLP, w którym zadebiutował na łamach almanachu *Szczecin literacki*. A potem były dziesiątki lat pracy w Oddziale, z prezesowaniem włącznie. Jego osiągnięcia i trwałe ślady tak w instytucjach, jak i w dokumentach zapisane są w kronikach i encyklopediach miasta. Szczecin oddychał działalnością Irka. A potem, w latach 90., przeniósł się do Gorzowa,



Medal szczecińskiego Oddziału Związku Literatów Polskich na 70-lecie działalności ZLP w Szczecinie dla Ireneusza Krzysztofa Szmida, poety, pisarza, wydawcy, prezesa gorzowskiego Oddziału ZLP, byłego prezesa szczecińskiego Oddziału ZLP w latach 1990-1993, za czterdziestoletnie kreowanie środowiska kulturalnego i artystycznego w Szczecinie oraz za życzliwe i bardzo efektywne współdziałanie z pisarzami Oddziału w latach 2000-2020

wa, gdzie rozwinął znowu swoje skrzydła. Stworzył wspólnie z żoną, Krystyną Kamińską, swoje i po swojemu środowisko literackie. Nie zapomniał jednak o Szczecinie.

Zawsze pozytywnie odbierałem fakt, że pismo literackie „Pegaz Lubuski” było życzliwe, jak też sam jego redaktor naczelny, dla naszych szczecińskich literatów. Udostępniał na jego łamach w dziale „Sąsiedzi zza miedzę” twórczość poetów i prozaików. Debiuty i recenzje. Promował przecież środowisko pisarzy, spośród których się wywodził.

W 2020 roku szczeciński Oddział ZLP obchodził swoje 70 lat działalności. Pandemia mocno ograniczyła możliwości spotkań, by godnie zaprezentować dorobek ludzi, którzy przyczynili się i nadal tworzą nasze środowisko pisarskie. Koncert galowy wieńczący rok jubileuszowy odbył się, niestety, bez obecności publiczności i bez gości, których chcieliśmy uhonorować medalem 70-lecia ZLP w Szczecinie. Na tej liście znalazło się również nazwisko byłego prezesa Oddziału – Ireneusza Krzysztofa Szmida. Przykro, że medal nie trafił w ręce naszego Kolegi. Składamy go do zbioru pamiątek po Pociu.

Na koniec refleksja. Myślę, że szczecińskie władze miasta powinny w sposób szczególny uhonorować twórcę, który blisko czterdzieści lat kreował środowisko kulturalne i artystyczne naszego Miasta. Był jego niekwestionowanym znaczącym mieszkańcem, a później ambasadorem.

Niech więc:

*Pamięć potomnych i wdzięczna, i szczerą
pośród pokoleń żywego zachowa.*

Wiązanka gotowa. Na szarfie jeszcze imiona... bliskich, przyjaciół, koleżanek i kolegów, znajomych...

Oprac. tekstu: Róża Czerniawska-Karcz
Kurier Szczeciński 2021, nr 102 z 28-30 maja

Po śmierci Ireneusza Szmidta do redakcji „Kuriera Szczecińskiego” nadszedł list ze wspomnieniem pewnego zdarzenia ważnego dla wszystkich jego uczestników. Dla redakcji był on pretekstem do przypomnienia Teatru na Wielkiej, jednego z prowadzonych przez Szmidta. Poniżej publikujemy tylko list.

POEMAT DLA (BARDZO) DOROSŁYCH

Był marzec 1968. W Teatrze na Wielkiej (dziś ul. Wyszyńskiego) trwały właśnie ostatnie przygotowania do premiery „Zielonej Gęsi” Gałczyńskiego. Młodym zespołem od kilku lat kierował Ireneusz Krzysztof Szmidt, w pierwszych latach z Włodzimierzem Bednarskim – znakomitym aktorem, którego po wyjeździe do Warszawy zastąpił Ryszard Reichert. Zespół uzupełniali Leszek Rydlewski, a potem Tadeusz Klimowski dbający o oprawę muzyczną.

Tego dnia Irek wszedł do garderoby i zakomunikował: „Dzisiaj próby nie będzie. Posłuchamy za to przemówienia Gomułki, a potem porozmawiamy”. Rozmowa była – dobrze pamiętam – długa, trudna i gorzka, tym bardziej że był wśród nas Józek, który z racji swojego pochodzenia odczuł przemówienie pierwszego sekretarza podwójnie boleśnie. Wreszcie Szmidt zaproponował: „Słuchajcie, odkładamy Gałczyńskiego na później. Teraz zrobimy „Poemat dla dorosłych Ważyka”.

Po paru dniach dostaliśmy tekst – znany nam dotychczas tylko z tytułu, poemat uchodzący wówczas za przełomowy i symbolicznie kończący erę socrealizmu. To nie były łatwe próby – Irek dwoił się i troił, szukał najlepszych ustawień, zmieniał koncepcje, a nas nie opuszczał entuzjazm; wszyscy czuliśmy, że bierzemy udział w czymś ważnym. Inscenizacja była niecodzienna, forma surowa, białoczarowa, aktorzy w ostrym świetle, w szarych i czarnych golfach, porzrucani po widowni w parach i pojedynczo, wygłaszający tekst Ważyka to z przejęciem, to znów cicho i kameralnie... Wyszedł z tego znakomity spektakl.

Od premiery dzielił nas tylko pokaz przedpremierowy, na który przyszło dwóch miłych panów. Przywitali się z Irkiem i Ryszardem serdecznie, usiedli i obejrzelni przedstawienie. Po jego zakończeniu, jeszcze nim na widowni zapaliło się światło, usłyszeliśmy w tych ciemnościach głośny szept: „I wyście myśleli, że my wam to puścimy?”. Cisza.

Dalsza część rozmowy Irka i Ryśka z przedstawicielami cenzury odbyła się w garderobie. Była burzliwa. Słuchaliśmy jej w napięciu; Wojtek płakał, Bogdan i Aldona śmiali się nerwowo, reszta tkwiła bezradnie na swoich miejscach. Irek wyszedł z garderoby, trzasnął drzwiami i kazał nam po prostu iść do domu. Bez słowa komentarza. Komentarz nie był zresztą potrzebny – w uszach dźwięczał nam jeszcze najbardziej znany fragment „Poematu”:

Przybiegli, wotali: w socjalizmie skaleczony palec nie boli.

Skaleczyli sobie palec. Poczułi. Zwątpili.

Spektakl nigdy nie został zagrany dla publiczności, ale dla nas był wyjątkowo ważną lekcją dojrzałości. I dzięki samemu tekstowi, i dzięki okolicznościom pracy nad nim. I dzięki Tobie, kochany Irku.

Małgorzata Dziabas-Zielińska

Kurier Szczeciński, 27 maja 2021

WSPOMNIENIE O IRKU...

O Ireneuszu Krzysztofie Szmidcie dowiedziałem się, kiedy pisałem pierwsze prace o środowisku literackim Ziemi Lubuskiej w latach 90. ubiegłego wieku. Szmidt bowiem od 1991 r. mieszkał już w Gorzowie Wielkopolskim, dokąd przeniósł się ze Szczecina. W Gorzowie od razu dał się poznać jako wydawca książek i czasopism oraz animator życia kulturalnego, działając wspólnie z małżonką, dr Krystyną Kamińską.

Prowadzili wspólnie Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne Arsenał oraz miesięcznik kulturalny „Arsenał Gorzowski”. W 2006 r. na zaproszenie Urzędu Marszałkowskiego wszyscy znaleźliśmy się w zespole, który pod kierunkiem prof. Bohdana Idzikowskiego miał za zadanie opracować *Strategię rozwoju kulturalnego województwa lubuskiego*. Za jedno z priorytetowych zadań uznaliśmy powołanie wspólnego, regionalnego pisma artystyczno-kulturalnego, które integrowałoby środowiska twórcze obu połączonych w 1999 r. województw. Niestety, zamysł ten nie powiódł się z przyczyn finansowych, ale dwa lata później w Zielonej Górze pojawił się kwartalnik „Pro Libris”, a w Gorzowie w 2003 r. wychodził stworzony przez Irka „Pegaz Lubuski”.

W połowie lat 90. w zielonogórskim Oddziale Związku Literatów Polskich pojawiła się koncepcja sformułowania Klubu Literackiego ZLP w Gorzowie Wlkp., który miał się w niedalekiej przyszłości stać samodzielnym Oddziałem Związku. Wówczas na spotkaniach Zarządu Oddziału często spotykałem się z Irkiem i pisarzami gorzowskimi – Tadeuszem Szyfer-



Wręczenie Srebrnego Medalu Zasłużony Kulturze Gloria Artis

rem, Witoldem Niedźwieckim, Janem Grossem i Romanem Habdasem. Z powodu dużego napływu twórców z północnej części województwa w 1999 r. postanowiono utworzyć w Oddziale ZLP stanowisko wiceprezesa ds. gorzowskich. Została nim Barbara Trawińska, a od następnej kadencji funkcję tę pełnił Tadeusz Szyfer.

W marcu 1998 r. powołano do życia Gorzowski Klub Literacki ZLP, na czele którego stanął Irek, a członkami Klubu byli zarówno członkowie ZLP, jak i amatorzy, zwykle skupieni w Oddziale gorzowskim RSTK bądź rozsiani w okolicznych miejscowościach.

W 2003 r. do Oddziału w Zielonej Górze przybyli kolejni pisarze gorzowscy: ks. Marek Grewling i Ireneusz K. Szmidt, który oficjalnie już przeszedł z Oddziału szczecińskiego, a w roku następnym Krystyna Caban i Kazimierz Furman. W 2003 r. nowym wiceprezesem ds. gorzowskich wybrany został rzutki, pełen pomysłów Irek, który zintegrował środowisko z Gorzowa i okolic. Był wiceprezesem do grudnia 2004 r. Wówczas Gorzowski Klub ZLP posiadał już wystarczającą liczbę członków i kandydatów na członków ZLP, aby utworzyć własny Oddział ZLP. Stało się to oficjalnie 12 X 2004 r. i był to 22. oddział w kraju. Inauguracja działalności nastąpiła 18 XII 2004 r. w obecności prezesa Zarządu Głównego ZLP Marka Wawrzkiwicza. Na czele Oddziału stanął Irek, a członkami Zarządu zostali Tadeusz Szyfer i Kazimierz Furman.

Irek swoją charyzmą i energią oraz dobrą organizacją pracy przyciągał wielu młodych ludzi pióra. Także współpraca między naszymi związkowymi Oddziałami nabrała tempa. Nigdy między zielonogórskimi i gorzowskimi pisarzami nie było lokalnych antagonizmów, a wręcz odwrotnie, rodziły się zażyłe znajomości i przyjaźnie. Bardzo często spotykałem Irka i jego małżonkę przy okazji wielu spotkań literackich i konferencji naukowych w obu naszych miastach lub przy okazji zjazdów pisarzy w Warszawie. Wielokrotnie rozmawialiśmy przez telefon lub wymienialiśmy się mejlami.

Pamiętam, że dość szybko, jak poznałem Irka, zaproponowałem mi mówienie do siebie po imieniu. Początkowo wahałem się z uwagi na różnicę wieku. Irek został członkiem ZLP już rok przed moim urodzeniem, więc mógłbym być jego synem. Mówiłem mu więc „proszę pana”, ale on stanowczo kazał mówić po imieniu, więc uznałem to za rodzaj nobilitacji.

Zawsze podziwiałem Irka za jego twórczy zapał, organizacyjną działalność, świetne rozeznanie w sprawach związkowych, kreatywność, energiczność i... skrupulatność oraz benedyktyńską cierpliwość. Pisał wiersze od serca, często okolicznościowe i na czasie, angażując swoją poezję w aktualne sprawy społeczne, polityczne, a nawet ekonomiczne, jakie rozgrywały się w kraju. Przychodziło mu to nadzwyczaj łatwo i zawsze robił to z wdziękiem, pasją i humorem. Jako redaktor naczelny „Pegaza Lubuskiego” znajdował czas na przygotowanie kolejnego numeru, na wydanie następnych tomików wierszy pod egidą Związku, na zebranie materiałów i solidne opracowanie wielu gorzowskich almanachów literackich i teatralnych.

Ostatnio, kiedy przygotowywałem galę wręczenia Nagrody im. Waśkiewicza i Lauru im. Koniusza, a którą kilka razy z powodu pandemii trzeba było przełożyć, zapraszałem Irka do przyjazdu do Zielonej Góry. Był wtedy w szpitalu i opowiadał o swoim samopoczuciu. We wrześniu 2020 r. miał miejsce online piękny, potrójny jubileusz Irka zorganizowany przez gorzowską Książnicę. Obchodził wówczas 85. urodziny, 65-lecie pracy artystycznej i 55. rocznicę wstąpienia do ZLP. Przed kamerą nazywałem go „cesarzem poezji”, życząc zdrowia i weny twórczej.

Myślę, że nikt nie zrobił tak wiele dobrego dla gorzowskiego środowiska pisarskiego, jak właśnie Irek, który można powie-



Z córką Katarzyną

dzieć był zawsze i wszędzie. Bez dwóch zdań był jednym z najpracowitszych twórców i wielce zasłużonych działaczy gorzowskiego życia kulturalnego, o czym świadczą choćby jego cenne inicjatywy oraz liczne nagrody i odznaczenia państwowe.

Bardzo lubiłem z nim rozmawiać i słuchać jego ciepłej barwy głosu, łagodnego i spokojnego. Był w tych rozmowach zawsze rzeczowy. Dopytywał, co dzieje się u nas, u mnie, pytał o konkretnych autorów i naturalnie zachęcał do przysyłania tekstów do „Pegaza Lubuskiego”. Wiedziałem, że zawsze mogę liczyć na jego przychylność i merytoryczną pomoc. Był niezwykle oddany wielu sprawom i życzliwy ludziom. Wspierał ich, podtrzymywał duchowo, dla każdego miał czas, życzliwe słowo i otwarte serce.

Ostatni raz rozmawialiśmy przez telefon bodaj w marcu. Pytał, jak przebiegła zorganizowana w epidemii gala, i prosił, abym nadesłał kilka wierszy do najnowszego numeru „Pegaza”. Wierząc, że do jesieni tego roku koronawirus odpuści i w normalnych warunkach zorganizujemy w październiku br. jubileusz 60-lecia zielonogórskiego Oddziału, a w listopadzie kolejną galę wręczenia literackich nagród, zapraszałem go do przyjazdu. Byłaby to okazja – w normalnych już warunkach – do świętowania jego jubileuszu i uroczystego uhonorowania jego osoby. Niestety, los chciał inaczej...

Niemniej, Irek na zawsze pozostanie w mojej pamięci jako pogodny, ciepły Człowiek wielkiego serca, oddany sprawom literackim druh i jako wielki przyjaciel po piórze... Żegnaj, Irku! Do zobaczenia na niebiańskim Parnasie, na którym – jak zwykle – pierwszy osiodłasz skrzydlatego rumaka i pogalopujesz po boski laur.

Robert Rudiak

prezes Oddziału ZLP w Zielonej Górze

<https://www.facebook.com/Zwi%C4%85zek-Literat%C3%B3w-Polskich-Oddzia%C5%82-Zielona-G%C3%B3ra-1651518211757345>

ODSZEDŁ IRENEUSZ KRZYSZTOF SZMIDT

Ireneusz Krzysztof Szmidt odszedł dzisiaj, 4 maja 2021 roku. Miał 86 lat. Przez kilka ostatnich chorował i słabł. Ostatni raz rozmawiałam z Nim w październiku ubiegłego roku. Było to krótko po tym, jak został uhonorowany Złotą Głorią Artis, najważniejszą nagrodą kulturalną. Kiedy usłyszałam, że ją dostał, pomyślałam sobie: dobrze, że teraz, dobrze, że jeszcze zdąży się nią ucieszyć.

Irek, bo tak przez 30 lat znajomości z Nim do Niego mówiłam, był już bardzo słaby. Przykrym było patrzeć na tego postawnego mężczyznę siedzącego w fotelu z aparatem tlenowym w zasięgu ręki. Ale bystrość umysłu zachował. Niezwykła to była rozmowa. Przez tych 30 lat naszej znajomości przeprowadziłam z Nim może ze dwa lub trzy wywiady i ten ostatni uważam za najlepszy.

Dziwnie się plotły koleje naszej znajomości. A to się pokłóciliśmy o to, czy Ryszard Major miał rację w jakiejś inscenizacji, a to naburczał na mnie za jakiś tekst o literaturze. Ale jednocześnie drukował moje teksty w kolejnych „Arsenałach”, a potem „Pegazach Lubuskich”, zawsze poświęcił chwilę na rozmowę o rzeczach ważnych i banialukach. Zwłaszcza banialukach, które okazywały się rzeczami ważnymi.

Ireneusz Krzysztof Szmidt pojawił się w Gorzowie już w glorii sławy poety, człowieka słowa, który mocno jest zainteresowany zarówno własną twórczością, jak i promocją słowa właśnie, za sprawą swego małżeństwa z Krystyną Kamińską, polonistką z tytułem naukowym doktora, dziennikarką, publicystką, wydawcą, kobietą instytucją. I od razu było to zauważalne zjawienie. Bo Irek wcale nie zamierzał być mężem swojej żony, nie w jego stylu to było. Od razu bardzo mocno zaznaczył swoją obecność. Wziął się za krytykę teatralną, za rozkręcanie życia literackiego. I otwartym tekstem trzeba powiedzieć, że gdyby nie Ireneusz Krzysztof Szmidt, to w Gorzowie nie byłoby tylu ludzi piszących wiersze czy mierzących się z prozą. To jemu się chciało z tymi ludźmi gadać, pomagać im, utwierdzać w tym, że coś dobrze robią, i próbować tłumaczyć, aby nie brnęli w literacki kicz.

Jego choroba zbiegła się z pandemią, czasem, kiedy cała kultura zwolniła i przystanęła. Dlatego Jego odchodzenie z życia publicznego stało się słabiej zauważone. A teraz nie ma, parafrazując Jego słowa – tyle było, a nie ma....

Renata Ochwat

Moja ostatnia rozmowa z Ireneuszem Krzysztofem Szmidtem:

<https://www.echogorzowa.pl/news/5/Rozmowa-tygodnia/2020-10-07/tyle-bylo-a-nie-ma-teraz-juz-nie-ma-28759.html>

<https://www.echogorzowa.pl/news/1/Mija-dzien/2021-05-04/odszedl-ireneusz-krzysztof-szmidt-30332.html>

IRENEUSZA ZNAŁAM OD ZAWSZE

Nasza znajomość zaczęła się już wtedy, gdy pracowałam w Domu Kultury w Myśliborzu. Spotykaliśmy się w WDK w Szczecinie na Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim (OKR) i na podsumowaniu różnych innych konkursów literackich. Także na warsztatach dla instruktorów i opiekunów zespołów teatralnych i grup recytatorskich. IREK wtedy był znany w Szczecinie jako prowadzący swoje zespoły teatralne i kabarety, liczył się jako poeta. Prawie każdego roku zapraszaaliśmy Go na spotkania podczas majowych Dni Kultury, Książki i Prasy, które odbywały się w Myśliborzu i na terenie całego powiatu.



*Z Nagrodą im. J. Iwaszkiewicza
za upowszechnianie polskiej literatury*

Gdy zaczęłam pracować w gorzowskim Wojewódzkim Domu Kultury, a IREK zawitał do naszego miasta jako małżonek Krysi Kamińskiej, byliśmy już starymi znajomymi. A gdy zaczęłam w WDK zajmować się amatorem ruchem artystycznym, mogłam zawsze skorzystać z pomocy Irka. Był jurorem konkursów recytatorskich dla dzieci i dorosłych, jurorem prezentacji różnych zespołów teatralnych i kołędniczych. Prowadził warsztaty i szkolenia z tego zakresu, był wręcz skarbnicą wiedzy. IREK wiedział chyba wszystko. Umiał podpowiedzieć zespołom, co było na tak, a co na nie. Wszystko przystępnie objaśnić tak, że nikt nie czuł się niezręcznie i nie czuł się pouczany.

Któregoś roku zaprosiłam Irka na Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Szuflada” w Choszcznie. Wtedy z otwartą gębą słuchałam, jak mówił o obowiązujących pryncypiach dotyczących także pisania wierszy. Dziwiłam się, jak to możliwe, aby zapamiętać wszystkie plusy i minusy w usłyszanym czy przeczytanym po raz pierwszy wierszu. Oczywiście dyskusja zawsze była burzliwa, bo każdy, kto zaczyna pisać wiersze, wie najlepiej. Ale IRENEUSZ nie narzucał niczego, tylko taktownie tłu-

GORZÓW ŻEGNA

maczył, na czym polega pisanie wierszy, że tu też obowiązują pewne zasady. I dodawał: Jeśli chce się o czymś pisać, najpierw trzeba temat zgłębić. Była to piękna lekcja.

Potem lekcje takie odbywały się w powołanym przez mnie Klubie Literackim Poetów Okrągłego Stołu, w którym IREK był moderatorem i wydawcą antologii. O tym napiszę nieco więcej, bo był to na pewno pewien zaczyn tego, co się potem zadziało w gorzowskiej literaturze. Od 1998 roku przez ponad 15 lat odbywały się, najpierw w schyłkowym gorzowskim WDK, a potem w GDK warsztaty literackie, w których uczestniczyło ponad 100 osób w różnym wieku. Od uczniów szkół podstawowych, poprzez gimnazja, szkoły średnie, studentów i dorosłych. Spotykaliśmy się raz w miesiącu. Już po niecałych dwóch latach ukazał się pierwszy skromny tomik pt. „Niemy krzyk traw”, w którym wydrukowano wiersze 13 autorów. Przyjęliśmy zasadę, że antologie będą się ukazywać co 2-3 lata. Następny tomik pt. „Niedzielni poeci” z 2002 roku zawierał utwory 25 autorów. Nasi podopieczni brali też udział w różnych konkursach poetyckich organizowanych w kraju, zdobywali nagrody i wyróżnienia. Pojawiały się indywidualne tomiki poetyckie. Klub się rozwijał. W 2005 roku ukazał się tomik „Poeci Okrągłego Stołu” z wierszami 38 autorów. W kolejnym tomiku pt. „Zapisani w wierszach” z 2007 roku zamieszczono utwory 40 autorów. W 2008 roku z okazji 750-lecia miasta Gorzowa IREK opracował antologię wierszy „Wysłuchani w kamienie Gorzowa”. Na 66 autorów 29 było członkami naszego Klubu Literackiego. W 2010 roku wyszła czwarta antologia uczestników warsztatów i nosiła tytuł „Słowa rodzą wiersz”. Znalazły się w niej utwory 60 autorów. Pod koniec istnienia Klubu, w 2014 roku, z okazji 15-lecia, IREK przygotował „Portfel z wierszami Poetów Okrągłego Stołu”. Było to piętnaście oddzielnych tomików, połączonych wspólną portfelową okładką i panoramiczną fotografią autora tomiku, wykonaną przez naszą uczestniczkę warsztatów i też autorkę, Anetę Długołęcką.

To wszystko działo się tylko i wyłącznie dzięki pracy Ireneusza K. Szmidta. On nas wszystkich inspirował do ciągłego rozwoju. Pisał wstępy do antologii, znajdował pieniądze i pomagał w wydawaniu indywidualnych tomików. Wielu uczestników warsztatów usamodzielniało się, zdobywało nagrody na wielu konkursach poetyckich w całym kraju, niektórzy także Lubuski Wawrzyn Literacki. Inni byli stypendystami Prezydenta Miasta, Marszałka Województwa Lubuskiego i Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Od 2004 roku istnieje w Gorzowie Oddział Związku Literatów Polskich, którego prezesem przez wszystkie kadencje był niezastąpiony IREK. Na pewno w rozwoju Oddziału pomocą były nasze warsztaty, bo tu wykwały się talenty.

Do końca swojego życia IRENEUSZ redagował i wydawał książki. W 2018 roku ukazał się opasły tom pt. „Poetycki portret miasta Gorzowa i jego mieszkańców”, a w 2019 „Literaci w Gorzowie pod skrzydłami Pegaza”.

Moja znajomość i przyjaźń z IRENEUSZEM i Krysią nie ograniczała się tylko do pracy. Razem byliśmy na trzech zagranicznych wycieczkach. W Hiszpanii poznałam ich zmysł organizacyjny i dzięki nim nie leżałam na plaży tylko zwiedzaliśmy okolice Barcelony. Druga wspólna wycieczka była do Włoch i na Sycylię, a trzecia do Egiptu. Od kilku lat byłam zapraszana



Z „Motylem” – nagrodą Prezydenta Miasta Gorzowa Wilp.

do ich przyjaznego domu na Wigilie.

IREK wspólnie ze swoją żoną Krysią Kamińską tworzyli nieprawdopodobny tandem. Niewiele się działo w literaturze bez Ich udziału. Miałam to szczęście, że cały czas byłam gdzieś w pobliżu tych wspaniałych ludzi.

IRENEUSZ przeżył trochę czasu, zrobił bardzo dużo dla gorzowskiej literatury. Nauczył nas patrzeć na świat przez strofy poezji. Był niekończącym się bankiem wiedzy o literaturze. Był mądrym, dobrym Człowiekiem. Niestety, jego droga ziemską skończyła się 4 maja 2021 roku. Teraz poszybował na Niebieskie Połoniny...

Ireneuszu, żegnam Cię z żalem. Wiem, że w tym, co robiłeś, byłeś niezastąpiony.

Powtórzę za Wisławą Szymborską: „Życie choćby długie, zawsze będzie krótkie”.

Ewa Rutkowska



Z Beatą Klary i dyplomami Lubuskiego Wawrzynu Literackiego

PÓJDĘ DO IRKA!

Gawędziłyśmy z Irenką dosyć długo. Jej rodzice i babcia przyjechali w 1946 roku z Syberii jednym transportem z nami do Rybakowa. Była to wieś zabita deskami, a teraz...

– Czyj jest dom, w którym mieszkaliśmy z mamą? – zapytałam Irenkę. Nigdy tym się nie interesowałam. Ledwo pozbyliśmy się go. Aby zameldować mamę w Gorzowie, trzeba było znaleźć następcę. Za darmo nikt nie chciał wziąć ani domu, ani ziemi. Zostawiłyśmy więc na zachętę wszystkie meble i urządzenia gospodarcze.

Pamiętam, że w sypialni stała ciemna szafa, toaletka i dwa stoliki nocne z białymi marmurowymi blatami. W stołowym – ogromny rozkładany stół i przepiękny dębowy kredens z wprawionymi kryształowymi szybkami. Lekkie meble, typu krzesła, były przed nami wyniesione przez pierwszych osadników i podobno zużyte na opał.

Dowiedziałam się od Irenki, że obecnie mieszka tam córka państwa Szadnych, którzy odkupili ten dom od kiepskich i niegospodarnych następców mojej mamy.

– Wiesz, Irenko, choć nie bardzo mogę chodzić, ale przy pomocy kuli chyba dokuśtykam do domu sprzed sześćdziesięciu lat. Może obejrzę zabytkowy kredens.

Boże, myślałam po drodze. Jak ten powojenny czas szybko minął, a lata wojennej gehenny wciąż mam w głowie. Jak bardzo zmieniła się Polska, głównie w latach unijnych. A moje Rybakowo w szczególności.

Dom był wtedy z czerwonych klinkierowych cegieł i z bordowymi okiennicami. A co widzę? Na tym miejscu stoi dom otynkowany na biało. Nie ma drewnianego okapu na szczycie, nie ma drewnianej dobudowanej werandy, nie ma starej szopy, nie ma studni na podwórku, nie ma winogron na ścianie domu. Nie poznałabym. Weszłam na zadbane podwórko. Zapukałam do solidnych drzwi, nikt się nie odezwał. Nacisnęłam klamkę, drzwi się otworzyły, ale nikogo nie widziałam. Zobaczyłam ładne, puste wnętrze, zawołałam:

– Jest tam kto?

Wyszła pani ze smutną miną. Przedstawiłam się i chciałam powiedzieć, w jakim celu przyszłam, ale nie dała mi dojść do słowa. Twarz jej się rozjaśniła:

– Boże, spadła mi pani z nieba. Wczoraj skończyłam czytać pani książkę „Od Kazachstanu po Gorzów Wielkopolski”. Pożyczyła mi ją sąsiadka. Podobno w październiku 2020 roku miała pani w Rybakowie promocję swoich książek. O niczym nie wiedziałam, bo siedziałam przy chorej mamie. Pytałam brata Waldka, czy tu pani mieszkała, odpowiedział, że chyba nie. Potem zapytałam żonę Rysia Paszkowskiego, Jolę, ona z całą pewnością wiedziała, że pierwotnym polskim mieszkańcem tego domu była pani Maria Tanona i jej córki: Lusia, czyli pani, oraz starsza Natalka. Chciałam koniecznie nawiązać z panią kontakt i zdobyć pozostałe książki. Nawet wczoraj poszłam na przystanek autobusowy i pytałam, kto zna panią. Zgłosiły się dwie osoby, ale nie znały ani adresu, ani numeru telefonu. Poradziły mi, abym się zgłosiła do pani sołtys, bo ona była współorganizatorką październikowej promocji. Postanowiłam dzisiaj kontynuować poszukiwania, a tu pani stoi

przede mną. Co za nadzwyczajny zbieg okoliczności! Prawie cud! O, jak się cieszę!

Weszłam do domu. Wszystko zostało zmienione. Stały nowoczesne meble, a kredensu nie było. Wywiozła go rodzina.

Rozmawialiśmy długo i o wszystkim. Okazało się, że Jola Szadna przyjechała do chorej mamy po trzydziestu latach pobytu w USA. W styczniu zmarła jej mama i teraz zastanawia się, co robić. Wracać na Florydę, gdzie ma syna, synową i wnuczkę, czy zostać w Rybakowie – cichym i przytulnym miejscu na ziemi. Mąż nie żyje. Ma w Gorzowie rodzinę, nie czuje się samotnie. Wysłuchałam jej niezwykle ciekawego życiorysu emigrantki.

Potem rozmawiałam w Rybakowie z innymi potomkami Sybiraków. Stwierdziłam ze smutkiem, że jestem jedyną żyjącą osobą, która zamieszkała w Rybakowie w kwietniu 1946 roku.

Po tych różnych spotkaniach pomyślałam: pójdę do Irka i poradzę się, czy nie warto napisać książki o dalszych losach rybakowskich Sybiraków, o ich dzieciach urodzonych już w Polsce. Są wśród nich ciekawe postacie.

Boże! Prawie, że krzyknęłam sama do siebie: o czym ja myślę? Nasz kochany prezes ZLP Ireneusz Krzysztof Szmidt nie żyje od miesiąca, a ja do niego się wybieram. Niestety, nie wybiorę się do Ciebie, Irku, ale napiszę do Ciebie list. Odczuwam ogromny brak Twojej Osoby. Dzięki Tobie i Twojej małżonce napisałam cztery książki.

Pamiętam, jak po śmierci mojego męża Pawełka doradziłeś mi pisanie o nim jako antidotum na dręczący mnie smutek. Napisałam. Przeczytałeś. Zwróciłeś brudnopis z komentarzem: „Nikt tych smutności nie będzie czytać – pisz od nowa”. Dał wskazówki. Postarałam się skorzystać z tego. Stwierdziłeś, że w nowej wersji można spokojnie wydać książkę i pięknie się wpisałeś jako konsultant literacki.

Na warsztatach literackich, na które chodziłam od 2005 roku, zawsze podziwiałam Twoją pracowitość i wnikliwość w ocenie pisarskich próbek uczestników.

Preferowałeś poezję. Dwie powieści familijne, jakie ja napisałam, nie budziły Twojego wielkiego zainteresowania, ale je konsultowałeś ze mną. Wiedzieliśmy też, że ten rodzaj powieści zawsze znajduje nabywców. Dbaliś o opinię wydawcy, czyli Związku Literatów Polskich.

Irku, byłeś jak magnes, przyciągałeś ludzi, różnych ludzi. Tych, co lubili pisać, tych, co lubili czytać, i tych, co lubili słuchać. Twoja charyzma działała również na małżonkę Krystynę Kamińską i córkę Katarzynę Szmidt.

Spraw, by tam, z zaświatów, Twoje dzieło było kontynuowane. My, Twoi przyjaciele, będziemy czytać Twoją poezję, prozę i interesujące artykuły zamieszczane w „Pegazie Lubuskim”. Czytać chcemy nie tylko w bibliotekach czy klubach, ale również na prywatnych spotkaniach. Spraw też, abym ja, Twoja równolatka, miała na to siłę.

Łucja Marczyk-Rajchel
Gorzów Wlkp. 9.06.2021



WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM

Konkurs na fraszkę im. Jana Grossa. Czyt. s. 29.

W TYM NUMERZE: ESEJ JERZEGO ALSKIEGO, FELIETON CZESŁAWA SOBKOWIAKA, ROZMOWA Z MACIEJEM DUDZIAKIEM. DLA NAS PISZĄ PROZĘ: MAREK STACHOWIAK, MAREK LOBO WOJCIECHOWSKI, HANNA BILIŃSKA-STECYSZYN, WALDEMAR SZYMCZAK, ANETA GIZIŃSK-HWOZDYK, MAREK BUCHOLSKI. WIERSZE NADEŚLAŁI: MARIA BORCZ, RENETA PALIGA, ARTUR WODARSKI, JERZY HAJDUGA, BEATA P. KLARY, ROBERT RUDIAK, TOMASZ WALCZAK, JOLANTA KARASIŃSKA, JANINA JURGOWIAK, ANNA ŻŁOBIŃSKA, ANNA STRZELEC. O NOWYCH KSIĄŻKACH: „KROPKA ZNAD I”, „ROZDANIE”, „PODRÓŻE”, „EPIZODY Z ŻYCIA MOJEJ MAMY”, „CHCĘ DO NIEBA”. HUMOR: JACK LAUDA, KAROL WOJDYŁO, FERDYNAND GŁÓDZIK. W TYM NUMERZE ŻEGNAMY LUDWIKA LIPNICKIEGO.

Tomasz Korbanek

Kwiecień 2021

Obłoki rtęci płyną miarowo,
skrytość maseczki tłamsi
słowa w kącikach ust;
pandemia trwogi
wygasa światła w oknach wieżowców,
znakując drzwi klepsydrami
schodzi do piwnic podświadomości.

Można by...

Zmyć z mięśni twarzy
barwy ochronne,
odłożyć na bok ostrość żyłki,
wyjść
prosto do parku,
pomarańczową kałużą słońca
rozmyć horyzont,
przez dziesięć minut
wchodzenia w okrąg
przestać się bać.

Pejzaż wieczorny

Deszcz wsiąka w drewno,
pustosząc ławki,
spod klosza liści błyska żarówka,
buldog sąsiada szczeka
na licho w trawie,
ze stropów nieba
kropla za kroplą
sączy się melancholia,
spulchniając grunty
kielkuje wierszem.

LEKCJA

Pomimo ciągle serca ściskającej melancholii – serca nas wszystkich, skupionych wokół Ireneusza, z którym przyszło nam pożegnać się w definitywny sposób – postanowiłem utrzymać kolejny front-esej w dotychczasowych klimatach, uważając, że w ten sposób oddam Mu hołd tym bardziej i uraduję Go, gdziekolwiek jest teraz, ponieważ dla Niego najbardziej liczyło się jedno: dobra metafora. To głosił i tego nas uczył. Postaram się, aby miał On po raz kolejny powód do uśmiechu: to ja ciebie tego nauczyłem.

Jak wiadomo, Edyp, syn króla Teb, wskutek pewnej przepowiedni został porzucony w górach. Ponadto gwoździami przebito mu stopy. Ta sama przepowiednia po latach nakazała mu ucieczkę z królestwa Koryntu, skąd oddalając się, zabił niechcący w przydrożnej sprzeczce pewnego starca, a to był jego ojciec, król Teb, małżonek Jokasty, jego matki. Dalej przewrotny los poprowadził go pod mury Teb właśnie, gdzie grasował Sfinks, zadając zagadki turystom i akwizytorom, a później zjadając ich czy też strącając ze skały, jeśli nie rozwiążali zagadki. Edyp zagadkę rozwiązał. Sfinks, w poczuciu własnej już teraz bezpotrzebności, rzucił się w przepaść, Teby wróciły do ożywionej ekonomii, zaś Edyp poślubił owdowiałą królową Jokastę, własną matkę. Musiała być niezłą laską – celebrytką antycznego świata, skoro Edyp miał z nią czwórkę dzieci, zresztą później pełniących ważne role w mitycznej historii śródziemnomorza. Po czym do Teb przyszła zaraza, a jeszcze później zdarzyła się cała reszta tej historii.

Losy Edypa są nam znane poprzez spisane mitologie i mitografie, przy czym nawet te ostatnie nie były w stanie dostarczyć logicznego wyjaśnienia, czemu – właściwie – winien był Edyp, skoro tak naprawdę nie był winien niczemu, a powiadomiono go po fakcie – i tutaj Tejrezjasz jawi się niczym zawsze niepożądany list z urzędu skarbowego – że zdefraudował swoje życie i należy zapłacić grzywnę z karnymi odsetkami. A on był przekonany, że ze wszystkich sił wypełniał przestrogi urzędu, to znaczy bogów. Znakomicie wykorzystał to dramaturg grecki Sofokles, który napisał tragedię o tytule „Król Edyp”, ilustrującą przejmująco i zreżymionym fakt, że nawet jeśli nie jesteś winien, to i tak jesteś, sko-



ro prezydium tak zdecydowało. Ale! Nie jest to jedyna sztuka sceniczna o tym tytule, bowiem Herbert Rosendorfer w swojej nieco schizofrenicznej opowieści o niedokończonym końcu świata pod tytułem „Budowniczy ruin”¹ przytacza obszerne fragmenty jednoaktówki „Król Edyp” bliżej nieznanego dramaturga o nazwisku Leopoldo Sagredo. W odróżnieniu od Sofoklejskiego rozmachu Sagredo koncentruje się na epizodzie zarazy w Tebach, przedstawiając ją w sposób jakby bardziej pragmatyczny aniżeli wzniosły. W dodatku u Sagreda bohaterowie obrażają siebie nawzajem, a także robią różne świństwa. Z tych wszystkich powodów „Król Edyp” Leopolda Sagredo wydaje się jak najbardziej nadawać do zamierzonych rozważań o niektórych aspektach zarazy, w każdym razie bardziej niż Sofoklejska tragedia, w której do samiuteńkiego końca widzowie doznają uczucia grozy, a przecież doskonale wiadomo, że tak się nie da i niemal każdy, zamknięty półtora roku w chałupie, w końcu zacznie się śmiać, a przynajmniej zamówi parę flaszek. Z dostawą do domu, z racji zarazy.

Czas zarazy. Zmiercha. Dwóch strażników dyskutuje na tebańskich murach.

Pierwszy strażnik: *Może by nie przyszło takie okropne, gdyby wody nie zabrakło.*

Drugi strażnik: *Kiedy przychodzi, to przychodzi.*

Stwierdzenie drugiego strażnika, pomimo, a może właśnie dzięki zawartej w nim tautologii, w genialny sposób ukazuje, co możemy zrobić, nadomyślać się i naprzewidywać. Nic – możemy sobie nagwizdać. Bo kiedy przychodzi, to przychodzi i już. Kilka tysięcy lat po tebańskiej zarazie jesteśmy, w gruncie rzeczy, tak samo mądrzy jak oni wtedy. Prawie dwa lata temu pociągi jeździły, samoloty latały, uprawnieni obywatele wydawali pieniądze na seszelskie wakacje i owoce zbyt egzotyczne, aby je tu wymieniać, autorytety epidemiczno-wirusologiczne łąły balsamy na nielicznych zaniepokojonych, co ochoczo powtarzali politycy (nie mylić z jakimikolwiek autorytetami), a Chińczycy zrobili zakluk-zakluk jedenastu milionom ludzi w mieście Wuhan. Bo tam już przyszło. Co było dalej – wiemy. Za-

kluk-zakluk zrobili wszyscy i wszędzie. Bo przyszło wszędzie. A jak przychodzi, to przychodzi.

Przychodzi, przychodziło i będzie przychodzić, z regularną nieregularnością. Każde, nawet najmniejsze żyjątko, ma dwa marzenia: najeść się i rozmnożyć. Drugie bez pierwszego nie za bardzo jest możliwe, dlatego na przykład ludzie, zanim przystąpią do drugiego, zapraszają się nawzajem na kolację. W tym momencie należy zastanowić się, co kto ma na talerzu. My – prawie wszystko, a bakterie i wirusy? One najpierw muszą naostrzyć noże i widelce – to się nazywa mutacja – aby wybrać się na poszukiwanie posiłku. Ale naostrzywszy, te maleństwa mogą wdrzeć się do dowolnie wybranej restauracji, pożywić się i pomnożyć. Nam pozostaje barykadować drzwi przed hunwejbunami, spragnionymi naszego widoku na talerzu i naszego smaku na podniebieniu. Gdybym miał kusić się o bardziej malownicze porównania: wyobraźcie sobie sześć miliardów krów na ziemskich pastwiskach i miriady mikrusów siedzących na płocie i marzących o stekach. Biologia jest nieubłagana, mutacje dokonują się nieustannie i proszę mi wierzyć: nieważne, naturalne czy sztuczne. Kiedy przyjdzie, to przyjdzie. I już – nie przewidzimy tego. Ale możemy przynajmniej pamiętać, że może przyjść. Biorąc to pod uwagę, możemy nauczyć się odrobiny dyskrekcji. Triumfalizm i rozpieranie się jest prowokowaniem potencjalnych konsumentów.

Ci sami dwaj strażnicy. Dyskusja toczy się wokół robaków wpelzających na mury Teb, robaków zapewne wnoszących zarazę do miasta.

Drugi strażnik: *Komendant kazał wiązać miotły, mamy je nimi zmiatać z murów.*

Pierwszy strażnik: *A jeśli ciągle od nowa będą wpelzały na górę?*

Drugi strażnik: *Miotły są poświęcone. Tej rezjasz weźmie się dziś do poświęcania miotel.*

Pierwszy strażnik: *Czy wierzysz w poświęcanie miotel?*

Drugi strażnik: *Wierzę w miotły.*

Drugi strażnik u Leopolda Sagredo jest moim idolem. Sentencjonalność jego wypowiedzi zasługuje na coś więcej niż tylko na wzmiankę w którymś tomie teatrologii. On wierzy w to, co widzi. Za pomocą miotel zmiotane są robaki, dzięki temu do miasta wdziera

się robaków mniej. Poświęcenie miotel, zatem ich sakralizacja, fetyszyzacja, nie ma tu nic do rzeczy. Dla niego liczy się jedynie obserwowana skuteczność użytego środka.

Okres zarazy obfitował wysypem rozmaitych sekciarskich autorytetów, a to głoszących prawdy absolutne o manekinach leżących pod respiratorami, a to o uzdrowicielskim wpływie różnorodnych środków od tradycyjnie najzdrowszej coca-coli począwszy, a na nieszczęsnym Viregycie skończywszy, o niedobrości wszystkich bez wyjątku szczepionek z ilustrowaniem tych opowieści fotografiami ludzi, którzy uczestniczyli w kopaniu rowów dla poszczepionych, potem o siejącej spustoszenie jednej szczepionce w kontrze innej, po której jakoby nawet łatwiej zająć w ciąży, o czipach wszczepianych zmyślnie, abyśmy zasuwali za miskę ryżu, a na koniec pozjadali się nawzajem, potem o czymś jeszcze i jeszcze... Oglądaliśmy występy profesorów (ale nie medycyny), dyrektorów instytutów (ale nie mikrobiologii), celebrytów wreszcie, których umiejętność wzięcia wysokiego *c* upoważniała do wzięcia udziału w każdej dyskusji z głosem absolutnie autorytatywnym. Kwestie święcenia miotel bądź nie, wiązania ich o wschodzie lub zachodzie słońca, zamiatania końcem węższym lub szerszym – wszystko to były problemy fundamentalne w kręgach płaskoziemców, ufologów, antycovidian, tych wszystkich, które gimnazjalny socjolekt zamyka w pojęciu: szury. Biorąc pod uwagę dostrzegalną teraz już chyba dla każdego skuteczność miotły-szczepionki, być może rząd, jeśli opór antycovidian przed szczepieniem stanie się wartością trwale przez nich wyznawaną, zmuszony będzie jesienią wprowadzić dla nich recepty na szpadle z trzydziestoprocentową refundacją. W końcu, jeśli z obrzydzeniem odrzucili szczepienia, coś im się w zamian należy. Trzeba jednak mieć nadzieję, że obserwowana skuteczność miotel w końcu ich przekona. Wszystkim od tego będzie lepiej, a z pewnością zdrowiej.

Późny zmierzch. Te same tebańskie mury.

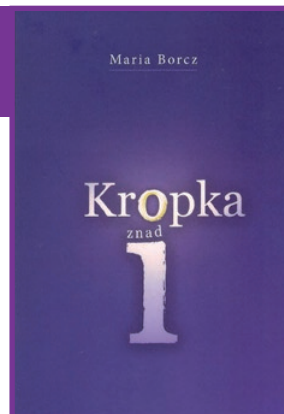
Drugi strażnik: *Zaraza jest sprawiedliwą karą bogów.*

Pierwszy strażnik: *Za co?*

Drugi strażnik: *Za sprawy nieznanne. Może być i tak, że za zbrodnie, które spoczywają jeszcze w tonie przeszłości albo*

1 Herbert Rosendorfer, „Budowniczy ruin”, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1972.

MARIA BORCZ – NOWY TOM WIERSZY „KROPKA ZNAD I”



I

w rajskim ogrodzie
rośnie potężne drzewo
majestatem wyznacza axis mundi
wspiera nieboskłon
przechowuje odwieczną prawdę
w jego cieniu bawią się
dzieci podobne do kropki
nie skaczą w gumę
w klasy
nie grają w kółko graniaste
w cymbergaja
w starego niedźwiedzia
nie wymiatają klipą kiczki
one igrają z ogniem
wiatr rozprzestrzenia płomień
na krzaki mojeszowe i rajskie owoce
pożar trawi wszystko
spoza dymnej zasłony uciekają
tylko zwierzęta
dzieci są ogniotrwałe
chronione pancerzem praw
który ogranicza interwencję rozsądku
ulatują popiołem
bez stresu
jak latawce
donikąd

II

kropka znad i
urwała się
od podstawy
literę pisze od nowa

paragrafuje
układ pomiędzy
niebem a ziemią

plącze sacrum z profanum
niszczy autorytety
modyfikuje miłość

na cokółach
ustawia cielce
ze złota

utrwała
kamień w sercu
by nigdy nie skruszało

III

wycięto
już dęby
sosny buki

pozostały
jedynie świerki

drewno z nich
sękate

pęka wypacza się
murszeje

coraz mniej drzew
na krzyże

kropka się
zastanawia

jaką funkcję na grobie
spełni krzyż

komuś
kto wyparł się Boga

WYRAZIĆ SIEBIE

Była sobie kropka nad „i”. Mała, zgrabna, urodziwa, tyle że ściśle związana z kreską, z którą tworzyła jedną literę. Tymczasem słyszała wokół, że powinna być bardziej samodzielna, wyrażać siebie, oderwać się od otoczenia i przeszłości. Być sobą. Iluż to młodych ludzi słyszy, że trzeba wyrażać siebie w piosence, tańcu, modzie, wyglądzie, zachowaniu w codzienności, w kontaktach z rodzicami i ze starszymi. Pod wpływem takich wskazań kropka oderwała się od kreseczki i ogłosiła, że teraz jest samodzielną Kropką znad „i”. A Maria Borcz uczyniła ją bohaterką najnowszego tomiku. Składa się on z 30 wierszy i epilogu, na który złożyły się trzy wiersze.

*

Maria Borcz jest autorką 12 tomów poezji i niedużej książki o charakterze wspomnieniowym. Zaczynała od wierszyków satyrycznych, ale już od trzeciego tomu dominuje tematyka inspirowana

obserwacjami współczesnego życia. Tytuły świadczą o jej głębokim niepokoju: „Z kałuży miasta”, „Duchowy kanibalizm”, „W hotelarni świata”. W latach pracy zawodowej była katechetką, a związki z wiarą katolicką są u niej wyraźnie widoczne, choć bez nadmiernego pouczenia.

*

Na początku Kropka zastanawia się nad swoim miejscem w życiu. Czuje się uwięziona, osaczona, a tym samym niesamodzielna. Rodzi się jej bunt:

*Jestem / okrągłym kleksem / groszkiem
plamą / ożywionym punktem // kręcę się /
wokół własnej osi / po orbicie przetrwania
// od serca / do rozumu / zawsze ta sama
odległość // czy może zaistnieć / niepodległy
byt / na okrągło uwięziony (s. 14).*

Już wie: będzie niezależna, samodzielna, ważna. Przede wszystkim więc musi zmienić swój wygląd:

*W trosce o przyszłość / doczesną i wieczną /
kropka znad i / modyfikuje siebie /
w laboratoriach // poprawia geny / fizys /
i psyche / pragnie stać się kimś (s. 21).*

Teraz musi doprowadzić do przewartościowania wielu utrwalonych (ale czy słusznie?) wartości:

*niszczy autorytety / modyfikuje miłość /
na cokółach / ustawia cielce / ze złota (s. 7).*

Sama nie będzie w stanie doprowadzić do takich przewartościowań, więc wychodzi na ulice / z transparentem (s. 12).

Największą zmianę wprowadza do samej siebie, swojego charakteru:

*utrwała / kamień w sercu / by nigdy
nie skruszało (s. 7).*

*

Niespodziewanie dla Kropki, tak jak dla nas wszystkich, przyplątała się zaraza. Przeszkadza Kropce, bo ją ogranicza. Nie! Kropka się buntuje, ignoruje niebezpieczeństwo choroby, może nawet śmierci. Ona jest tak samodzielna, że nie może się poddać głupiej zarazie!

Nie wiemy, czy Kropka zachorowała, jak przechorowała, czy może doczekała się zaszczepienia, choć jako osoba młoda była daleko w kolejce.

O MIRAŻACH WOLNOŚCI I NADWRAŻLIWOŚCI SERCA

Przejmujące są wiersze o zarazie, która zamknęła nas wszystkich w domach, pozbawiła kontaktów z bliskimi, ograniczyła do podstawowych życiowych czynności. Maria Borcz jeszcze raz wykażała wrażliwość na aktualne zdarzenia.

*

Ważniejszy jednak od incydentalnej zarazy jest proces, jakiemu podlega wyzwolona Kropka. Wokół siebie widzi coraz więcej pustki, jej pomysły nie znajdują odbiorców, przestaje być atrakcyjna, bo ujawnia się jej płytkość:

z czasem powszednieje / traci atrakcyjność / wychodzi z mody (s. 26).

Pozbawiona korzeni / pływa po powierzchni / z okrągłym światopoglądem / wpasowuje się wszędzie (s. 20).

Kiedyś / stanie się pianą / wsiąknie w piach (s. 11).

*

Maria Borcz napisała poemat-przestrógę przed odrywaniem się od korzeni, przekreśleniem tradycji, przed zaufaniem w samodzielność i „wyrażaniem sobą”. Rozpoczęła zabawnie, bo od modyfikacji zwyczajnej kropki. Dopiero w trakcie samodzielności Kropka znad „i” dowiaduje się, że sama nie wyraża nic, że jest ważna tylko razem z laseczką, bo wtedy tworzy znaczące „i”.

*

W tomiku jest jeszcze epilog złożony z tylko trzech wierszy. Wierszy religijnych. W pierwszym autorka buduje metaforę, przywołując rajskie drzewo – jabłoń, która łączy ziemię z niebem. W jego cieniu bawią się dzieci. Ale nie w znane dziecięce gry i zabawy, lecz *one igrają z ogniem*. Jeśli ogień, to musi przyjść pożar. Dzieci się nie boją, bo *są ogniotrwałe / chronione pancierzem praw / który ogranicza interwencję rozsądku*. Jednak ten pancierz im nie pomógł: *ulatują popiołem / bez stresu / jak latawce / donikąd*.

Dwa następne wiersze bezpośrednio traktują o związku człowieka z Bogiem, a ostatni kończy się wyznaniem: *tylko w Tobie mogę / pojednać się z sobą // zawrócić z drogi / do nikąd*.

Maria Borcz, „Kropka znad i”, wyd. Pisarze.pl, Warszawa 2020, 44 s.

W najnowszym zbiorze wierszy, „Kropka znad i”, Maria Borcz przedstawia otaczającą ją rzeczywistość: polityczną, społeczną, obyczajową i kulturalną, oczami wymyślonej przez siebie bohaterki – Kropki.[...]

Tytułowa Kropka symbolizuje człowieka współczesnego i pewne trendy, które wszyscy obserwujemy. Równocześnie to wymyślona, wzmocniona w swojej charakterystyce, ubarwiona i zdynamizowana postać. I w tym właśnie widać zmysł satyryczny autorki tomu, Marii Borcz. To jej osobisty głos na temat zmian, które zauważa wokół siebie i które są jej obce, a nawet budzą poważne obawy. Po takim odczytaniu rzeczywistości odbiorca może pomyśleć, że mamy do czynienia z publicystką, bo w zaprezentowanych utworach znajdujemy sugestię konkretnych sytuacji, działań, gestów, słów i emocji. Wszystko to dzieje się na tle bliskiej nam współczesności. Natomiast w wielości poruszanych problemów, punktowo ale wyraziście zaznaczonych, a dotyczących różnych dziedzin życia, jakby rozrzuconych w przestrzeni wierszy, dostrzec możemy cechę powieści. Ale pochylamy się nad poezją. Jej cechą charakterystyczną jest, nasycona treścią, synteza i lapidarność. „Obraz graficzny wiersza”, który przekłada się na jego formę i treść, to niewiele słów i znacząca przestrzeń między słowami. Autorka posługuje się kontrastami, wykorzystuje siłę znaczeniową paradoksu. Zdarza się, że ten sam utwór, czy też jego fragment, możemy zinterpretować zupełnie przeciwnie. Wymowa wierszy często jest niejednoznaczna. Za to jest w nich wyraźna konstrukcja i dążenie do krótkiej, czyli kilkuwersowej, ciekawej puenty. Narratorka tomu „Kropka znad i” powściąga się nie tylko w „używaniu słów”, ale również w wyrażaniu emocji. Jest ironiczna, bywa też przewrotna. [...] Zastanawia konsekwencja tematyczna i formalna wierszy. Ich bezpośredniość, wręcz surowość. No cóż, to bardzo mało liryczna poezja – w potocznym rozumieniu tego słowa. [...] Na szczególną uwagę zasługuje „Epilog”, składający się z trzech wierszy. Znajdujemy w nim ciekawe przedstawienie: *w rajskim ogrodzie / rośnie potężne drzewo / majestatem wyznacza axis mun-*

di / wspiera nieboskłon / przechowuje odwieczną prawdę. Zamiast Adama i Ewy, widzimy pod nim dzieci, które niebezpiecznie igrają z ogniem, doprowadzając do zniszczenia raju. I choć same – jak zapewnia narratorka – są ogniotrwałe, i może właśnie dlatego pozbawione instynktu samozachowawczego, to jednak giną: *ulatują popiołem / bez stresu / jak latawce / donikąd* („w rajskim ogrodzie”). Można powiedzieć, że jaka rzeczywistość ziemską, taki i raj. Ten pozbawiony jest obecności Boga, a nawet Jego pragnienia. Świadomości, jaka jest wartość życia i czym jest śmierć, także cierpienie. Nie ma tu podstawowego rozpoznania dobra i zła. Jaką więc rolę spełnia to wspaniałe drzewo? Podtrzymuje nieboskłon i przechowuje odwieczne prawdy w oczekiwaniu na lepszy czas? Raj, choć inny od swojego biblijnego wzorca, kryje w sobie cząstkę metafizyki, ale i ona zostaje zniszczona przez, ograniczonych intelektualnie i moralnie, nastoletnich profanów. Czy właśnie tacy ludzie przyjdą po nas? A ich nieświadomą tragedią będzie ulecenie jako popiół, a nie nieśmiertelna dusza?

Z kolejnych utworów wyłania się obraz życia wewnętrznego autorki, która otwiera się przed czytelnikiem. Spokojnie i jawnie świadczy o swojej wierze. W czasie chaosu, gwałtownych przemian i śmiertelnej pandemii, stara się znaleźć „pokój serca” w Bogu i modlitwie. Pokazuje nam wizerunek osamotnionego Boga, ukrytego w Eucharystii i zamkniętego w pustym i ciemnym kościele, jak w lochu. Pozwala odbiorcy włączyć się w swój duchowy dialog z Nim: *jeszcze pragnę / oczyścić wstydliwą pamięć / odczytać sens / i rolę własnego cierpienia / tylko w Tobie mogę / pojednać się z sobą* („zostań ze mną”).

Tak kończy się ten nieco prowokacyjny, zawierający prawdziwą i surową ocenę rzeczywistości i człowieka, dobitny i pesymistyczny, jeśli idzie o wizję przyszłości – tom wierszy. Wyciszeniem i refleksją. Zachętą do zagłębienia się w siebie. Skupione, szczere i pokorne wejrzenie w siebie to, zdaniem Marii Borcz, jedyna nadzieja, że kiedyś... nie ulecimy w pustkę.

Hanna Strychalska

USIADŁ I NAPISAŁ, CZYLI JAK POWSTAŁ NAJNOWSZY „TOMEK”

Z dr. Maciejem J. Dudziakiem, antropologiem kultury i autorem „Tomka na Alasce” rozmawia Renata Ochwat

– Skąd wziął się Tomek Wilmowski w twoim życiu?

– Jestem przekonany, że jak w przypadku dużej części mojego pokolenia, ale i starszego, bo pierwszy tom z Tomkiem został opublikowany w 1957 roku, czyli dla nas w tamtych czasach był on kolegą-przyjacielem, wzorem do naśladowania. Można zatem powiedzieć, że „Tomki” zawierały pokoleniowe doświadczenie. Nie ma w tym nic niezwykłego, że jako bardzo młody chłopak zaczytywałem się jego przygodami.

– Co takiego było w tych książkach, że młody człowiek jednak dłużej przy nich trwał?

– Dla mnie było to wyjście do czegoś, co w PRL nie było możliwe do osiągnięcia. Przecież nie było możliwości podróżowania. Mało tego, nie było możliwości takich jak teraz – pośredniego doświadczania rzeczywistości przez internet.

– Co masz na myśli?

– Klikasz w klawiaturę komputera i można niemal poczuć bryzę jakiegoś egzotycznego morza. W tamtych latach właśnie książki dawały możliwość doświadczenia odmienności, nie tylko w sensie geograficznym czy przyrodniczym, ale też w sensie kulturowym. I to moim zdaniem były ich podstawowe atuty. Do tego trzeba dołożyć, że były to książki przygodowe i pisane dość prostym językiem.

– Nie tylko Alfred Szklarski w tamtym czasie pisał książki przygodowe.

– Oczywiście, ale – pierwsza kwestia – „Tomki” były adresowane do nieco starszych dzieci i młodszej młodzieży i właśnie ta grupa mogła się utożsamiać z głównym bohaterem. Czytelnicy poznawali rówieśnika, który ku ich ogromnej zazdrości przeżywał to, czego oni przeżyć nie mogli. Drugi element – to jest doświadczenie przygody, a przecież za przygodą wszyscy, niezależnie od tego, czy to chłopiec, czy dziewczynka, wszyscy tęsknili. Na tamym rynku wydawniczym książek przygodowych było stosunkowo mało. W przeciwieństwie do innych powieści przygodowych, jak choćby Karola Maya, który opisał swego Winnetou, „Tomki” były bardzo mocno osadzone w realiach historycznych i były bardzo dobrze, jak na tamte czasy, umocowane faktograficznie. Czyli było to coś, czego nie stosował chyba żaden z ówczesnych pisarzy, a przynajmniej nie w takim wymiarze. I jeszcze przypisy umieszczone na dole strony. Proszę zwrócić uwagę, że inni poczytni pisarze tamtego okresu pisali o Ameryce Północnej – jak Sat Okh, Wiesław Wernic, Longin Jan Okoń – stosowali przypisy, ale bardzo zdawkowe i umieszczone na końcu książki, co mocno utrudniało czytanie. Tak więc ufundowanie powieści na faktografii i przy użyciu przypisów, jak na tamte czasy, to był zabieg kompletnie niespotykany. Zresztą obecnie to też rzadkość.

– Czyli Szklarski wymyślił coś nowego?

– Dokładnie, Szklarski wymyślił coś nowego, jeśli chodzi o pisarstwo przygodowe skierowane do dzieci, bo dostajemy książkę, o której można sądzić, iż jest to zarówno fikcja literacka, ale też zarazem prawda. I to jest ta wielka siła „Tomków”.

– Mija wiele lat i nagle ty postanawiasz napisać kontynuację. Jak to się stało?

– Jako wierny fan „Tomków” na ich kanwie wymyśliłem sobie kierunek studiów – etnologiczne amerykańskie. Wy-

ruszyłem na te studia do najsilniejszego wówczas ośrodka, czyli do Poznania. Tak się złożyło, że po pierwszych trzech latach studiów wyjechałem na studia nie na Zachodzie, ale przede wszystkim na północy Europy, bo do Finlandii. Wtedy trochę mi się zerwała transmisja tego, co się działo na rynku wydawniczym w Polsce. No i właśnie w tym czasie na rynku ukazała się dziewiąta część przygód Tomka Wilmowskiego zaprojektowana przez Alfreda Szklarskiego, ale którą zredagował Adam Zelga. Wpadła mi w ręce dopiero kilka lat po wydaniu. Pomyślałam sobie, że skoro dziewiątą część napisał ktoś inny niż Szklarski, to ja dla swojej własnej przyjemności też sobie napiszę dwa rozdziały. A miałem już za sobą fińskie doświadczenia, czyli daleką północ, choć nie Alaskę, ale duże podobieństwa są oczywiste. No i tak po prostu, dla własnej przyjemności usiadłem i napisałem.

– Niezwykłe.

– Ale tak było. Dałem to komuś do przeczytania i usłyszałem – wiesz, to jest dobre. Na co ja – no i fajnie. Osiągnąłem to, co chciałem. Trzeba dodać, że czytał to też pewien Tomkolog. Po pewnym czasie dostałem adres mailowy do wydawnictwa, bo to już były czasy internetu. Wysłałem te dwa rozdziały, oczywiście bez liczenia na cokolwiek. Byłem natomiast mocno zdziwiony, bo po dwóch czy trzech dniach zadzwoniła do mnie pani Małgorzata Czarzasty z komunikatem: – Wie pan, nam się to bardzo podoba. Czy chciałby się pan spotkać i podpisać umowę? Był 2002 rok. Spotkaliśmy się wówczas. Podpiliśmy umowę. Napisałem połowę. Ale zadzwoniła do mnie ponownie pani Małgorzata i poinformowała, że sytuacja się zmieniła, bo wdowa po Szklarskim, pani Krystyna Szklarska, choć wcześniej się zgodziła na kontynuację, jednak ostatecznie ją wycofuje. Uznała, że dzieła kontynuować nie można, tym bardziej że mąż nie zostawił żadnych szkiców ani notatek. Tak więc umowa nie została zerwana, ale zawieszona.

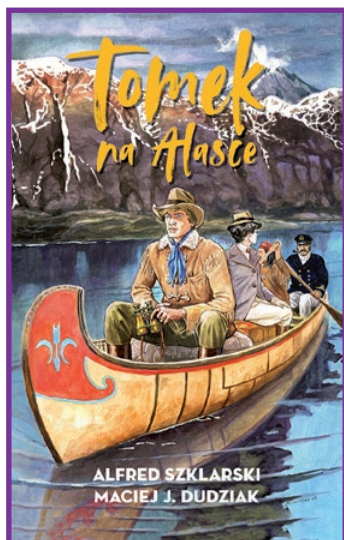
– Jak to zawieszona?

– A tak! Zawieszona. Wówczas usłyszałem od pani Małgorzaty Czarzasty: – Nie wiem, jak pan, ale ja jestem bardzo cierpliwą osobą. Co było robić? W zeszłym roku, kiedy wydałem „Mesjasza”, podesłałam tę powieść pani Małgorzacie. Ku mojemu zdziwieniu po kilku tygodniach zadzwonił telefon i usłyszałem: – Panie Macieju, pospinałam wszelkie kwestie prawne, przede wszystkim prawa spadkobierców. Czy pan by się podjął dokończyć tamtą książkę? Trzeba przyznać, że zamurowało mnie kompletnie. Ale na lekko glinianych nogach odpowiedziałem: – Tak.

– Jeszcze książka nie zdążyła się ukazać, a już pojawiły się teksty, że biały kolonializm nadal jest kontynuowany.

– Prawda, ale takie teksty musiał pisać ktoś, kto książki nie przeczytał. Moja powieść ma zupełnie inny wymiar niż to,





co Szklarski pisał w takich, a nie innych warunkach i okolicznościach. Nie lubię tego określenia, ale w latach 50. i 60. ubiegłego wieku panował taki duch. Mam wrażenie jednak, że Szklarski odłożył podobne treści do tomu nr 7, czyli „Tomek u źródeł Amazonki”. Bo przecież sam zapowiedział, że na długie lata odkłada pisanie kolejnych tomów i zajął się trylogią „Złoto Gór Czarnych”. A to rzecz zupełnie inna niż europocentryczna wizja świata z „Tomków”. Myślę, że on sam przeszedł

pewną metamorfozę w spojrzeniu na rzeczywistość od nieeuro-pejskiej strony. Widać to trochę w ostatniej części, czyli „Tomek w Gran Chaco”. Dlatego moja część jest już zupełnie inna. Można świadomie powiedzieć – antykolonialna.

– **Jaka była twoja metoda pracy nad tą książką?**

– Usiąść i napisać (śmiech).

– **Nie da się, ot tak, opisać Alaski.**

– Jestem człowiekiem pióra od ponad 20 lat. Dokonywanie dziś jakichkolwiek researchów przy dostępie do internetu nie jest żadnym problemem. Powłóczyłem się po alaskańskich bibliotekach, gdzie mogłem sobie pospacerować wirtualnie po miasteczkach i osadach z przełomu XIX i XX wieku. I jedyne, czego tak naprawdę nie doświadczyłem, to zapachów. Resztę miałem przed oczami.

– **Będiesz kontynuował?**

– Jakbyśmy jakiś czas temu jeszcze o tym rozmawiali, to zgodnie z legendą, jaką sobie stworzyliśmy z wydawnictwem, mówiłbym o tym bardzo ostrożnie. Ale po półtora tygodniu od momentu premiery, kiedy wynik przebiegał 30 tys. sprzedanych egzemplarzy książki i, co ciekawe, kiedy sprzedają się dobrze audiobooki, które są droższe niż papier, oraz po dobrych recenzjach, kontynuacja wydaje się pewna.

– **Dumny jesteś? Zadowolony? Szczęśliwy?**

– Już siedzę w innych tematach. Właśnie kończę kolejną książkę, tym razem naukową. Ale oczywiście, że jestem dumny. Gdyby ktoś wtedy, kiedy z wypiekami na twarzy czytałem książki o Tomku, zadał mi pytanie, co czuję, że moje nazwisko znalazło się przy nazwisku Szklarskiego, to mógłbym wówczas odpowiedzieć – byłbym szczęśliwy. Tak więc teraz też jestem szczęśliwy. Mało tego, jestem bardzo zadowolony, że początek drogi antropologicznej, który był w „Tomkach”, teraz się domknął. No i nie ma co ukrywać, dla mnie jest to wejście do superligi pisarskiej. Niezależnie, czy ktoś sobie tego życzy, czy nie, ale również i do historii literatury.

– **Bardzo ci dziękuję za rozmowę.**

Dr Maciej J. Dudziak, antropolog kultury. Oprócz licznych książek i artykułów naukowych jest autorem powieści sensacyjnej „Mesjasz” (Gorzów 2020) i zbioru esejów „Czytając Europę: flaneur w ogrodach pogranicza” (Gorzów 2014).

Renata Paliga

* * *

słowa dookoła mojej twarzy to scenografia z papieru
o trwałości owadzich skrzydeł
niezmienności wiatru zamkniętego w szklance
niedopitej herbaty w nocnym ogrodzie

nie można już tworzyć świata
modlitwą lub wróżebnym znakiem

spakować paru rzeczy i wyjść
zatrzymać gdzieś pod wpływem impulsu
pięknego widoku za uciekającym oknem

później zasiedzieć zasiać obrastać przedmiotami
półki nie powiedzą prawdy o swoim panu
i trwać w nowym świecie po staremu

* * *

dziewczyna ze szkła żyje w ułudzie słów
są jej palcami oczami sutkami wszystkim
tworzy nowe wyrażenia jakby mogła stworzyć
mapę świata od nowa
są jej ciszą oddechem wypełniają trzewia
najgłośniejsze w chwili zasypiania

aby pobyć wśród ludzi siada czasami w kawiarni
zamawia herbatę i pisze na serwetce

dziewczyna ze szkła kocha słowem
zawsze takiego jak ona – chłopca ze szkła
który udaje kogoś innego
pieści drażni doprowadza do szaleństwa
potem zamyka notes maluje usta czerwoną szminką
odciska nadmiar rozchylnych warg na serwetce
i zostawia obok rachunku zakładając
że ktoś potrzebuje tej pamiętki

kobieta ze szkła
opowiada godzinami o słońcu w pryzmacie liścia
wacha liże wysysa chlorofil sprawdza
i porównuje z zapachem własnej krwi
przeguby dłoni układa w konary
palce na szumiące podobieństwo
zamyka oczy i zamienia się w nagość zwierzęcia

kobieta ze szkła żałuje
że zagubiła serwetkę z odbiciem ust
posiadanie namacalnego dowodu że kiedykolwiek kochała
dopełniłaby galerię sukcesów zawieszanych na ścianie życia

Artur Wodarski

liczby pierwsze

spotkać pana Cogito nie jest łatwo.
zamknięty w labiryncie, czeka na stworzenie świata.
w tych właśnie chwilach, krótkich ale pełnych emocji,
wyszukuje liczb pierwszych. przenosi się do matematycznego
eldorado, triumfuje odnajdując absolut.
pochylony nad kartką papieru, uzmysławia sobie jednak,
że poszukując czegoś, co w gruncie rzeczy nie istnieje,
może spaść na dno szaleństwa. pomny tego, co przyniesie
kiedyś historia, szaleństwo nie wchodzi w rachubę.
odwraca więc kartkę i rysuje z pamięci to, co śnił w nocy:
subtelny kobiecy uśmiech i krzyk rozpaczny.
gdzieś w tle tworzy się świat, lecz pan Cogito nie zwraca
na to uwagi. herbertuje ku przyszłości, trzymając się kurczowo
końca wełnianej nici. w pamięci ma przeszłość przed sobą
nowe wyzwania. gdy już wydostanie się z labiryntu,
będzie pamiętał tylko kobiecą twarz, spowitą tajemniczym
uśmiechem i krzyk, który swoją siłą zdawał się wypęłzać
poza ramy. od tego momentu wszystkie liczby pokryje kurz.
życie stanie się pierwsze

przepraszam

przepraszam za śmierć każdego drzewa
za każde zwierzę które padło przez moje niedopatrzenie
przepraszam za swoją niedoskonałość
choć miałem być z gruntu idealny i dbać o wokółistność
przepraszam ziemię której nie umiałem być wierny
a tylko poddałem ją sobie
przepraszam za rzeki morza i oceany
mogłem w nich kąpać swoją wiedzę
ale wolałem płynąć im pod prąd mając za ster
głupie wyobrażenie o własnej wielkości
przepraszam ziemię i powietrze
że nie chodziłem nie oddychałem
tylko biegłem w sumie donikąd i zamiast cieszyć się
każdym oddechem tylko zwyczajnie łapałem w usta powietrze
przepraszam

ja się nie znam na poezji

czasami opuszcza mnie słowo
czytam i boję się
później słowo skręca
wwierca się w świeżo ścięte drzewo
jakby szukało najlepszego miejsca
by rosnąć i rosnąć
a ja się boję że mu się uda
że wszędzie
zakwitnie
wyda owoc
spadnie

przeciw falom

mężczyzna który dzisiaj kosił trawę
miał taki wyraz twarzy jakby chciał coś
przekazać światu
pewnie dlatego nagle zmienił kierunek
minął asfaltową szosę przeciął betonowy chodnik
i ruszył na północ łamiąc przy tym drewniany płot
przed nim było już tylko pole a za nim
kilka wsi i miast
przystanął na chwilę
otarł czoło z potu włączył wyższy bieg kosiarki
i ruszył w dalszą drogę

pominę szczegóły
dość powiedzieć że dotarł aż do morza
woda była lodowata lecz on nie zważając na nic
zanurzył się w chłodnej toni
jeszcze przez godzinę na powierzchni
pojawiały się bąbelki generowane przez silnik
a później nastała cisza
może zatonał? być może zgubił drogę?
ale to nieprawda
kosił dalej choć próbowano go powstrzymać

kosić wodę?
powiecie może że to bzdura
inni napiszą o chorobie
albo obrzucą pogardliwym słowem
ale nie wiercie
ktoś przecież musi takie rzeczy robić
trawę kosić jest łatwo
lecz żeby iść przeciw falom
trzeba mieć odwagę

powód

okazuje się że potrafię
potrafię nie mówiąc wypowiedzieć się
na twój temat
nie ćwiczyłem tego wcześniej
a może próbowałem ale byłem zbyt pewny swego
i zapomniałem
teraz myślę o tym na chłodno
zwrócony w stronę najstarszych wspomnień
dystansując się od ukłuc serca
melodramatyzmu sytuacji i wielkich uniesień
szukam w sobie tego jednego powodu
dla którego warto być częścią ciebie

MĘSKA SPOWIEDŹ

Każda postać występująca w tej książce ma swój odpowiednik w rzeczywistości – i to wszystko. Natomiast zdarzenia i sytuacje z ich udziałem, przedstawione w powieści, noszą co najwyżej znamiona pewnego prawdopodobieństwa. Wszelako: dziękuję, że pojawiliście się w moim życiu.

Tymi słowami we wstępie do „Rozdania” Marek Lobo Wojciechowski określa relacje między bohaterami jego powieści a pokazanymi realiami życia.

*

Główny bohater „Rozdania” nie ma imienia ani nazwiska. W szkole mówiono o nim Bobas, bo grał na basie, potem długo był Bee-Gees, także ze względu na muzykę. Ale nie muzyka jest treścią jego życia. Opowiada o swoim życiu w pierwszej osobie liczby pojedynczej, a szczerść jego wypowiedzi podnosi tę relację do rangi spowiedzi. Męskiej, trudnej spowiedzi. Z nutą oryginalnej nadziei na końcu.

*

Autorem „Rozdania” jest Marek Lobo Wojciechowski, poeta z utrwaloną pozycją w gorzowskim, lubuskim, a nawet dalszym świecie literackim. Dwukrotnie był nagrodzony Lubuskim Wawrzynem Literackim za najlepszą książkę roku, nie mówiąc o innych nagrodach. Teraz daje nam pierwszą powieść, czyli rzecz prozą.

W krótkim życiorysie opublikowanym na okładce książki czytamy: *Rocznik 1959, urodzony w Nowym Tomyszu. Był żołnierz zawodowy, absolwent Wyższej Szkoły Wojsk Inżynieryjnych we Wrocławiu. W latach 1980-1995 służył w Garnizonie Skwierzyna.*

*

Bohater powieści urodził się na zachodzie Polski, ale najszczęśliwszym jego miejscem było gospodarstwo babci daleko na wschodzie, kilka kilometrów od Bugu. Przed wojną rodzina mieszkała w takiej samej odległości od tej rzeki, tyle że po jej drugiej stronie. U babci było cudownie, choć biednie, prymitywnie i bez okazywanej miłości. Babcia stale miała pretensje do wnuka, że jego mama pokochała obcego i poszła za nim na kraj świata. Choć więc może naprawdę u babci wcale nie było tak dobrze, to nawet po latach dla dorosłego już narratora tamten świat ciągle jest punktem odniesienia dla wartości.

Rodzice się rozwiedli, chłopak rozbisurmanił, a gdy go wyrzucili ze szkoły, rodzice, jedno drugiemu na złość, postanowili pozbyć się kłopotu i wysłać chłopaka do szkoły wojskowej. A on, na złość mamie i tacie, poddał się i szkołę tę skończył.

*

Jako wyszkolony saper skierowany został do jednostki na końcu świata. W powieści nie pada nazwa Skwierzyna, ale identyfikuje to miasto bar „Pod Bykiem”, miejsce dobrze znane wszystkim panom, szczególnie jeżdżącym starą drogą z Zielonej Góry do Gorzowa. Opis oficerskiego świata w garnizonie przeraża: alkoholizm, techniczna tandeta, dziewczyny, żeby je tutaj ładnie określić. Do tego poker. Nie liczy się ten, kto nie gra w pokera. W zasadzie na małe stawki, ale całą pensję nasz bohater też potrafi przegrać. On, jak większość oficerów, pije,

gra w pokera, lekceważy pracę. Odchodzi od niego żona, zabiera dwie córki. Do tego następują zmiany polityczne, panowie oficerowie po 15 latach pracy zostają emerytami z bardzo mizerną stawką na miesiąc. Bohater chwytą się różnych zajęć, ale nie znajduje odpowiedniego miejsca dla siebie.

*

Ratują go ryby i poker. Ryby to przyjemność bycia nad wodą, w naturze, radość z połowu, jednak to zajęcie nie może męzczyzny pochłonąć całkowicie.

Jest jeszcze poker. Nie ten uprawiany w koszarach, nie ten oparty na sprycie lub oszustwie jak w „Wielkim Szu”, ale współczesny, światowy, rozgrywany przez internet. Marek Lobo Wojciechowski pokazuje czytelnikom świat, jakiego (chyba?) jeszcze nie było w powieści. Ten poker wymaga od gracza opanowania, żelaznych nerwów, świadomej strategii, celnych przewidywań. Nasz bohater, choć nie odcina się od kieliszka, gdy zamierza grać, na dobę wcześniej nie bierze wódki do ust, oczywiście nie pije grama alkoholu w trakcie rozgrywek. Czyta książki z teorią gry, uczy się strategii, psychologii, przewidywania posunięć konkurentów. Bardzo wymagająca jest taka gra w zasadzie w samotności, bo przed ekranem laptopa. A rywalami są ludzie z całego świata, z różną mentalnością, z różnymi charakterami, ludzie, których nie widzisz. Internet kipi od pokerowych propozycji. Trzeba się nauczyć, w które wchodzić, a co sobie odpuścić, jak operować pieniędzmi. Także jak żyć z przegraną, a jak z wygraną.

Zdaniem Marka Lobo Wojciechowskiego poker to życie. Ale można także inaczej: życie to poker. Bardzo łatwo można je przegrać.

*

Po zakończeniu pracy w wojsku Marek Wojciechowski wydał kilka tomów wierszy. Męskich, mocnych, twardo osadzonych w rzeczywistości, a jednak zapadających w pamięć przez oryginalne metafory.

„Rozdanie” napisane jest prozą. Kolejne etapy życia bohatera nie są tu pokazywane chronologicznie, a w układzie zmiennych sytuacji lub scen. W zasadzie są to opisy, ale bardzo często wyrwie się autorowi całkiem poetyckie ujęcie oparte przede wszystkim na syntezie. Ale tam, gdzie trzeba pokazać żywioł, jest niepohamowany. Jest prozaikiem z krwi i kości.

*

Każda postać występująca w tej książce ma swój odpowiednik w rzeczywistości – zapewnia autor. Ciekawe, kto był pierwowzorem głównego bohatera?

Krystyna Kamińska

Marek Lobo Wojciechowski, „Rozdanie”, wyd. K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Miejska Biblioteka Publiczna im. Księcia Ludwika I w Brzegu, Brzeg 2021, 170 s.

W czasie pracy nad książką autor korzystał ze stypendium Funduszu Popierania Twórczości im. Andrzeja Szczypiorskiego ZAiKS. Książka ukazała się dzięki wsparciu Hong Chuong Nguyen DAMI P.H.P.U. z Gdyni.

Marek Wojciechowski

ROZDANIE (FRAGMENT)

Natręctwa. Stawianie kubka z kawą na specjalnie przygotowanej serwetce, bo za szybko się ostudzi, wypalanie do samego końca każdego papierosa (chyba nawyk z czasów, gdy niekiedy na dworcu w Poznaniu dało się kupić z metra cięte kawałki, przemycane z fabryki wyrobów tytoniowych), uporczywe, kątem oka poszukiwanie krzywo wiszących obrazów, byle jak wykończonych mebli (zapewne pamiątka po ojcu-technokracie, i oczywiście wrodzony estetyzm; jestem esteta, szlag by to!), wielogodzinne wysiadanie prawie nago podczas turniejów pokerowych, pewnie dlatego, że wszystko wtedy uwiera, gryzie, denerwuje i rozprasza, picie wody z gwinta (a to skąd?), ciągłe poprawianie telefonów leżących pod ręką tak, aby nie trzeba było wstawać od komputera, codzienne kilkukrotne ostrzenie noży, bo są zawsze nie dość ostre, nadgorliwa troska o sprzęt wędkarski i jednocześnie bałagan wokół (uporządkowany ten bałagan, ale na pierwszy rzut oka to uporządkowanie jest nie do uchwycenia), jedna, jedyna właściwa łyżka, ten, nie inny nóż i widelec... Wracanie do: „wybrałem cię i nie opuszczę aż do śmierci”. Robienie czegokolwiek w cieniu tych słów. Robienie czegokolwiek w cieniu dawnych robień czegokolwiek.

I robienie wszystkiego przeciw temu. Jestem sumą natręctw.

*

Wracając dzisiaj z „Lamusa”, przechodziłem koło katedry obok tablicy z klepsydrami. Za murkiem, schowany skromnie przed przypadkowymi spojrznięciami stoi na pozór zwyczajny kosz na śmieci, znajomy i bliski jak dziesiątki i setki innych. W rzeczywistości jest specyficzny – gromadzą się w nim przestarzałe, nieaktualne klepsydry, odpady ostatnich sygnałów o istnieniu. Jakiś papier wystawał zza pokrywy, machinalnie pociągnąłem i oto co:

*Kazimierz Drapczuk,
wiek – 64 lata
pogrzeb odbędzie się... itd.*

Drapczuk, cholera. Nie znałem. Ale chyba się przejdę kiedyś, Kazik. Na spokojnie, bez gapiów i ściśku. Pomilczymy, bo cóż więcej? Kiedyś pewnie też będę w tym koszu i co, i kto wtedy przyjdzie, może nikt? Ot, kolejne rozdanie. Na preflopie całkowity brak jakichkolwiek informacji o ręce przeciwnika, ba, całkowity brak informacji o przeciwniku. Znany jest jedynie wynik końcowy – piach przyjmie wygranego z takim samym westchnieniem jak przegranego do ostatnich portek. Ale w końcu – czym się przejmować? Jesteśmy jednorazowi jak mydełka hotelowe, prawie identyczni do tego stopnia, że brak jednego tu czy tam nie robi nikomu różnicy. Więc? Lufka, co nie?

Jak wyglądał mój pierwszy miesiąc gry w Hold’ema? Proszę pięknie: ściągnąłem na kompa chyba z siedem różnych pokoi pokerowych; znalazł się tam Paradise, Bettson, Everest, Party Poker, PokerStars i coś tam jeszcze, dzisiaj już niezbyt pamiętam. Może 888 com, może Unibet? Nieważne. Ważne, że miałem za sobą kilkanaście dni gry za darmowe żetony i czułem się na tyle mocny, że pomyślałem sobie: czas, kurna, zacząć wygrywać kasę! Nie po to w końcu zacząłem tę zabawę, żeby przerzucać same darmówki. Szmał, szmał, góry, Mount Everest szmału!! Nareszcie się ustawię, los w końcu przestanie szczyrzyć zęby w durno-ironicznym uśmieszku, byle nie stracić tej, znikąd wpadającej w łapy, okazji. No, czas na moje kolejne pięć minut, oby trwały długo i jeszcze dłużej... Każdy pokój pokerowy posiada kilka prostych opcji wpłaty. Może być karta, mogą być przelewy bankowe i co tam sobie zapragniesz. Nie trzeba dużo: dziesięć-dwadzieścia dolarów lub euro i szlus – gramy! Leszcze wszystkich krajów, bójcie się, he he!... Nie wiem, czy w kasynie można siadać do stołu z flaszką w ręce... Można? E, chyba nie, ale przecież tu nie kasyno, co nie? Darmowe pielesze, obrotowy fotelik, przede mną komputer, flaszeczka na stoliku, gramy! Z początku idzie nieźle: wygrywam to trzy, to pięć dolarów, o, jest i dziesiątak, oby tak dalej, więcej, szybciej, więc przesiadam się ze stawek 0,5/0,10\$ na 0,25/0,50 i... koniec miesiąca spędzam przy kalkulatorze z ołówkiem w rękę: wpłaty ogółem – 1085 złotych, zyski ogółem – minus 1085 złotych, z czego pożyczone 300 złotych od Aliny, 100 od Maćka, 200 od Krzycha. Aha. Biorąc pod uwagę, że moje jedyne w tym czasie dochody to resztki emeryturki wojskowej (komornicy się pasą, alimenty też niewąskie) – bieda z nędzą albo jeszcze gorzej. No, to udowodniłem swoją wyższość przy stole, nie ma co. Na dodatek pożyczki od znajomych – najgorsza rzecz, jaką możesz zrobić, to wtapienie nie swojego siana w inwestycję tak trudną i nieprzewidywalną do końca, jaką

jest poker w początkowym okresie nauki... W jakąkolwiek, kurna, inwestycję! A poker? W jakimkolwiek, kurna, okresie! Nabywanie umiejętności jest kosztowne – mnie kosztuje sporo, zwłaszcza że zachowuję się jak typowy leszcz – chłopak do bicia i krojenia ze szmału. Zamiast więcej poczytać, najpierw w ogóle cokolwiek poczytać, poćwiczyć, dłużej potrenować na sucho... Albo wypierniczyć tego całego pokera w cholere! Za dużo masz siana, żeby tak rozrzucać?! No, jest nieklawo. Nieklawo? Ty idioto! Nieklawo, dobre sobie – rozmyślam ponuro, popijając półgębkiem trzeciego drinka.



Kobiety są albo modliszkami, albo kompletnymi św. Teresami z Kalkuty. Bez marginesów, bez stanów przejściowych. Bez spokojnej, zrównoważonej dyskusji: dlaczego nagle inna, a już nie ta? Ostrze noża, klinga tnąca coś, co mogłoby być niespiesznym wracaniem na niezobowiązujący seks. Lub na herbatę z cytryną (którą tak fajnie podawała). Lub na darmową sesję terapeutyczną pt. „Wiesz, nam zawsze było tak dobrze, powiedz, czego ona ode mnie chce?”. Lub na to wszystko razem. Prawdziwie ważne rzeczy dzieją się w łóżku. Pomijam seks, który, choć także ważny, nie jest teraz istotny. Po seksie otwierają się głowy i dusze, przez krótką chwilę traci się swoją wrodzoną osłonę. Wtedy i tylko wtedy mogę liczyć na szczerłość, pod warunkiem, że umiem słuchać. Umiałem i umiem słuchać. Z tym też jest problem – umiejętność słuchania powoduje, że kobiety się w tobie, bracie, zakochują, zamiast potraktować noc jako swoistą wizytę u psychoterapeuty... A swoją drogą – czy ludzie są w pełni szczerzy wyłącznie wtedy, gdy są nadzy? Czy szczerłość wymaga nagości, pełnego odsłonięcia się, także fizycznego?.. Ach, zapomniałbym o gatunku, który nazywam: „Nawiedzony Moher”. O tym – potem, bo mi tu nie pasuje, ale pamiętaj: są trzy rodzaje kobiet. Wybór należy do ciebie. Właściwie niepotrzebnie wyciągam kieliszek, i tak nie będzie mi się chciało zmywać, pociągnę z gwinta. Sok pod ręką, orange, a jakże. No, zdrówko. Wódka pali gardło, rozlewa się ciepłem, rozluźnia i pozwala... Nie, nie pozwala zapomnieć. Pozwala jedynie pogodzić się, złożyć należne hołdy temu, co było, i sobie, bo jestem jedyną miłością swojego życia. No, jeszcze ze trzy gul gule, najwyżej cztery, nie więcej niż pięć...

I spać. Albo wspominać.

*

Och, jakie jeszcze kuchy sadzę! Aż strach. Satelita kwalifikacyjny do turnieju z pulą 100 tys. /K/\$, pięćdziesiąt wejściówek, jestem na 11. miejscu, 57 osób zostało w grze. Przed chwilą zgarnąłem niezłą pulę, jestem pewien wejścia do turnieju głównego, szczególnie że przy moim stole jest dwóch shortów ze stackami 2,6 i 3,4k. Sami się wykrwawiają. Rozdanie, na rękę dostaję A8, wchodzę z podbiciem 3BB, w głowie mi się kołocze: „W końcówkach bądź agresywny”. Dobra – trzech w grze. Flop – AAK. Flop – marzenie. Podbijam za pół stacka, w grze zostaje jeden. Turn – 7. Przeciwnik gra za wszystko. Bluff, myślę sobie, albo trafił swoją małą parkę i idzie na całość, myśląc, że te AA to mój bluff. Okej, all-in. Pokazują się karty, ja mam te swoje AAA, on – kolor w treflach, do damy. Pa, pa, o pięć miejsc do wejściówki... Gdzie popełniłem błąd? Wchodząc w rozdanie? Raczej nie, karta nie była zła. Podbijając na flopie? Też nie, AAA jest cud-miód, taka karta na flopie wręcz wymusza podbicie, nawet all-in... Załatwił mnie turn, patrząc na to rozdanie, nawet all-in na flopie nic by nie pomógł – przeciwnik był stackliderem, z ponad 80k żetonów, nie spasowałby... Mnie poniosło, bo nie chciałem zauważyć, że na turn spadł trzeci trefl, a dopiero potem gość zagrał all-in. Trza było spasować... Ale – czy na pewno? A gdyby to był monstrialny bluff? Zresztą – z jakiej, w mordę, racji facet wchodził w rozdanie z Q4??? Sam nie wiem... A może jest to kolejny, monstrialny Bad Beat? Po ochłonięciu analizuję raz jeszcze. To, oczywiście, był bad beat, ale mnie zawiodła rzetelna analiza wielkości własnego stanu posiadania, żetonów oczywiście: BB wynosiło 1,6k, ja miałem około 22k, mało w sumie, ledwo 13.81. Z kawałkiem BB – do puli finałowej wchodziłbym co

prawda bez problemów, ale taka liczba żetonów nie nadawała się nijak do mocnej licytacji. W gruncie rzeczy byłem w typowej sytuacji all-in – or – fold i... Stało się. Czyli owszem, bad beat to jedno, ale mój ewidentny błąd niepoliczenia stacka – drugie. Gdybym to porządnie zrobił, z tą ręką nie wchodziłbym w ogóle.

*

Czy nie piję w ogóle? Zapomnij, nie o to chodzi – nie mam najmniejszego zamiaru dorosnąć nad miarę. Lubię wódeczkę jak zawsze, ale przypadkowe, codzienne picie jest na nic. Jak chce przyjść Młody, Gruby, Roman czy Stachu – proszę bardzo, ale po uprzednich zapowiedziach. Usiądziemy sobie wygodnie, zakąsimy, pogadamy. Od maja 2008 gram w Poker Hold’ema NL, mam na karku pięćdziesiątkę, wszystko już z górki, ale przy takiej rozrywce z pewnością nie zabraknie mi wrażeń do końca życia. Początkowe doświadczenia były absolutnym zaprzeczeniem statystyki – przegrywałem w najbardziej nieprawdopodobnych układach i sytuacjach, *bad beat* przychodził za *bad beatem*, czasem nie wiedziałam już, czy płakać z tego powodu, czy śmiać się z takiego urągania prawom poważnej, bądź co bądź, gałęzi nauki... Zaciskałem jednak zęby, studiowałem układy i artykuły o strategii, taktyce i psychologii, grałem wszystkie możliwe *freerolle*, uczyłem się na błędach cudzych i najczęściej własnych, niedosypiałem i kłamałem tego całego pokera w żywy ogień. Tak działo się do czasu, aż w końcu dało o sobie znać prawo wielkiej liczby. Całość polega przecież, w dłuższym okresie, wyłącznie (i aż) na umiejętności podejmowania decyzji. Najlepiej: właściwych. Bogowie Hold’ema wycenili moje decyzje na \$18k, całkiem nieźle jak na kilkanaście miesięcy grania. Może kiedyś spotkamy się na WSOP?

Jerzy Hajduga

Białe noce

pada śnieg nakłada białą
szatę zdążył
ja też

Żeby tylko zdążyć

Telefon ze szpitala, trzeba biec do chorego. Ale jak tu biec, gdy trzeba ostrożnie iść. Pod nogami lód i śnieg pada. Biel jak opłatek. Czarne tylko buty, przy nich płacze się trochę czarnej sutanny. Żeby tylko zdążyć.

Śnieg już po drodze ubiera mnie uroczyście w białą szatę. W takiej szacie zdążyłem do ciebie, bracie. Też się cieszę.

Wyjść z gruzu

Sufit pęka, ściany pękają. Ale sufit stawia ściany do pionu. One nie mogą tak łatwo pękać. Co by to było – wyobraża sobie sufit – gdyby ścianom przyszło zawalić się. U mnie tragedia, ze mną śmierć na miejscu. Ściany chociaż mają jakieś drzwi, jakieś wyjście. Dokądkolwiek.

Nade mną masz jeszcze kawałek strychu, ale to nie czas na ściąganie bielizny, na ubieranie do wyjścia. Trzeba zostawić wszystko i wyjść z gruzu. Jeszcze raz się zapatrzeć, wypatrywać.

Hanna Bilińska-Stecyszyn
POZA KONKURSEM



Majowy deszcz rzucił mnie w twoje ramiona. Nie można sobie wymarzyć banalniejszego – i piękniejszego początku. Spodobałby się każdemu, kto wierzy w romantyczną miłość.

Zawsze kochałam deszcz. Od dziecka lubiłam taplać się w kałużach. Deszcz mnie pieścił, łaskotał po nosie i policzkach, rozśmieszał i pocieszał.

Deszcz stanowił nieodłączny składnik spacerów po lesie, gdy trzymałam cię mocno za rękę, chłonąc całym ciałem każde twoje słowo, gdy tuliłam się do ciebie pod naszym drzewem. Z jego konarów i liści pojedyncze wielkie krople kapały mi wprost do serca.

Był naszym hasłem miłości. Niezależnie od pogody, nawet w pełnym słońcu, wystarczyła jednowyrazowa wiadomość od ciebie, „pada”, bym natychmiast ruszała biegiem, niemal na oślep, rozgorączkowana, spragniona twoich pocałunków. Jedno piknięcie telefonu i sto uderzeń serca.

Dziś deszcz przynosi mi ulgę. Splukuje łzy.

*

Nie szukałam cię. Nie chodziłam do kawiarni, klubów, pubów, żadnych z tych miejsc, gdzie można kogoś poznać. Włóczyłam się po mieście sama. Leczyłam się w ten sposób z miłości. Leczyłam – nie pragnąc wyzdrowieć. Byłam hipochondrykiem, który wciąż przedłuża stan niemocy, bo jeszcze bardziej niż choroby boi się kompletnej pustki po wyzdrowieniu.

Moja choroba, której dni skrupulatnie odliczałam, trwała pięć lat, siedem miesięcy, osiem dni, jedenaście godzin i około pięciu minut. Właśnie kończył się kolejny jej dzień, gdy szłam ulicą i znowu się rozpadało. Było bardzo ciepło jak na początek maja, strugi wody przyjemnie chłodziły mi twarz. Po kilkunastu krokach zatrzymałam się na chwilę, by jednak otworzyć parasol. Mój wzrok padł wtedy na wielki afisz w witrynie, „Konkurs jednego wiersza. Wejść, przeczytaj, posłuchaj, zamysł się, uśmiechnij, wzrusz...”. Tylko i aż tyle. Niebieskie i zielone litery na afiszu przypominały warkocze deszczu. Musiałam wejść.

W kawiarni panował półmrok. Minęło kilka sekund, zanim moje oczy się przyzwyczyły. Chłopak siedzący tuż przy drzwiach wstał i uściśnął mi rękę.

– Na konkurs? – spytał. – Muszę cię odhaczyć, który masz numer?

– Tak. To znaczy ja... Nie, nie, ja tylko... Nie ma mnie na liście. Chciałam tylko posłuchać.

– Naprawdę? – Zrobił przesadnie zdziwioną minę i uśmiechnął się. – A wyglądasz na poetkę.

– Raczej na zmokłą kurę – mruknęłam. Marny żart, nigdy nie byłam w tym dobra. Ale chłopak zignorował sprawę mojego wyglądu, widać w temat wizerunku ekscentrycznych poetów miał w kalkulowane dużo większe przegięcia niż liche, mokre włosy przyłgnięte do policzków i rozmazany tusz na rzęsach.

– To nic, że nie ma cię na liście, jesteśmy otwarci. Przecież nie chodzi o laury, miejsca, ilość dyplomów. Emocje się liczą. Możesz zaprezentować swój wiersz poza konkursem. To jak? – nalegał.

– Nie... Dziękuję, ale chyba nie. Wolę słuchać.

– Jak chcesz. Na wszelki wypadek – jak masz na imię?

– Anna.

– A ja Kamil. Zatem Anno, jeśli się zdecydujesz, daj mi znać. Trzymam kciuki!

Miałam swój wiersz. Wiersz o mojej chorobie. O rozpaczy po wielkiej miłości. Nawet obudzona z najgłębszego snu potrafiłabym go bezbłędnie zadeklamować. Niechby, jak głosił afisz, posłuchali, zamyslili się, uśmiechnęli, wzruszyli... Kiedyś przecież, jeszcze w podstawówce, wygrywałam konkursy recytatorskie. Mogłabym wejść na estradkę koło baru, na której, jak się domyślałam, nastąpić miały prezentacje. I otworzyć usta.

Zawsze nosiłam ten wiersz przy sobie. W sobie. Ale wiedziałam, że nigdy się nie odważę go zaprezentować. Nikomu.

Usiadłam na wolnym miejscu pod ścianą. W kawiarence było już dużo ludzi, panował gwar, z głośników sączyła się delikatna muzyka. Wtedy spostrzegłam ciebie. Otaczał cię wianuszek dziewcząt i chłopców. Wśród nich ani jednej zmokłej kury. Wszyscy piękni, barwni i głośni. A jednak to z moimi oczami spotkały się twoje. W jednej sekundzie poczułam, jak ustępuje moja choroba.

I zaczyna się nowa.

*

Pierwsza miłość, której kres właśnie nastąpił, poraziła mnie, gdy rozpoczęłam naukę w liceum. Stało się to piątego września na pierwszej lekcji polskiego. Za oknem właśnie przestał padać deszcz i niebo rozjaśniło się niezwykłym blaskiem, jakby chciało w ten sposób uświetnić chwilę, w której doznam porażenia. Jedno spojrzenie wystarczyło, bym poczuła skurcz serca, a po kilku minutach miałam pewność: między biurkiem a tablicą, w promieniach sączącego się zza szyb wrześniowego słońca, na wprost mnie stoi mój ideał. Pod koniec lekcji znowu się rozpadało. Już wiedziałam, że to znak. Ulewa, która rozstukała się na parapecie, uderzała prosto w moje serce. Znowu banał. Co poradzę, że tak było?

Zauroczenie przerodziło się w fascynację, która wkrótce osiągnęła bezmiar oceanu. Po kilku tygodniach głębię moich uczuć i pragnień przełamam na papier i po lekcji, wychodząc z gabinetu jako ostatnia, bez słowa położyłam list na nauczycielskim biurku, po czym uciekłam na korytarz. To był piątek, nie wiem, jak udało mi się przeżyć weekend.

W poniedziałek po wyjściu wszystkich uczniów znowu zostałam w klasie. Z nadzieją. To, co usłyszałam, ogłuszyło mnie. Było marnym ochłapem pociechy, a może bardziej próbą przywrócenia mnie do pionu. Zimnym prysznicem. Banałem o mojej wrażliwości i młodzieńczej egzaltacji. Podziękowaniem za zaufanie. Nazwaniem mojej wielkiej miłości typową relacją uczeń – mistrz, która bez wątpienia przejdzie mi jak grypa.

Znieważono moją miłość. Zostałam odrzucona. Skreślona.

Nie chciałam żyć. Miałam gorączkę i dreszcze, matka zapakowała mnie do łóżka. Nie wiedziała, że to z rozpaczy. Na trzeci dzień powiedziałam, że nie wrócę do szkoły. Że nie lubią mnie nauczyciele i dokuczają mi uczniowie. Rodzice chcieli iść do dyrektora na rozmowę, ale wmowiłam im, że po takiej interwencji już całkiem mnie w szkole zniszczą.

Po narodzie rodzinnej ulokowano mnie w Warszawie u ciotki. Rozpoczęłam rekonwalescencję. A właściwie pielęgnowanie choroby. Zrobiłam wszystko, by nigdy nie zdradzić prawdziwego powodu mojej ucieczki. Chociaż... Matka chyba się domyślała. Matki podobno mają przeczucia. Nie wiem. Nigdy nie będę matką. Choć tak bardzo chciałam.

*
 Muzyka przycichła, Kamil ogłosił rozpoczęcie konkursu. Prezentowane wiersze nie zachwyciły mnie, zresztą słuchałam niezbyt uważnie. Dopiero twój... Piękny wiersz o marzeniu. Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Miałam wrażenie, że mówisz tylko do mnie. Obląkane bicie serca informowało mnie, że znowu tonę. Gdy wybrzmiały słowa wiersza, pojęłam, że to ostatnia szansa na ratunek, bo za chwilę będzie za późno. Niczym w transie ruszyłam w kierunku drzwi. Dziś myślę, że nie o ratunek mi szło. Przeciwnie, prowokowałam cię. Chciałam się przekonać. Sprawdzić.

– Zaczekaj. – Poczulałam czyjaś dłoń na ramieniu. Twoją dłoń. – Dlaczego wychodzisz? Nie chcesz zostać do końca konkursu?

– Nie mogę. Jestem spoza. Muszę. – Choć te słowa z trudem przeszły mi przez ściśnięte gardło, już wiedziałam, że wyjdiesz ze mną. Na ulicy twoje palce dotknęły moich ust. W twoim mieszkaniu oddałam ci wszystko. I na zawsze.

*
 Miłość spadła na nas jak majowy deszcz. Jakie to wyświechtane, banalne porównanie! Lecz tak właśnie było. Na całym świecie nie istniała osoba szczęśliwsza niż ja. I wspanialsza niż ty.

Nie umiałam sobie wyobrazić ani jednego dnia bez ciebie. Przystałam jeździć do domu. Rodzicom i ciotce wytłumaczyłam to nawałem zajęć na uczelni. Kiedy nadeszły wakacje i nie mogłam już dłużej kłamać, podjęłam decyzję, że im powiem.

Najpierw słuchali w milczeniu. Potem zadawali dużo pytań. Rozmowa stawała się coraz trudniejsza. Wreszcie ojciec wybiegł z domu i wrócił dopiero późnym wieczorem. Pijany. Matka zamknęła się w pokoju i przez dwa dni nie chciała stamtąd wyjść. Zrozumiałam, że nigdy cię nie zaakceptują. Musiałam dokonać wyboru. Kiedy wyjeżdżałam z domu, ojca nie było. Matka przytuliła mnie bez słowa. Zrobiło mi się jej żal, ale silniejsza była radość, że po kilku dniach rozłąki znowu cię zobaczę.

*
 Nasze wspólne życie było nieprzerwanym pasmem radości. Miałam staż w twojej redakcji, więc i w pracy, nawet gdy cię nie było w bezpośrednim zasięgu wzroku, wiedziałam, że jesteś obok mnie. Przy mnie. Ze mną. Marzyłam o naszym dziecku. To przecież było do zrealizowania. Tobie też się ten pomysł podobał. Żyłam tym marzeniem jak w gorączce. Rozpoczęłam przygotowania. I nagle...

Musiałam z jakiegoś powodu odwiedzić ciotkę i kiedy wróciłam, przekonana, że powitasz mnie w drzwiach, klucze znalazłam pod wycieraczką. Ciebie nie było w mieszkaniu. Żadnej kartki z wiadomością, niczego. Przecież nie opuszcza się własnego mieszkania bez powodu! Czekałam na twój powrót coraz bardziej niespokojna. Zaczęłam do ciebie wydzwaniać. Nikt nie odbierał. Obdzwoniłam wszystkie szpitale. Żadnej wieści. Dopiero późną nocą... Telefon od ciebie. Dwa słowa jak wyrok. To koniec.

Plakałam i błagałam. Prosiłam o rozmowę. Usłyszałam: „Nie. Jestem na to zbyt wielkim tchórzem”. Uzyskałam jedynie obietnicę, że wyjaśnisz mi wszystko w liście.

Wróciłam do mojego miasteczka. Czekałam. Tylko czekanie trzymało mnie przy życiu. I czasem deszcz. List w końcu przyszedł. Nie pozostawiał złudzeń. „Mimo mojej wiary, że nam się uda, ponoszę klęskę. Nie zasługuję na twoją miłość. Jej ogrom jest dla mnie tyleż piękny, co przerażający. Nie udźwignę tego. Nie dam rady. Lepiej powiedzieć to wprost, niż narazić nas na gorycz słabnącego, zamierającego uczucia. Lepiej to przeciąć. Pozostać z dobrymi wspomnieniami. Wybacz mi”.

*
 Chciałam się zabić. Nie mogłam, bo musiałam ojcu pomóc zająć się chorą matką. Opieka trwała ponad półtora roku, lecz nadzieja malała z każdym dniem. Może obawa, że o jej wstydzie dowie się całe nasze miasteczko, sprawiła, że matka przestała walczyć. Po jej śmierci ojciec powiedział, że zachorowała z powodu zmartwienia i stresu. Nie dodał, że to ja byłam przyczyną, ale wiedziałam, że tak myśli. Do rozpacz doszło mi poczucie winy. Dźwigam je jak garb.

Żyję, bo wciąż pielęgnuję pamięć o tobie. Zwłaszcza gdy pada deszcz. Gdy delikatnie spływa po szybach, brzmiać jak twój szepc. Dopiero po latach zrozumiałam, że moje obsesyjne uczucie pętało cię. Dusilo. Nie zostawiało miejsca na margines. Nie pozwalało ci, wcześniej wolnemu ptakowi, normalnie funkcjonować.

Po rozstaniu fanatycznie śledziłam twoje kroki. Czytałam gazety, internetowe newsy, obserwowałam twoją karierę w mediach. Przystałam, gdy jeden z tabloidów zamieścił twoje zdjęcie z obrączką na serdecznym palcu i z komentarzem: „Czyżby zaręczyny? B.Z. poślubi swoją tajemniczą partnerkę?”. I obok zdjęcie tej kobiety. Wysoka, niezbyt ładna brunetka.

Minęło kilka lat. Już od dawna ich nie liczę. Czas jednak trochę mnie uleczył. Znow włączam komputer i oglądam telewizję, bo moja praca wymaga orientacji w świecie kultury, literatury, teatru.

Znowu cię widuję. Jesteś teraz znaną osobą, zapraszają cię do programów publicystycznych, proszą o opinię, bierzesz udział w sympozjach i dyskusjach. Ładnie wyglądasz, upływ czasu wyraźnie ci służy. Z twojej twarzy bije dawna radość, a uśmiech z pewnością zjednuje ci rzesze zwolenników.

*
 Moja kochana, moja śliczna, moja najdroższa. Wczoraj był kolejny program z tobą. Żarliwie broniłaś praw kobiet i apelowałaś o uznanie związków partnerskich. Kategorycznie nie życzyłaś sobie przy tym, by cię nazywano wojującą feministką. I choć ten śmieszny dziennikarzyna usiłował cię sprytnie podejść, nie zamierzałaś ujawnić swojej orientacji.

„Orientacja seksualna”. Co za okropne, prymitywne określenie! Dla mnie istniała kiedyś tylko jedna orientacja. Prosta jak wojskowa komenda. Kierunek: miłość. Cel: szczęście. Tylko tak.

Ale to już przeszłość.

Dziś pracuję w szkole, w tym samym liceum, w którym kiedyś wyznałam uwielbienie mojej polonistce. Jej już tu nie ma, wyszła za mąż, urodziła dzieci, wyprowadziła się z naszego miasteczka.

Patrzę na uczniów tak, jak się patrzy w sali pełnej ludzi podczas konkursu, recytując wiersz – pozornie na wszystkich, w rzeczywistości nie widząc nikogo. Jestem wymagająca i oschła. Potrzebuję mnie, bo wykonuję sto procent normy i większość bardzo dobrze zdaje maturę.

Ale mnie nie lubią.

I bardzo dobrze.

Zawsze jestem poza. Na pewno nikomu nie złamię serca.

Hanna Bilińska-Stecyzyn, z wykształcenia polonistka. Autorka „Peluni”, książki nominowanej do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za 2019 rok, także powieści „Wbrew pozorom” (2021) i wielu opowiadań. Na łamach „Pegaza Lubuskiego” dopiero debiutuje. Mieszka w Lubniewicach.



**ZAPISKI
CZERWIEC**

Po drugiej stronie

Koniec miesiąca, piszę zdania. Zaraz je wyślę. Kiedyś ich adresatem był Irek. Do niego trafiały w pierwszym rzędzie przed publikacją. Do tej reguły przywykłem. Teraz nagle po drugiej stronie pustka. Irka nie ma. Co jeszcze powiedzieć? Zmagam się z tym zaskakującym obrotem spraw, które naznaczyła ostateczność. Niedobrze mieć wielu znajomych, kolegów, przyjaciół. Przychodzi czas i wszyscy umierają. I okazuje się, że pustka boli.

Na obrazie

Na czymś obrazie malowanym od kilku dni cierpliwie w pracowni, w kładzionych farbach, już widać zarys artystycznej całości. Woda jeziora jednak jest jeszcze jakby za bardzo niebieska, warto ten kolorystę stonować. Położyć na niej blask, jak bardzo to lubię na wodzie. Taką poczynił malarzowi uwagę, według mojego przekonania można dodawać naturze różnych odcieni i intensywności barw, ale zaprzeczać jej właściwościom nie należy. Wystarczy tyle, ile jest, każdy nadmiar bywa kłopotliwy. Nadmiar, ale i niedostatek. Patrząc, pogoda się poprawia. Odchodzi już zimno oraz deszczowe, ołowiane niebo. Władzę na nieboskłonnie obejmują potężne obłoki. Niebo jest wielkie.

Powierzchnie

Pobłyskują powierzchnie domowych mebli, krawędzie stołu, szklanki lśnią, łyżki również, woda pluszcze, jedno do drugiego przylega, twarz w lustrze odzyskuje kształt i można z pokoju do pokoju, do kuchni, do łazienki odbywać powolny spacer, ale jednocześnie jest tak, że nie ma światła. Ten brak określa codzienne czucie istnienia. Są różne uroki, ale zarazem powierzchniowe tylko.

Auto

Moje starej generacji, kilkudziesięcioletnie auto podobne jest do mnie, a ja do tego auta. Już w nim pełno różnych niedomagań i uszkodzeń, których naprawić nie można lub nie ma sensu. I ze mną nie inaczej. I tak trzeba nam doczekać końca sprawności i użyteczności.

**Beata P. Klary
WRÓŻBIENIE**

Wychodzę naga z nieubranych snów. Gałęziami rozczesuję białe nitki strachu, jakbym w splocie warkoczy przeczuwała skon. Przygasło u sąsiadów, ale jak to w wiosce nigdy i nigdzie nie jest całkiem śpiąco. Światło pełni miesiąca obrzęka wierszami. Osiada na trawie skrzepliną po wczorajszej ścinie. Przepowiadam zapachem ostrużyn z kredek i temperówek.

*

Piję z przydomowej studni. Łyżką zdanie po zdaniu o sile oceanów niosących tonami sterty opakowań. Sieć wyławia odpady i ostatnią mątwę, której sepią czernidła można pisać listy. Opowiem o tym, nim znów się napiję. Nim oko się zapcha nadmiarem zieleni. Nim zdam sobie sprawę, że podobnie jak zwierzę, pod płaszcz zasysam smutek między oddechami.

*

Tylko to znaczy, co już nie istnieje. I choć zapomniałaś, skóra ci przypomni. Wezwie na miętowisko i przy nim zarośnie. W wiszarach uleczy skaleczenia ziemi. Może to przez turzycę, a może przez żaby w odwiecznym rytmie maja. Skóra się upomni o wycięte drzewa. O trzebież, pilarzy, o bolącą chwilę, gdy zdrowym korzeniom odcięto duszyce.

(Wiersze pochodzą z przygotowywanego tomu poetyckiego „Lęgnia”)

Słowa

Każdy dobry poeta dochodzi w swoim zmaganiu do tego, że chodzi tak naprawdę o coś więcej niż napisane słowa. I zaczyna mieć znaczenie pytanie, które dokuczliwie trapi głowę, o sens tworzenia. Już Szekspierowi doskwierał ten problem. Że to tylko słowa, słowa, słowa. Czy tylko?

Za dużo

Za dużo jednorodności zdarzeń, czyli śmierci, za dużo deszczu, chłodu, smutku, poczucia bycia w cieniu i ryzyka życia. Każda chwila niepewna. Mało stąd motywacji do pracy. Musi więc wejść nowe pokolenie ze swoimi celami, ambicjami, ideami i złudzeniami. Które ma odpowiednio zapasy energii i w klatce nic nie zadławia obiegu krwi ani mięśnie póki co nie osłabiają się. I innymi oczami spojrzysz na każdą rzecz.

Burza

Każda burza w przyrodzie lub burza społeczna zastany porządek rzeczy zmienia. Czuje się jej dramatyzm oraz trzeba płacić cenę, ale potem idzie powiew nowości. Niektórzy (niecierpliwcy) chcą, może nawet potrzebują gwałtowności

zmian, inni wolą spokojny nurt. W każdym razie w pewnym momencie zbyt długo trwająca jednolitość spraw jest nie do zniesienia.

Wielkość

Różnie o tym ludzie myślą i wymyślają. Przeważnie pojmują wielkość jako zauważalne, społecznie cenione, światowo obecne, medialnie dostrzeżone i publicznie chwalone dokonanie. Kiedyś, niedawno ktoś mnie o to zapytał. Dałem więc przykład mojego ojca, którego nigdy żadna gloryfikacja nie spotkała. Doświadczał raczej przeciętnych, żeby nie powiedzieć banalnych, splendorów życia. Wiódł życie proste. W młodości wyuczył się zawodu rymarza i dopóki były konie, to miał zajęcie, co sam obserwowałem w dzieciństwie moim jaromińskim. Zajmował się codziennie naprawami uprzęży końskich w pokoiku obok kuchni. Z całej okolicy gospodarze w tej sprawie przyjeżdżali. Latem również przychodzili Cyganie. Nie wiedliśmy dostatniego życia, ale przeciętne, średnie, matka pozbieranymi w lesie szyszkami paliła w piecu, by ugotować obiad, jednak gdyby nie ta rzemieślnicza praca ojca, to klepalibyśmy dużą wiejską

biedę. Mój ojciec całe życie miał ubogie. Wojnę spędził przymusowo w Zatoniu, lecz ta jego umiejętność rzemieślnicza oraz osobista skromność wtedy bardzo się przydała. Niemcy to docenili. Opowiadał mi o tym wszystkim, o ciężkiej pracy, o pięknym pałacu, który odwiedzał. Powojenny czas też był trudny, zupełnie nieporównywalny do tego, co dzisiaj, kiedy to wszelka praca jest dostępna na wyciągnięcie ręki i zazwyczaj dobrze płatna. I wiem, że ojciec nie popadał w jakiś wyraźny negatywizm ani zwątpienie, nie narzekał, chociaż i zdrowiem dobrym się nie cieszył. Powiedziałem o tym wszystkim komuś w kontekście pytania o wielkość. Rzecz bowiem w tym, żeby w trudach codzienności, w trudach psychicznych, wewnętrznych i czasem w niedostatkach, w ciężkich sytuacjach wytrwać, wszystko unieść i coś umieć cenić oraz docenić, nie posuwając się do nagannego postępowania, do nieuczciwości bądź sięgania po narkotyki, co obecnie praktykuje często młodzież. To jest właśnie wielkość – wytrwanie.

Co jeszcze

Literatura nie ma misji, od której cokolwiek mogłoby w świecie zależeć. Nie kształtuje oblicza świata. Inne moce o tym decydują. Wyraża mniejszej lub większej wagi doświadczenia, które najczęściej są doświadczeniami jednostkowymi i pytaniami, na które nie ma odpowiedzi. Jednak z tego powodu prezentowany negatywizm, abnegacja, wykreślanie sensu, pognębiająca ducha dekadencja oznaczają wejście na błędną drogę. Rzecz w jednym ważnym zadaniu, przy wszystkich wątpliwościach: jest nim uznanie trwania za podstawową wartość. To obecnie cel numer jeden. Jeśli zabraknie tego rodzaju wyznacznika, to jaka idea jest jeszcze możliwa?

LEKCJA

dok. ze str. 16

o których nie mamy pojęcia. Bogowie mogą nie rozróżniać lat wcześniejszych od późniejszych. Dla nich wszystko jest równoczesne. Może tak być, że pokuta pojawi się przed grzechem.

Mamy niezwykłą skłonność niepomyślne zdarzenia pojmować w kategoriach metafizycznej kary – zostaliśmy przez los ukarani, a za co, nie wiemy. Wywód drugiego strażnika, logiczny sentencja po sentencji, nakazuje zatrzymać się na ostatniej z nich i wyciągnąć właściwe wnioski. Jeśli jest w nas poczucie pokuty, a nie ma poczucia grzechu, należy przyjąć jedynie słuszną sugestię. Grzeszyć – żyć barwnie i intensywnie, tworzyć i dzielić się stworzonym, radować się i tańczyć. Kiedy przyjdzie kolejna zaraza, przynajmniej będziemy wiedzieć, za co ta kara i pokuta, co z pewnością uczyni je łatwiejszymi do zniesienia. I nawet jeśli obecna zaraza niejednej i niejednemu z nas zabrała kawał zdrowia, nawet jeśli niektórych zubożyła o bliskie osoby, wnioski należy odczytać jednoznacznie. Aż tak jednoznacznie, że kusi przywołanie cytatu z opata Galianiego, sformułowanego przed blisko trzytysiąc laty: *Śmierć czeka nas na pewno, dlaczemu nie mamy być weseli?*

Z życzeniami powrotu do pogody ducha

Alski

JERZY ALSKI

Ta powieść w ogóle nie powinna powstać, ale skoro już powstała i istnieje? Jest to romansowy, ale i pozazmysłowy, kryminał. Bohaterem jest niespełna czterdziestoletni wirtuoz klawesynista, poza tym handlarz dziełami sztuki. Zakochany, a jakże, w dziewczynie, która jest niemal geniuszką – to romans. Drugim bohaterem jest książę Carlo Gesualdo da Venosa, szesnastowieczny genialny włoski kompozytor, a jednocześnie okrutny morderca swojej żony, który wydobywa się z dantejskiego piekła – to składnik pozazmysłowy. Książę zasiadł dla umysłu głównego bohatera i nakłania go, aby zamordował swoją dziewczynę, która go – tak jak żona księcia – zdradziła. I to jest kryminał, bardzo zawily.

Nie powinna ta powieść powstać z dwóch powodów. Pierwszy jest pełen osobistych emocji i niech tak zostanie. Natomiast drugi... Jeżeli już przed „Halucynacją” oskarżano mnie o hermetyzm, eskapizm, stawianie wymagań, wręcz nieliczenie się z czytelnikiem, to ta powieść jest podaniem prokuratorom dowodu na tacy, bo ona właśnie taka jest i to w zwielokrotniony sposób. A zrobiłem to z powodu irytacji rozpierającymi się w polskojęzycznej przestrzeni kulturowej nowymi tendencjami – negującymi dotychczasową frazę, dotychczasową metaforę. W „Halucynacji” obie usilnie starałem się rozwinąć do absurdałnych wręcz granic. To jest powód, dla którego ją lubię. Jest moją odpowiedzią na nowy kulturowy ład – bardzo wyraźną odpowiedzią.

HALUCYNACJA FRAGMENT

Wrócił, niosąc w obu rękach prostokąt zasłonięty płachtą materii. Enigma, mogąca być obrazem. Karol pochylił się ku butelce, nalał, Andrea ustawiał obraz na sztalugach. Karol odstawił kielich, z rosnącą siłą czuł alkohol w sobie, we krwi, patrzył na prostokąt zasłonięty materią i bezdenną czerń wokół niego, czekał. Andrea krzątał się, krążył, spojrział w końcu w jego kierunku. – Zaczynamy?

– Proszę.

Andrea ściągnął płachtę z obrazu.

Powtarzające się odbicie księżycy w uciekających skróconą perspektywą oknach fasady palazzo było pierwszym, co rzucało się w oczy. Krwistoczerwonego w pierwszych, żarzącego się zaledwie niczym wypalona bryłka żużlu w ostatnich. A wszystkie te księżycy jak wianek oczu wpatrzone w zbrodnię. Brudnoczerwona poświata przy lewej krawędzi i padające stamtąd pojedyncze iskry – jakby ktoś tam, już poza obrazem, trzymał pochodnię. Przed nią unurzana w krwistej czerni nocna scena przed palazzo. Pachołek po przeciwnej stronie obrazu trzymał pochodnię w lewej ręce, na głowie miał łódkowaty hełm odbijający płomień, prawą ręką obejmował lufę muszkietu, kolbą opartego o bruk placu czy też ulicy. Na lewo od pacholka obramiony kamienną balustradą podest, kamienne schody ku brukowi, za podestem otwarte odrzwia i ciemność w głębi. I teraz na lewo tamte, surrealistyczne księżycy w granatowych oknach, gasnące w ostatnich niczym wypalone węgle. Oczy.

Na podeście mężczyzna stężył w pozie pełnej furii, unoszący się na palcach, z ciałem wygiętym ku przodowi i wyciągniętą przed siebie prawą ręką ze sztyletem, o szlachetnej, pociągłej twarzy, na której oczy były zamknięte, a usta zmrożone w sardonicznym wygięciu, odziany w buty o wysokich do kolan cholewach, krótkie, bufiaste spodnie i otwarty kaftan z szamerunkiem z przodu. Ostrze sztyletu jarzyło się ponurą bielą między plamami zakrzepłej na nim krwi.

Na schodach... na schodach zwłoki. Dwojga. Mężczyzna w rozpiętym kaftanie – być może rozdartym strzałem, bo jego pierś była strzaskana i brzuch rozdarty po pępek, z resztkami kości wystającymi z brudnoczerwonej masy, niżej bez odzieży, z podbrzuszem zbryzganym krwią i śmiertelnie bladymi nogami, nienaturalnie wygiętymi. Stopa lewej dotykała podestu. Wygięta w tył głowa z otwartymi jak wrota ustami zsuwała się z ostatniego stopnia schodów na bruk.

Kobieta również leżała głową w dół i również była niekompletnie odziana. Kształtne, pełne i bezkrwiście białe piersi wyrzucały się z bielizny, reszta ciała była równie biała, ze strzępami krwi wokół rany na rozprutym strzałem brzuchu, z nogami rozrzuconymi, przykrytymi do połowy ud szczątkiem splamionego krwią woalu i trójkątem łona prześwitującym spod niego – ono również wydawało się splamione, czy też wilgotne. Głowa na ostatnich stopniach, odchylona podobnie jak głowa mężczyzny, z chaosem blond loków wokół twarzy, wpółotwartymi ustami, z których lejąca się struga krwi już zakrzepła, z szyją przeciętą poprzecznie i rozchylającą się jak drugie usta raną, z której krew ściekała na ostatni stopień schodów.

Karol zamknął oczy. Pod powiekami miał cień – bo był jeszcze cień – mężczyzny stojącego na podeście, cień jak mara z upiornego snu padający na ścianę budynku, wyginający się na niej, niemal ją wyginający siłą swojej furii.

– *Miłość nas śmiercią położyła w grobie* – nie wiedział, skąd znał ten wers. Ani nie wiedział, skąd wiedział, że pochodzi z „Boskiej komedii”.

– Ale to nie Francesca da Rimini. To Maria d’Avalos.

Obaj milczeli chwilę.

– *Morderca niechaj Kainy się lęka* – dopowiedział półgłosem Andrea.

– Kto to namalował?

Andrea usiadł przy stole. – Obraz jest datowany. Na rok tysiąc sześćset siódmy. Natomiast nie ma sygnatury, bo została ona zatarta. Mam trochę sprzętu i znajomych, płótno było skanowane ultrasonograficznie i rentgenowsko. Pewne podejrzenia mam, ale to tylko podejrzenia. Natomiast dlaczego zatarto sygnaturę? – pokiwał głową. – Może sam malarz to zrobił, przerażony tym, co namalował? I czy ktoś to dzieło zamówił, czy też artysta namalował je zafascynowany ponurą historią sprzed lat? Zapewne malował w Neapolu, a przynajmniej dokładnie poznał miejsce zbrodni, bo jest to fronton neapolitańskiego Palazzo Sansevero, rodzowego pałacu księcia. To jest ten podest i te schody. Tam leżały zwłoki kochanków.

– Kolorystycznie pachnie Caravagiem – Karol starał się mówić spokojnie – ale on jest niezbyt dbały o tło. Zaś tutaj ktoś dołożył niemałej pracy, aby drugi plan podnosił grozę pierwszego.

– Caravaggio byłby się zgadzał – Andrea wstał, sięgnął po drugą butelkę i korkociąg. – Akurat wtedy tworzył w Neapolu. Pasuje jeszcze Guido Reni, no i Battistello Caracciolo. Wszyscy trzej wówczas tam tworzyli. Inni raczej w grę nie wchodzi, obraz jest zbyt mistrzowski. Ktoś z jej lub jego rodziny mógł go zamówić, na wieczną rzeczy pamiątkę – zakończył sentencjonalnie i rozlał wino do kielichów. Odstawił butelkę.

– Jego?

– Napijmy się – zaproponował Andrea. – Niechętnie patrzeć na ten obraz, wzbudza dziwne uczucia. Jakby żył, jakby to się działo naprawdę, w tej upiornej atmosferze. D’Avalos to dobry ród i bogaty, a d’Andria jeszcze lepszy. On był d’Andria. Neapolitańska arystokracja. A spojrz, Carlo – wskazał obraz – pomarli jak ostatni z ostatnich.

– Kiedy tym żyjesz, wszystko ci jedno – mruknął Karol.

KONKURS NA FRASZKĘ IM. JANA GROSSA

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim ogłasza Konkurs na fraszkę im. Jana Grossa.

W konkursie mogą wziąć udział osoby pełnoletnie, które są autorami fraszek. Na adres organizatora należy przesłać osiem fraszek o tematyce obyczajowej w języku polskim, dotąd nigdzie niepublikowanych i nienagradzanych, w trzech egzemplarzach w formie papierowej lub pliku w formie elektronicznej.

Utwory powinny być opatrzone godłem. Tym samym godłem, co praca konkursowa, powinna być oznaczona zamknięta koperta zawierająca imię i nazwisko, adres mailowy, numer telefonu i formularz zgłoszeniowy oraz podpisane przez autora oświadczenia.

Prace nadesłane na Konkurs nie mogą naruszać prawa, w szczególności dóbr osób trzecich, ogólnie przyjętych norm obyczajowych czy zawierających treści chronione prawami wyłącznymi (np. prawami autorskimi) bez zgody osób uprawnionych.

Termin nadsyłania prac – 15 sierpnia 2021 r.

Nagrody: I nagroda – 1000,00 zł, II nagroda – 700,00 zł, III nagroda – 500,00 zł.

Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród nastąpi 8 października 2021 r. w siedzibie WiMBP.

Informacje na temat Konkursu można otrzymać, pisząc lub dzwoniąc:

d.zielinska@wimbp.gorzow.pl, tel. 95 727 70 70; m.barczynska@wimbp.gorzow.pl, tel. 95 727 70 61.

Regulamin konkursu i druki do pobrania na stronie internetowej WiMBP: <https://www.wimbp.gorzow.pl/regulamin-konkursu-literackiego-na-fraszke-im-jana-grossa/>



NOWA PROZA

Waldemar Szymczak

ODWYK (Z) DOROSŁOŚCI

FRAGMENT

Mówiłam już. Jestem pod ścianą płaczu, ale nie mojego. Nie dam się w to wrobić. Swoje już wyrzuciłam. Wiem, że sama przykładam rękę do świata dorosłych, ale nie czuję się winna. Nie zrozumieją przecież, więc wypowiedzą wojnę. Oczywiście, że tak. Bo robią to za każdym razem. Tacy właśnie są. Wypowiadają wojnę dzieciakom. I chępią się, że zawsze ją wygrywają. W dodatku nazywają to wychowaniem. Przypominają to przy każdej okazji i bez niej, kiedy tylko będzie im wygodnie lub gdy zabraknie argumentów. Pamiętasz, jak się umawialiśmy? Tak mniej więcej zachynają. No dobra, umawialiśmy się, to prawda, lecz sytuacja się zmieniła. Wtedy było wtedy, a teraz jest inaczej. Też zmieniliście swoje słowo. Nie jesteście sprawiedliwi. To pierwszy, rozpoznawczy cios. Obiektywnie rozważ racje. Poważne ostrzeżenie. Nie chodzi o obiektywizm, ich racje są większej wagi, bo oni ważą więcej. I mocniej przyłożą. To jest dorosła wersja obiektywizmu. Bardzo chętnie rozważę obiektywnie, jeśli i wy to zrobicie. Czy kiedy mówicie: szlaban... nigdzie nie pójdziesz... najpierw obowiązki... nic z tego... na pewno rozważacie obiektywnie? Czy to bardziej odruch emocjonalny? Pozwalacie dyskutować? Kto pierwszy mówi: bez dyskusji! Bo to dla naszego dobra? Na pewno naszego? Nie waszego czasami? Bo tak jest wygodniej, bo się nie chce tłumaczyć lub rozmawiać. Bo mieliście ciężki dzień. A nasze dni to co? Sielanka i beztraska? Dobra wróżka podrzuciła nas ze szkoły na latającym dywanie? Jak co dzień, zresztą? Krasnoludki z doktoratami odrabiają za nas nocami zadania domowe? A na zakończenie dnia Charon przewozi nas przez wody zapomnienia? Codziennie zjawiamy się na świecie jako tabula rasa? Za mali jesteśmy na krzywdę i niewdzięczność? Omijają nas? Jesteśmy może pod ochroną jak zagrożony gatunek? Z pobłażaniem czekacie, aż wyczerpiemy limit błędów i młodzieńczych wygłupów? Taki ewolucyjny zestaw głupstw, przez który i wy przechodziliście. Dlaczego macie nam to za złe?

Myślicie, że krążymy po różnych orbitach, jak niewydarzone planeciutki, które z naturalnej pustoty i niewdzięczności sprowadzą na was zagładę? Nasza grawitacja to pikus w porównaniu do waszej. Jesteście wyżsi i to na was pierwszych pada deszcz, więc my już nie mokniemy? Naprawdę? Wierzycie w to? Może tylko nie chce wam się spojrzeć w dół. Jesteśmy!! My też mokniemy. Dla nas samych, tak, tak bardzo egoistycznie właśnie. Bo wy dla ojczyzny, dla nas i dobra świata! I kto tu powinien dorosnąć? Dlaczego tylko nas tym obarczacie. Nadużywanie argumentu: Dorosnij wreszcie! Naprawdę? Skoro tak, to oznaczałoby, że tylko my musimy się zmienić. Wy już nie? W takim razie, żeby zachować pozory choćby równości, powinniście uznawać nasz argument: ZDZIECINNIEJ WRESZCIE! Całkiem poważnie. Nie zastygajcie w skorupie, rozwijajcie się. Pewnie zrozumiałeś to wezwanie inaczej. Dlatego właśnie jesteś dorosły. Pozbądź się tego brzemienia, które cię uwiera. Wiecznej troski, która cię zżera, i migreny dorosłości, przez które nie wiesz sam, kim tak naprawdę jesteś. Po co ci te metafizyczne odciski? Nie definiuj się przez role, jakie odgrywasz. Tatuś musiał wyjechać, mamusia też powinna odpocząć, pani nauczycielka jest od zadań domowych, my też musieliśmy chodzić do szkoły, słuchać rodziców itd. Po jakie nagłe ci to licho, skoro nie poznasz siebie? Żeby było co do garnka włożyć? Żeby się popodniecać od czasu do czasu swoją „dojrzałością”? To przez nią wypowiadacie nam wieczną wojnę? To ona stała się horrorem, w którym się obudziliście? Jeszcze wczoraj, kiedy się

kładliście spać, byliście Małym Księciem, a dzisiaj już Frankensztajnem? Nie poznajecie się w lustrze? I się dziwicie w dodatku? Nie możecie się bezboleśnie uczesać, bo za dużo szwów?! Jaki drań was tak poskładał? Bardziej pozszywał jednak. Taka to patchworkowa ta wasza dorosłość. Pstrokata i ni w pięć, ni w dziewięć.

Dla tej jednej choćby chwili warto byłoby się sprzeniewierzyć granicom tej książki i zobaczyć wasze oburzone zdziwienie. Bo wierzycie, że wcale tacy nie jesteście. W realu jesteście zupełnie inni, fajni i wyrozumiali. To także jedynie wasza wiara... taka uwaga na marginesie tylko. My wiemy natomiast, że tacy właśnie jesteście. Tym się różnimy. Wy każecie nam wierzyć w swoją lepszą ciemną stronę Księżyca, lecz nie możecie jej pokazać. Ale ona jest na pewno, sami zobaczymy. To świat nie pozwala wam być takimi, jakimi chcielibyście być! Niestety, taki jest koszt. Musieliście to poświęcić. Nawet wy w nią nie wierzycie. W potencjalnie lepszą wersję was samych. To tylko mechanizm obronny. Wasz niespełniony sen o Małym Księciu, który zweryfikowało życie. To podstawowe usprawiedliwienie. Jak ból brzucha w szkole. Tyle tylko, że my wiemy, że to lekkie oszustwo. Wy wierzycie, że to szlachetny kompromis. Taki metafizyczny odcisk, który przyszło nieść wam w dorosłym życiu. Akuku! Kochani Frankensztajni, uwierzcie chociaż w to, że nie było żadnego Pana Wrednego Chirurga, Spaczonego Wizjonera ani Wielkiego Eksperymentatora. Nie było nawet zwykłego felczera z przerośniętą ambicją. Sami się tak urządziliście. Na własne życzenie. A wasza boleść nie ma wcale stempla kosmicznego. Zejdźcie na ziemię, to się dogadamy.

Teraz już rozumiecie, że nie uratują was żółte ani czerwone spodnie. Bluzki z najpiękniejszymi napisami po angielsku w rozmiarach babci, matki i wnuczki? Leginsy i elastyczne tiszerty ledwo powstrzymujące w ryzach wielki wybuch obżarstwa. To także odpowiedzialność. Dlaczego im nie wypowiedziecie wojny? Czemu nie chcecie nawet powalczyć z Frankensztajnami waszych nawyków, przyzwyczajzeń i przekonań diabła wartych. Dlaczego upieracie się, żebyśmy was naśladowali? Bo to gwarancja waszej nieśmiertelności, skłonować się mentalnie w nas? Zwariowaliście?! Dorosnijcie wreszcie! Ale naprawdę. Odrośnijcie od tej dorosłości! Zróbcie to w końcu. Cokolwiek choćby! My nie wypowiadamy wam wcale wojny. I nie dlatego, że dajecie nam jeść i wysyłacie do szkoły dla naszego dobra. Wcale nie! Nie robimy tego, bo... jesteśmy dobrzy. Skupcie się! Nie twierdzą wcale, że jesteśmy lepsi od was. Nie o to chodzi. Jesteśmy tu, gdzie Mały Książę, a wy tam, gdzie Frankensztajni. Jednak wierzymy, że uda nam się bezboleśnie dogadać. Bezboleśnie dla obu stron. Niestety, jak wszystko w naszym przypadku, to naiwna wiara. Wy pewnie wierzycie, że i tak w końcu staniemy się wami, bo życie, bo w pupsko, bo w kość, bo to bzdury, bo dorosniemy i tak! Jesteście przekonani, że w końcu zrobimy to dla naszego własnego dobra. Serio?! Chcieliście być Frankensztajnami? Marzyliście o tym w dzieciństwie? Nie mogliście się doczekać?

Waldemar Szymczak, z wykształcenia polonista, nauczyciel języka polskiego w II Liceum Ogólnokształcącym w Gorzowie Wlkp. Autor powieści „Pysk żółwia” i „Hiob.Ty” oraz tomu opowiadań wydanych w języku włoskim. Publikowany fragment pochodzi z książki zaplanowanej do wydania w 2021 r. przez Oddział Związku Literatów Polskich w Gorzowie.

Robert Rudiak

(ur. 1966), prezes Zarządu Oddziału ZLP w Zielonej Górze, poeta, prozaik krytyk literacki, doktor nauk humanistycznych. Wydał 14 tomików wierszy i opowieści, 7 książek monograficznych i szkiców, współredaktor antologii i katalogów. Jest autorem i współautorem 6 wystaw instalacji plastycznych oraz 4 filmów dokumentalnych o pisarzach lubuskich. Laureat kilkudziesięciu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich w kraju i za granicą.

Otrzymał dwukrotnie Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielona Góra (2007, 2019), Lubuską Nagrodę Literacką ZLP (2011), Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka” (2015) i Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza (2016) oraz Małego Eryka – Nagrodę SPAK (2019). Odznaczony medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej (2017).

W UKRYCIU

jaki wyraz twarzy miał Barabasz
stojący w ukryciu gdy pal wbijano
co myślał kiedy ciało zawisło na krzyżu
gdzie patrzył kiedy obelgi miotano w stronę skazańca

jak drżały usta Barabasza
kiedy ściągano martwe ciało
szemrał coś niedbale czy milczał jak głaz zaklęty
w śmiertelnym przerażeniu

jaki błysk pojawił się w oku Barabasza
triumfu czy porażki
kiedy włócznią przebito bok
i ciało zwinięto w całun

jakie łzy stoczyły się po jego policzkach
kiedy rozeszli się wszyscy
a on powracał samotnie do domu –
łzy szczęścia czy rozpaczy...

**CZWARTA NAD RANEM
ALBO ROZMOWA Z DUCHAMI**

nadchodzi godzina samobójców
jest jeszcze wódka kilka papierosów
są już wokół przyjazne duchy zmarłych

kluczyk w książeczce do nabożeństwa
rozmawia ze mną o tym co może nadejść
albo skończyć bezpowrotnie

moi zmarli otaczają stół ciasnym kręgiem
piją ze mną śmieją się opowiadają dowcipy
uczą jak obracać kluczyk z tamtej strony

SERCE MATKI

Mamo! miałaś rację
nie ma ciebie już wśród żywych
całej

jest tylko pół i aż pół

jak została połowa twojego mózgu
przy życiu

jak połowa ciała po paraliżu
i połowa zmysłów

połowa pamięci z tego
co miało trwać wiecznie

ocalało tylko serce
całe
wyłącznie dla mnie

NIE – POGODZE – NIE

rozmawiam z tobą
czasem
jak z zaświatami

niewiele rozumiesz
śmiejesz się z byle czego
złośćisz lub płaczesz bez powodu

patrzę na ciebie
jak na boga
i pustkę

czasem mógłbym cię zabić
ale częściej
oddać życie za ciebie

każdej nocy widzę jak pęka ci serce
topnieje mózg
zanika mowa i pamięć

i z każdą kolejną chwilą
uśmiercam cię bardziej i nienawidzę
obcej kobiety w tobie

z każdą następną sekundą
zbawiam cię i przywracam do życia
i kocham ponad wszystko kocham

moją matkę w obcej kobiecie
obcą kobietę
w mojej matce



Aneta Gizińska-Hwozdyk W NOWYM REŻIMIE

W tym szaleństwie wszystko było prostokątno-kwadratowe lub kwadratowo-prostokątne. Identyczne, powtarzalne, bez przerwy, nieustannie, ciągle. Początkowo miała dość tej monotonii. Później, stopniowo, zaczął się proces akceptacji, a nawet asymilacji. Stawała się również prostokątno-kwadratowa. Jak sufit, jak podłoga, jak każda ściana, jak otwór drzwiowy, jak drzwi z futryną, jak rama okienna oraz jak samo okno. Prostokątny blat ławy. Prostokątne łóżko. Nieco większy prostokąt szafy. Prostokątna firanka pod wpływem delikatnego wiatru nieco burzyła swój kształt, ale bardzo szybko powracała do normalnego, prostokątnego stanu istnienia.

W jej z natury okrągłej głowie nie bardzo to wszystko chciało się pomieścić. Ześlizgiwało się od razu, wraz z jakąkolwiek próbą rozumienia. Prostokątny monitor nad prostokątnym komputerem wyświetlał wiadomości, informacje, bombardował tempem ich nadawania, ale nie ułatwiał rozumienia. Pozwalał jedynie naciskać prostokątne lub kwadratowe klawisze na klawiaturze, aby dostarczać naciskaczowi kolejne, obfite i ciężkostrawne porcje zdarzeń. Komputer przejął kontrolę nad rzeczywistością. Jak gdyby to on sam tworzył i wydawał na świat te wszystkie informacje i wiadomości, i jeszcze sam produkował zdarzenia.

Może tak to właśnie miało wyglądać: oni dostaną mało obfite w figury geometryczne otoczenie, a komputer będzie tworzył tę całą różnorodność kolejnych zdarzeń. Ujednolicenie... Bo przecież każdy i przecież wszędzie. Przestała liczyć dni. Nic się nie zmieniało. Prostokątny balkon tworzył spaceriak pod prostokątnym niebem. Nie dawał możliwości rozwinięcia myśli. Myśl pojawiała się, gdy ona szła w jednym kierunku, a kończyła się tuż przy barierkach. Odwrócenie się powodowało natychmiastowe odpłynięcie myśli, która już nie wracała. Myśl też musi mieć szerokie przestrzenie, aby być prawdziwie swobodną.

I wreszcie komputer wydał opinię, że są wolni! Mogą opuścić swoje bezpieczne klatki prostokątów i pójść nieco dalej. Zostało to nazwane „nowym reżimem”. Wiadomości zazwyczaj były produkowane „do pary”: najpierw pozytywna – a za sekundę negatywna. Pozytywna najczęściej zaczynała się od „można” lub „wolno”, a negatywną rozpoczynał spójnik przeciwstawny „ale” – „ale w nowym reżimie”. Ignorowała natomiast całkowicie słowo „już”, które towarzyszyło wyrazom „można” oraz „wolno”. Jakże to bowiem „już”, jeśli i ona, i chyba każdy tak bardzo zdążyli się do „dawnego reżimu” przyzwyczaić.

Wkrótce się okazało, że „nowy reżim” porzucenia prostokątów pomieszczeń narzuca nowy prostokąt. Zyskał swoją nazwę gatunkową, toteż należało sądzić, że pozostanie z nimi na dłużej. Jeśli gatunek, to będzie się rozwijał, ewoluował, dostępowal modyfikacji w obrębie gatunku, wykształci odnogi, zacznie pączkować, rozmnażać się i być nieustannie obecnym. Został nazwany: „Maseczka”. Zdrobnienie sytuowało go początkowo jako coś drobnutkiego, niewinnego, jako szczegół i dodatek. Aby się go nauczyć, ludzie otrzymali instrukcję obsługi. Komputer produkował strony, które pokazywały bardzo szczegóło-

wo, jak należy postępować z Maseczką. Jak ją fachowo odwracać, montować, nakładać, ściągać, jak przechowywać i gdzie stosować. Początkowo szczęśliwym posiadaczem Maseczki byli bowiem nieliczni. To oni pierwsi porzucali swoje bezpieczne prostokąty pomieszczeń, balkonów, klatek schodowych, bram, furtek i mogli powitać świat „w nowym reżimie”.

Na szczęście powołanie do życia kolejnych Maseczek to była tylko kwestia czasu. Pomysłowi ludzie bardzo szybko zaczęli tworzyć. Wystarczył kawałek materiału, maszyna do szycia, nitka, igła, fragment gumki i już! Na świat przychodziły stopy nowych Maseczek. Pojawiła się także różnorodność. Początkowo stosowano neutralne barwy całościowe: czerń, biel, błękit, granat, zieleń. Ale człowiek urozmaicił tę paletę, dodając do niej wzory. Maseczki zyskały groszki, kwiatki, zwierzątka, wzorki. I nawet rozmiary! Zaczęto brać pod uwagę różnorodność ludzkich głów i humanitarnie dostosowywać wielkość Maseczki do wielkości twarzy.

Jej pierwsza w życiu Maseczka była prezentem. Niebieskie kwiatki na tle barwy ecru. Niegdyś wolałaby otrzymać bukiet takich kwiatów. W „nowym reżimie” ucieszyła się z Maseczki, która pozwoli i jej opuścić prostokątne pomieszczenia.

Bardzo nieśmiało powtarzała – zgodnie z komputerowymi lekcjami – wszystkie gesty i ruchy, które pozwalały w sposób umiejętny posłużyć się Maseczką. Następnie wypróbowała w praktyce swoje umiejętności – ćwicząc przed prostokątem lustra w prostokątnej łazience. Nie zwracała wówczas uwagi na to, że traci twarz, a zyskuje bukiet niebieskich kwiatków zamiast policzków i własnego nosa. To były nieco abstrakcyjne niezapominajki – tak więc miała nadzieję, że nie pozwoli zapomnieć o anatomii twarzy, kościach policzkowych i strukturze ust.

Bardzo wolno, nieśmiało, nieporadnie przemierzała poszczególne prostokąty schodów. Kiedyś biegła po nich niemalże rutynowo i bezmyślnie. W „nowym reżimie” poznawała je jak gdyby na nowo, stopniowo: stopień za stopniem. Jeszcze tylko prostokąt drzwi i... przestrzeń! Chciała zachłysnąć się powietrzem, zacerpnąć jego haust, zachwycić się wiosennym zapachem ziemi i kwitnących drzew, ale... nic nie było... Ani głębokiego haustu powietrza, ani zapachu, ani nawet samego oddechu. Czuła, że się dusi, że coś ją tłamsi, zniewala. Chciała walczyć o prawo do swobodnego oddechu, ale cała była w niewoli Maseczki w Niezapominajki. Chciała mieć to za sobą, jak najprędzej, jak najszybciej – dotrzeć do celu. Słońce na bezchmurnym niebie było wielgachne i większe niż dawniej bywało (komputer informował o tym, że atmosfera się oczyściła, a smog już nie grasuje po niebie i nie czyha na każdym rogu, toteż najwyraźniej słońce miało pole do popisu). Nie potrafiła się zachwycić. Ani tym wielkim, przeżółtym słońcem, ani ptasim trelem oznajmającym zakładanie gniazd, ani zapachem kwitnących drzew i pierwszych kwiatów. Jej niezapominajki nie pachniały. Mało tego – były apodyktyczne – nie pozwalały nikomu i niczemu dotrzeć do jej zmysłu powonienia.

Kiedy zauważyła drugiego człowieka, już wiedziała, że nie powalczy. Szedł ktoś i trzeci, i czwarty, i kolejni ludzie. A każdy w swojej Maseczce, ze wzrokiem tępo wbitym w linię horyzontu. Prostokąty więziły twarz i czyniły ją identyczną ze wszystkimi innymi twarzami. Nie było smutku, nie było uśmiechu, nie było grymasów i krzywienia ust, nie było okazywania radości. Kiedyś wierzyła, że to oczy są prawdziwym zwierciadłem duszy. Jednak w „nowym reżimie” okazało się, że potrzebna jest człowiekowi cała twarz, aby być sobą i wiele wyrazić. Oczy straciły na wartości.

Kolejny prostokąt zniewolenia. Gruba krecha materiału, która przekreśla istnienie nosa, ust, policzków, a u niektórych nawet brody. Która wynaturza kształt uszu i przepoczwarza najdoskonalszą fryzurę opaską mało subtelných gumek.

Nie poznała sąsiadki i na wszelki wypadek odpowiadała „dzień dobry” wszystkim, a nawet inicjowała takie „dzień dobry”. Również na wszelki wypadek... Ekspedientka w sklepie trzy razy zadawała jej pytanie, a ona trzy razy jej odpowiadała, ale – pomimo prób nawiązania komunikacji – niespecjalnie mogły się porozumieć. Już wiedziała, że – co prawda – jej niezapominajki dają jej przewagę inności Maseczki, ale w niczym nie pomagają. Są tylko elementem „nowego reżimu”, który – wyzwoliwszy człowieka z oków jednych prostokątów – wpędził ich w nowe, jeszcze węższe i jeszcze bardziej czyniące nowego człowieka, w „nowym reżimie”.

W bezpiecznym prostokącie domu zerwała Maseczkę jedynym ruchem ręki. Nie przejmowała się żadnymi instrukcjami zdejmowania i nakładania. Niezapominajki jednak nie dawały jej zapomnieć. O tym, że teraz to one stanowią element jej twarzy. Najważniejszy, największy, najbardziej rzucający się w oczy – oczy, które jako jedyne pozostają od niego wolne. Maseczka zaanektowała haczyk, na którym w dawnych czasach wieszany był klucz od drzwi wejściowych. Klucz otrzymał inne miejsce, a Maseczka zamieszkała na jego haczyku, wszak ona też otwiera drzwi: do przestrzeni, do sklepu, do kościoła. Otwiera dużo więcej niż jeden klucz do jednych drzwi i do jednej tylko przestrzeni, choćby i najbezpieczniejszej – przestrzeni domu. W niej poczuła się nagle prawdziwie wolna – bez konieczności zasłaniania twarzy, powtarzania pytań, niepoznavania ludzi, nieodczuwania swoich zapachów. W gości wdzięczności za to nagłe docenienie i gloryfikację prostokąty ścian jak gdyby rozstały się, czyniąc ten mały dom większym i bardziej przestrzonnym.

Na swoim gumowym uchu dyndała powieszona Maseczka. Przypominała o sobie, wpisując się idealnie w prostokąt przedpokoju. Nie dawała zapomnieć o „nowym reżimie”, którego stała się nieodzownym i koniecznym elementem. Zresztą gdy proces wychodzenia powoli stawał się na powrót czymś na kształt normalności, niejednokrotnie Maseczka kazała po sobie wracać, gdyż zapomnienie o niej znaczyło wykluczenie człowieka z możliwości uczestnictwa w życiu toczącym się już na dobre w tym „nowym reżimie”.

Dyndające maseczki stały się elementem wyposażenia samochodów – jechały najczęściej tuż przed kierowcą, powieszona za ucho na lusterku przedniej szyby. Zyskały swoje kieszonki w damskich torebkach i zajęły poczesne miejsca w kieszeniach męskich spodni. Szły razem z człowiekiem – jak gdyby w charakterze zakupów; a właściciel wymachiwał nimi niczym torbą ze sprawunkami. Zgubione, pozbawione właściciela, leżały na skwerach, w parkach, na chodnikach i chichotały nad nieporadnością tego, kto je zgubił. Nie wejdzie teraz do wielu miejsc, nie załatwi wielu spraw, będzie biegał i szukał, będzie się zastanawiał, gdzie zgubił lub gdzie zostawił. A tymczasem ona będzie sobie spokojnie odpoczywać. Maseczki bowiem nikt nie ukradnie, nie podniesie, nie zabierze. Należy tylko do jednego człowieka – zna jego oddech i jego myśli, szorstkość jego dłoni i zapach twarzy. Przesiąknięta jego DNA jest już tylko jego. Zagubiona maseczka ma już wolne, kończy swoją żmudną współpracę z człowiekiem i staje się niespersonifikowanym elementem codzienności w „nowym reżimie”.

Z czasem swoją Maseczkę w Niezapominajki zaczęła nawet tolerować, a wreszcie lubić. Wozila ją na fotelu obok kierowcy i obserwowała, czy na pewno jest bezpieczna. A niewielki prostokącik machał do niej swoim zagiętym rogiem, kiedy powiew wiatru odkształcał go na moment, czyniąc go mniej typowym, oswojonym Czymś.

Aneta Gizińska-Hwozdyk, uczy języka polskiego i języka rosyjskiego w II Liceum Ogólnokształcącym im. Marii Skłodowskiej-Curie. Prowadzi zajęcia teatralne, sprawuje opiekę nad Kołem Literackim z udziałem uczniów (www.literaci.com.pl). Jest autorką tomu opowiadań „Biedroneczko, leć do nieba” (Gorzów 2010, wyd. WOM), jej utwory drukowane były w „Pro Libris” i w antologiach. Powyższe opowiadanie pochodzi z tomu przygotowywanego do druku przez gorzowski Oddział Związku Literatów Polskich.

Tomasz Walczak

nie istnieją ślepe zaułki
nie ma sytuacji bez wyjścia
bywają tragiczne noce
kiedy świat znowu się kurczy
rozsypuje na miliony kawałków

tramal i morfina obezwładniają
oczy w bezdennym smutku

może poranek otrzeźwi
rozgrzaną myślami dłoń

Drezdenko, sierpień 2020

nie znajdziesz miłości
w zamkniętym pokoju
nie przeżyjesz życia
bez smakowania wszystkiego
co ma początek i koniec

żyj prawdziwie by nikt
nie napisał na nagrobku

żył bo nie umiał inaczej
utracił najważniejsze

Drezdenko, luty 2021

DROGI DO SZCZĘŚCIA

Państwo Ewa i Marek Bucholscy w ubiegłym roku nie byli na żadnej wyprawie. A takie mieli plany! Od wielu lat co najmniej raz w roku ruszali w dalekie i długie podróże. Byli już w ponad 70 państwach, ale dla nich nie ilość państw jest ważna i nie ich granice, a krainy. Tych, które odwiedzili, jednak zliczyć się nie da. *Prawdziwe życie – twierdzi Marek Bucholski – spotkać można w danej krainie jakiegos państwa, gdzie często mówi się innym językiem, gdzie są inne obyczaje, inny sposób na życie niż na pozostałym obszarze.*

Po powrocie Marek spisywał to, co widział, usłyszał, dowiedział się od ludzi, wyczytał w mądrych książkach. Tak powstało dziesięć obszernych tomów jego „Podróży...”, nie relacji, a raczej esejów lub felietonów inspirowanych tym, co zobaczył.

*

Choć nigdzie w minionym roku nie pojechał, Marek Bucholski dał czytelnikom najgrubszy, bo liczący 604 gęsto zapisane strony tom jego podróżniczych refleksji. Punktem wyjścia jest coś zobaczonego w dalekim świecie, ale potem myśli płyną same, by porównywać, snuć refleksje i przemyślenia. Tak rodzi się konfrontacja tamtego świata z naszym, polskim: z historią, środowiskiem przyrodniczym, normami, w jakich zostaliśmy wychowani, z religią, która nas ukształtowała, z naszą kulturą, z naszą polityką. I jest to zawsze ostry rozrachunek.

*

Najważniejsze były dla nas – zadeklarował we wstępie Marek Bucholski – spotkania z innymi kulturami, z ludźmi innej mentalności, innych niż katolicyzm religii, ludźmi o bardzo innym spojrzeniu na otaczający nas świat, z ich historią.

Oto przykładowe tytuły rozdziałów, w których geografia jest punktem wyjścia:

- Patronki Palermo, czyli nie ilość, a jakość;
- Gejsza, czyli nie to, o czym myślisz;
- W Peru oddycha się historią, czyli polskie bujdy na resorach.

Drugi rodzaj tych esejów-felietonów to: analiza pojmowania demokracji, wolności, religie i religijność, a także – jeden z ulubionych tematów: klimat i ochrona przyrody. Zawsze w konfrontacji tego co na świecie z nami: Europejczykami, Polakami, nawet czasem gorzowianami.

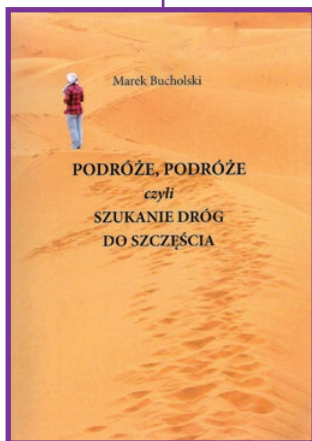
Przykładowe tytuły: „Judaizm nad Bugiem, czyli wszystko przez wieprzowinę”, „Namacalna śmierć przyrody, czyli nic nie jest za daleko”, „Drogi wyboru, czyli wolność decyzji czy zniewolenie”.

*

Aby snuć mądre refleksje, Marek Bucholski musiał zgłębić wiedzę. Przed każdą podróżą studiuje internet, dostępne publikacje na temat zaplanowanych krain, nawiązuje kontakty z ambasadami, które dostarczają mu wiele informacji itp. Z wykształcenia jest prawnikiem, ma więc umiejętność czytania dokumentów. Na przykład, aby dowiedzieć się więcej o współczesnym Kościele, czyta papieskie encykliki.

Przy okazji omawiania problemów przyrody poznał encyklikę papieża Franciszka „Laudato si” („Pochwalony bądź”) z 2015 r., w której papież zawarł swój ekologiczny manifest.

Autor zastanawia się: *Trzeba wiedzieć, o czym zdecydowana większość katolików nie wie, że encykliki mają najwyższą pieczęć nauczania papieskiego i są obowiązujące. Ale kto czyta encykliki? Chyba tylko tacy zapaleńcy jak ja. A ta liczy 200 stron. Dla wielu objętość nie do przeczytania.*



Bucholski wątpi, że księża czytają encykliki, choć są do nich adresowane. Jego zdaniem tylko czekają na wytyczne swoich wszechwładnych szefów. Wierni też nie czytają, a zdają się na interpretację kleru. Tymczasem rozbieżności między treścią encykliki papieża Franciszka a tym, co głosi polski Kościół, są duże. Franciszek rozprawia się z teologią, która od wieków głosi, że człowiek jest „królem stworzenia i ziemię powinien sobie uczynić podwładną”. Bucholski daje dużo cytatów z encykliki „Laudato si”, a jednocześnie pokazuje przymierze polskiego kleru z myśliwymi: msze za udane polowania, kult świętego Huberta, potępienie książki Olgi Tokarczuk „Prowadź swój pług przez kości umarłych” oraz filmu Agnieszki Holland „Pokot”, bo atakowały myśliwych.

Zdecydowanie potępia myśliwych: *Ciągle uprzywilejowani w swoim krwawym rzemiośle przez różne rządy, mają się dobrze. I jeszcze umawiają, jak to oni dbają o zwierzęta, o środowisko. Nie ma chyba większych hipokrytów i obłudników na świecie.*

Dowiadujemy się, jak ten problem traktuje islam. W XIII wieku powstał pierwszy kodeks praw zwierząt z przesłaniem, że niehumanitarne traktowanie zwierząt godzi w porządek świata. Już wtedy utworzono stanowisko muhtasiba, który miał pilnować, aby na targach dobrze traktowano zwierzęta. Gdzie nam do nich? – zda się pytać autor.

*

Podany powyżej temat – znacznie jeszcze rozszerzony – autor omawia w jednym tylko rozdziale. A jest ich przynajmniej 100. Każdy ciekawy, każdy inspirujący do myślenia. Marek Bucholski, patrząc z perspektywy świata, podrzuca nam wiele tematów do dyskusji, a przynajmniej do zastanowienia się. Ale czy chcemy aż tak poważnie się zastanawiać nad naszym światem?

*

Wszystkie książki Marka Bucholskiego mają w tytule słowo „podróż”. Tytuł jedenastej to „Podróże, podróże, czyli Szukanie dróg do szczęścia”. Bo wszyscy, niezależnie od stopnia cywilizacyjnego rozwoju (co to jest?), historii, religii, mentalności, środowiska, w jakim żyją, wszyscy dążą do szczęścia. My, oczywiście, też. Ale czy idziemy dobrą drogą?

Czytam książkę Marka Bucholskiego od miejsca, które mi się samo otworzyło. Wiem, że autor założył jakąś kolejność podawanych problemów, ale moim zdaniem te ostatnie są tak samo ważne jak pierwsze. Nie trzeba się więc bać gęsto zadrukowanych 604 stron. Natomiast trzeba do tej książki wracać, wracać, wracać...

Krystyna Kamińska

Marek Bucholski, „Podróże, podróże, czyli Szukanie dróg do szczęścia”, wyd. Sonar Literacki, Gorzów Wlkp. 2021, 604 s.

MAREK BUCHOLSKI
**ALKOHOL W ISLAMIE,
 CZYLI HARAM CZY HALAL MAKRUH**
 FRAGMENT



Kosztując alkohol na obszarach zdominowanych przez muzułmanów, m.in. na wyspach Indonezji, w krajach kontynentalnej Azji, także w krajach arabskich czy tzw. Czarnej Afryki, które to kosztowanie w wydaniu mojej żony Ewy i moim ograniczone było do wina i piwa, zastanawialiśmy się, jak to z tymi „procentami” w islamie jest.

W przeświadczeniu Europejczyków picie alkoholu jest przez islam zakazane, a my spotykaliśmy tam i sklepy z alkoholem, ale byliśmy też w muzułmańskich domach, gdzie produkowano owe napitki. Nie jest to bimber wypalający gardło, bo poza ludami północy, inne nacje gustują w małej zawartości alkoholu.

Wyjaśnień co do picia alkoholu, by postępowanie to było zgodne z kanonami religii Mahometa, otrzymaliśmy wiele, ale dotyczyły lokalnych zwyczajów. Natomiast marabut z Senegalu udzielił mi pewnych wskazówek ogólnych, które przydały się przy zgłębianiu tego tematu.

– *Gdyby wszyscy z Europy tak interesowali się islamem, jak ty, bo widać, że czytasz Koran i hadisy, uniknęlibyśmy wielu wzajemnych oskarżeń i może świat byłby inny, lepszy. Wy nas się boicie, bo nie rozumiecie, a i u nas również nie brakuje oszotomów, którzy myślą, że aktami terroru przeciw chrześcijanom, ale i przeciw muzułmanom spodobają się Bogu i wpuści ich do raju. Ale tacy nigdy się tam nie dostaną...*

I potoczył się „alkoholowy” temat. Różne szkoły islamskie różnie przedstawiają stosunek do alkoholu.

Koran, co do zasady, nie zabrania picia alkoholu, a jego symbolem w tej świętej księdze jest wino. W surze II zatytułowanej „Krowa” w aja 219 czytamy: *Będą ciebie pytać o wino i grę majsir* (gra hazardowa – przyp. MB). *Powiedz: w nich jest wielki grzech...*

W surze IV „Kobiety” w aja 43: *O wy, którzy wierzyacie! Nie zbliżajcie się do modlitwy, kiedy jesteście pijani.*

W surze XVI „Pszczoly” w aja 67: *A z owoców palm i winnej latorośli czerpicie dla siebie napój oszalamiający i wysmienite jedzenie. Zaprawdę w tym jest znak dla ludzi, którzy mają rozum.*

Jedynie w surze V „Stół zastawiony” w ajat 90 i 91 czytamy: *Wino, majsir to obrzydliwość... Unikajcie więc tego.*

Dopiero w hadisach alkohol jest potępiony. Hadisy są to wypowiedzi Proroka zesłane mu w formie objawień lub we śnie przez Boga. Mam w domowej bibliotece trochę literatury dotyczącej religii islamskiej i stąd moje przekonanie, że z wielkich religii islam jest religią najbardziej przyjazną ludziom, bo chyba najbardziej ludziom ufa. Inną sprawą jest, czy ludziom można ufać.

Hadisów w islamie są tysiące i dotąd nie udało się stworzyć jednej sunny, czyli zbioru hadisów. Każdy odłam islamski tworzył hadisy dla swych potrzeb. Brak jednolitej tradycji islamskiej wykorzystują np. organizacje terrorystyczne opierające się o islam, by podparć religijnie swe zbrodnicze działania, a świat zachodni oskarża o to cały islam.

Inaczej jest w Kościele katolickim, gdzie nie ma takiej swobody interpretacji zasad religii, bo wszystko jest narzucane, a tzw. Tradycja (stworzona przez ludzi Kościoła) dominuje nad Pismem Świętym.

W hadisach Bukhariego w Księdze 75 „O napojach” czytamy w hadisie 5575: *Kto spożywa trunki (chamr) na tym świecie i nie nawróci się na drogę prostą, nie zazna ich w Życiu Przyszłym.*

W hadisie 5578: *Rozpustnik nie jest wierzącym, gdy dopuszcza się rozpusty i pijak nie jest wierzącym, gdy oddaje się pijaństwu.* Następnie jest wyjaśnienie, że chamr robi się z winogron, daktyli, miodu, pszenicy i jęczmienia. Kara za pijaństwo to 40 batów przewidziane w szariacie, czyli zbiorze powinności muzułmanina będących interpretacją Koranu i hadisów.

Walka z alkoholem w hadisach miała być walką z przedmuzułmańskimi praktykami religijnymi, w których uczestnicy wprowadzali się w stan transu m.in. alkoholem albo też z tym, że pijani ludzie robią grzeszne rzeczy, stąd Mahomet chciał ich chronić.

W rzeczywistości jest różnie. Są muzułmanie, którzy piją, bo lubią czy też ich szkoła pozwala na to. W porównaniu jednak z narodami tzw. północy, w południowych szerokościach geograficznych pije się mniej. Narodom południa wystarczają małe dawki alkoholu. Na północy, czyli np. u nas, się chleje, a nie pije. Na razie pijaństwo jest domeną właśnie narodów północy, czyli umownie kultury zachodniej, ale także innych narodów północnych, np. Japończyków, chociaż akurat im wystarcza „mały procent”, o czym przekonał się na miejscu. Obserwując jednak degenerację ludzkości, jestem przekonany, że alkoholowy amok obejmować zaczną także coraz szersze kręgi m.in. islamu.

Natomiast co do zaświatów jedno jest pewne: nikt nie będzie pił alkoholu w takich ilościach jak dobry muzułmanin. Mowa tu o raju. Islam w swej części eschatologicznej obiecuje takie obfite alkoholowe szczęście, że żadna inna religia tego nie obiecuje. Myślę o płynących strumykach wina.

W referendum o tytuł mistrza raju przeprowadzonego w krajach północy, czyli pijackich, raj islamski zdeklasowałby rywali. Oprócz alkoholu mamy tam i inne grzeszne obfitości, szczególnie w sferze seksu, czego wiele chrześcijańskich odłamów, rasowych hipokrytów, się wstydzą.

Jeśli religia chrześcijańska, na przykład w jej wersji katolickiej, przedstawia niebo (raj) jako krainę, gdzie nuda nudą poganian (choćby słuchanie chórów anielskich), to w raju islamskim nuda nie ma.

Inaczej niż z Bogiem. W większości religii chrześcijańskich Bóg ma wszelkie cechy ludzkie: jest dobry i zły, a nawet okrutny, poddaje ludzi różnym próbom, znęcając się nad nimi i przejawiając sadyzm, a jednocześnie każe się wielbić, każe się przed sobą korzyć, ma nos i oczy, usta i włosy, jest antropologiczny z wyjątkiem seksu i wydalania. Ma też mnóstwo świętych pomocników, co świadczy, że sam nie ogarnia wszyst-

kiego, mimo że jest w trzech osobach, co dotyczy szczególnie odłamu katolickiego i prawosławnego.

A w islamie Bóg jest Bogiem. Nie można go namalować, wyrzeźbić, nie ma cech ludzkich, każe wypełniać swoje nakazy, a na koniec człowieka rozliczy. I tylko do Boga można się modlić. Żadnych pośredników ludzkich w rodzaju kleru u katolików czy nadludzkich jak Chrystus u protestantów.

Wizja takiego rajy sprawia, że muzułmanin toczy swój dżihad (walkę ze swymi słabościami), starając się o rajskie miejsce. Trzeba pamiętać, że żaden muzułmanin nie ma na ziemi pomocników w rodzaju sukienkowych panów, którzy odpuszczają grzechy, bo kto tym ludziom dał takie boskie prawo? Bóg? To jakieś żarty, powie pobożny muzułmanin, który za każdy swój czyn odpowiada przed Bogiem osobiście.

Ale gdy zasłużą na zbawienie, to dopiero! W życiu po życiu muzułmanina dusza i ciało znów się łączą i w ogrodach rajskich, a zatem w Ogrodzie Przyjemności oraz w Ogrodzie Edenu (jest jeszcze pięć ogrodów hadisowych), zażywać będzie niekończących się przyjemności zmysłowych, a także alkoholowych, skoro w surze XLVII „Muhammad” czytamy w aja 15, że dla bogobojnych będą *strumyki wody nie ulegającej zepsuciu i strumyki mleka, którego smak się nie zmienia, i strumyki wina – rozkosz dla popijających*.

Aby obraz muzułmańskiego rajy dopełnić, należy wspomnieć, że zbawieni dostaną hurysy, wiecznie młode (mające po 33 lata) dziewice, które mogą odnawiać swe dziewictwo. Każdy może dostać do 72 hurysy, które mogą mu rodzić dzieci. Al-Suyuti (1445-1505), historyk i komentator koraniczny napisał tak: *Za każdym razem śpiąc z hurysą odnajdujemy jej dziewictwo. Poza tym penis wybranego nigdy nie mięknie. Erekcja jest wieczna... Wszystkie hurysy będą miały smakowite waginy...*

Nie znalazłem w Koranie nic o rajskich rozkoszach dla pań. Ale czy rzeczywiście o paniach zapomniano? Nie. Biorąc pod uwagę, jaką strategiczną rolę pełnią panie w rodzinach islamskich, zatem i im rozkosz w rajy jest zapewniona. Otóż, poza hurysami, zbawionym (ten stan w zaświatach nie rozróżnia płci) towarzyszyć też mają wiecznie piękni młodzieńcy. Jednak w przypadku pań obowiązuje dyskrecja. Chociaż lepiej by było, gdyby to napisano, by jakiś euro-

pejski znawca islamu brak takiego zapisu nie odczytywał jako kolejny dowód poniżania kobiet w świecie muzułmańskim. Lepiej niech się zajmie tą kwestią w Europie, bo poniżania kobiet jest ci u nas dostatek. Dzisiejsza Polska jest tu dobrym przykładem.

Ale wracam do alkoholu. W dominującym w świecie islamu odłamie sunnickim istnieją cztery szkoły prawne zajmujące się interpretacją Koranu i sunny. Nie miejsce tu nawet na zasygnalizowanie tylko różnic między tymi szkołami, ograniczę się więc do ich stosunku do wina, które w islamie symbolizuje wszelki alkohol. Użyte w Koranie określenie chamr dotyczy, według szkoły malikijskiej i hanbalickiej, wszelkich napojów fermentowanych zawierających alkohol i jest raczej haram (zakazane). A dlatego raczej, bo będąc w krajach szkoły malikijskiej, piliśmy wino bez przeszkód nawet w buszu.

Szkoła szafa'icka jest do ich poglądu zbliżona, chociaż praktyka, której sami doświadczyliśmy w krajach Afryki Wschodniej i w Azji Południowo-Wschodniej, wskazuje, że nie jest to haram, a raczej jedna w czterech form halal (nakazane) zwana makruh, czyli dozwolone, ale bez przesady.

Szkoła hanaficka z kolei twierdzi, że zakaz dotyczy tylko konkretnie wina, a innych napojów alkoholowych zakaz nie obejmuje. Widzimy to np. w tureckich serialach, tak ostatnio popularnych w Polsce. Tam się pije otwarcie, ale tylko alkohole mocne.

Islam, jak widać, jest tak różnorodny w swych poglądach na świat, że jeśli ktoś twierdzi, iż zna go dobrze, to tylko twierdzi.

Muzułmanin, tocząc swój dżihad, sam musi zdecydować, co jest zgodne z wolą Boga. Tu nie ma, jak np. w katolicyzmie rzymskim, jednej, dyktatorskiej władzy uzurpującej sobie głoszenie boskiej prawdy i powoływanie się na kontakt ze swym Bogiem.

W islamie wszystko jest albo haram – zakazane, albo halal – nakazane. Ale w odniesieniu do alkoholu generalnie trudno stwierdzić, czy alkohol w islamie to haram, czy halal w wersji makruh.

Fragment książki „Podróże, podróże, czyli szukanie dróg do szczęścia” wydanej w 2021 roku.

Jolanta Karasińska

poszukiwanie

czuję się obco ze sobą
nie mogę dopasować ciała
do moich uczuć
natłok myśli zwalnia skalę Celsjusza
przekłamuje temperaturę powietrza
nie rejestruje drgań rąk
i skurczu zastawek serca
bezsensowność zaciemnia

czuwanie księżycyca

potęguje ciszę
zagęszcza niepokój
czuwam

Czas się toczy pomimo wszystko

niebo wynagradza pustkę
gromadząc smutek w chmurach
obietuje deszcz

jeszcze będzie inaczej

jak mantrę powtarzamy
coraz głośniej
by zrozumieć niemoc czekania
na Ciebie
Siebie
Nas

jeszcze będzie normalnie

odbicie słońca w kałuży
oślepia zatopione pragnienia
nie rejestruje wzlotów
ani zuchwałych myśli
gra na zwłokę

Wizyta

czerwone szpilki
przypomniały minione czasy
wystukiwały radość
na podmiejskim bruku
dodając rangi i szyku
więzi serdeczności

spotkanie z tobą
przywróciło dawną radość
i tamten czas
sobota w wielkim mieście
zapisana promieniami słońca
rozbudziła
kolejny etap normalności
ukołysała wszystkie tęsknoty
otworzyła serce

Janina Jurgowiak Jaszka

Podróż do Warszawy

Jedziemy, jedziemy, śpiewamy ballady
o tym, co za oknem,
o tym, co przed nami.
Co było, minęło, już nas nie dotyczy...
Jeszcze tylko trzy godziny z minutami.
O, peleton radiowozów nas wyprzedza!
Kierunek – Warszawa.
Dzielni chłopcy z pałkami
jadą na ćwiczenia.
Będą walczyć z parasolkami.
Do widzenia!
Słońce zobaczyło, sprawdziło, policzyło
– trzynastcie razem z Judaszem –
zaciągnęło chmurne firanki.
Jeszcze dwie godziny z minutami.
O! Znow jada zuchy w radiowozach,
wiozą wsparcie i troskę o naród;
parasolki się uprzątnie,
zaprowadzi się porządek,
będzie cacy.
Jeszcze tylko godzina z minutami.
Jedziemy... nie śpiewamy.

Anna Żłobińska

Pandemia 2020

Zamaskowani
zamknięci w czterech ścianach
czekamy na śmierć

Wychodziłam z dołka

Ujrzałam światło
dobiłeś gwóźdź do trumny
jęki rozpaczy

Relacje międzyludzkie

W kamiennym kręgu
mury nie do przebicia
wychodzi z siebie

Porzucona

Bezsenne noce
łyka gorycz porażki
kamień u szyi

Samotność

Obca wśród swoich
cisza zakłeta w ścianach
tylko deszcz i wiatr

Czeka na Ciebie

Obniżyła próg
i co jeszcze ma zrobić
byś stanął obok

W moich oczach

Jesteście mali
całkowicie przerosła
mania wielkości

Nie rozpamiętuj przeszłości

Świat jest otworem
nie zatrzymuj sobie życia
idź z duchem czasu

Codziennosc

Zatrząskuje drzwi
otwiera okna duszy
w ciemności światłość

Światło

Zapał je we mnie
czarna kurtyna wisi
odzyskać wiarę

Anna Strzelec

Są słowa wymawiane ostrożnie
gdy były niepewnością
zamienialiśmy je w piosenkę
gdy czułość była niepewnością
zamienialiśmy w delikatność
w słowa niewiadomego dnia
gdy pragnienie – niepewnością zapisałam

Delikatność słowa była prawdą
i szaradą z mojego snu

Prozaicznie –
Uśmiechnięte sny wędrują
księżycową drogą
nucąc piosenki młodości
Kim jest ta dziewczyna w plażowym koszu
kim jest ten chłopak słońcem połączany
z lilią pustyni w dłoniach
dałabym mu wizytówkę do mojego życia –
i to nie byłoby kwestią braku czasu
Kiedy znow go spotkam
zapytam prozaicznie czy jest jeszcze ta plaża
i czy on lubił wtedy lody Bambino
– A cała reszta może będzie
tylko kwestią smaku...

Bajeczka ze starego sztambucha

Dla niej znow muzyka gra –
a ona nie idzie na tańce
znow zmyśla wersety
ze niemodna sukienka
zbyt ciasny pantofelek złoty

A księżę zaprasza i czeka...

Więc gdy wieczór zapada
nową suknię zakłada
rękawiczki pończoszki
kapelusik z bajki i wstążki
do tańca buciki i uśmiech

A do szafy chowa
lat minionych zegar
i zamyka
na klucz!

Ona –
Wypełniona pragnieniem
przyjmowała jego dotyk
gorący i wilgotny
Obecność –
Leniwie – przez zamknięte powieki
można obserwować duszę
która zagadkowo frunie
w czas miniony
Nie patrzyła mu w oczy

bo skąd brać pewność miała
że to jej obraz
znajdzie w nich odbicie
– Do różowego fartuszka
zebrała kropelki szczęścia...
We śnie – pomyślała
że trudność przemieniania
może dać szansę ich miłości...

W ulotnej obawie
wśród kwiatów ze szkła
Motyl
chcąc kataklizm przeżyć
u mnie schronienia szukał
Uratowałam –
to Paź królowej
A czy księżę kiedyś czekał?
Infantylnie prozaicznie
wszystko przecież być miało
tylko
kwestią czasu
Nawet smak nie został

Autorka dziewięciu opublikowanych powieści i siedmiu tomów wierszy. Z wykształcenia plastyczka. Od 2011 r. jest członkiem Związku Literatów Polskich. Mieszka w Gorzowie Wlkp.



PORTRET KOBIEТЫ

Opisać kobietę to zadanie niezwykle trudne. Udaje się tylko nielicznym. Do tego grona ostatnio dołączyła Iwona Żytkowiak.

Iwona Żytkowiak jest autorką kilkunastu powieści, których bohaterkami są kobiety. Zawsze kobiety. Najczęściej autorka

pokazywała je w pejzażu historycznym lub w procesie przemian społecznych. Rozszerzała ich portrety na środowisko i czas. W ostatniej wszystkie te elementy stały się drugorzędne. Najważniejsza jest psychika głównej bohaterki. Choć wykonuje nudną – nawet jej zdaniem – pracę urzędniczką w banku, choć ma aż czworo dzieci (plus jedno zmarłe tuż po urodzeniu), choć żyje w niedużym mieście, jest naprawdę kolorowym ptakiem z pomysłami. W życiu Marianny nie ma ważnych wydarzeń, jest codzienność, ale to ona umie tej codzienności nadać walory niezwykłości. A to ubierze się oryginalnie, a to wciąż przyjaciółki w swój nowy pomysł, a to zatańczy, a to pojedzie odkrywać świat.

Codziennosc Marianny tętni prawdziwym życiem. Mnóstwo tu rekwizytów używanych w latach 80., gdy wyszła za mąż, aż po nowinki elektroniczne z drugiej dekady XXI wieku. Jest realny świat małego miasta położonego blisko Gorzowa, czyli Barlinka, którego autorka nie nazywa, ale także nie ukrywa zbieżności. Jest środowisko ludzi średnio zamożnych, nie żyjących ponad stan, ale których stać na zagraniczne wypadki lub inne drobne szaleństwa. To tylko tło dla barwnej osobowości prawdziwej kobiety. Marianna kocha swoje dzieci, ale nie przesłaniają jej świata. Kocha swojego męża, ale to on ma jej słuchać, a nie ona jego. Studiuje zaocznie, by podnieść swoje zawodowe kwalifikacje, ale rozumie, że awansują młodsze i ładniejsze. Dla niej ważniejszy jest zachwyty dla świata, który daje kobiecie szansę ciągłego odkrywania uroków życia.

W dwunastu rozdziałach poznajemy Mariannę, a ich tytuły określają krąg nadany przez autorkę: o poszukiwaniu siebie i o pasjach, o spóźnionym czasie studenckim, o ciele i duszy, o nauce i mądrościach, o nieustającym ruchu. Sylwetkę matki kreśli jej najmłodszy syn – Ksawery, dziecko urodzone po czterdziestce. Na początku książki jako maluch widzi mamę wprost idealistycznie: jest piękna i dobra. W miarę dorastania poszerza się krąg jego obserwacji i odkrywa coraz nowe obszary psychiki matki. Kapitalny jest rozdział „O seksie, różnych innych dyskrecjach i tematach tabu”. Autorka świetnie pokazała proces dojrzewania chłopca, odkrywania przez niego tajemniczej sfery seksu, przeżywania pierwszych własnych doświadczeń i w końcu odkrycie, że rodzice robią to w swojej sypialni. I że naprawdę się kochają.

We wcześniejszych powieściach Iwony Żytkowiak mężczyźni stanowili tylko dla kobiety. Tu po raz pierwszy mężczyźni, raczej chłopcu, oddaje głos, by opisał matkę, głów-

na bohaterkę. Można się spierać, czy Ksawery mógł wiedzieć o wszystkim, co się matce zdarzyło, ale nareszcie w tej powieści mężczyźni – nie tylko syn, ale także ojciec – uzyskali wysokie miejsce w życiu głównej bohaterki.

Książką świetnie się czyta. Jest napisana żywym, współczesnym językiem. Każde zdanie zdaje się tętnić napięciem, jakie nadaje mu bohaterka. Iwona Żytkowiak opanowała trudną sztukę rządzenia słowem, podporządkowania go konstrukcji książki, a jednocześnie wydobywania wszystkich jego niuansów. Dojrzała, mądra i artystycznie wysublimowana proza.

Przyznam, że w tej książce nie podoba mi się tylko tytuł „Epizody z życia mojej mamy”. „Słownik języka polskiego” definiuje „epizod” jako „krótkotrwałe zdarzenie” albo „fragment utworu literackiego, sztuki lub filmu luźno związany z główną fabułą”. Tu rozdziały nie prezentują jednego zdarzenia, a wiele tematycznie wiążących się z określoną, pierwszoplanową cechą psychiczną bohaterki. Jest to więc raczej 12 analiz osobowości, tyle że opowiedzianych przez sytuacje.

Ponadto taki tytuł nie zachęca do przeczytania książki. Epizody to przecież coś mało ważnego, nieistotnego.

Zaskakujący jest finał książki, niespodziewany, a przecież uzasadniony. Przyznaję, że zakończenia wcześniejszych powieści Iwony Żytkowiak budziły moje zastrzeżenia. Ten finał nadaje nowy wymiar wszystkiemu, o czym traktuje książka.

Bardzo polecam.

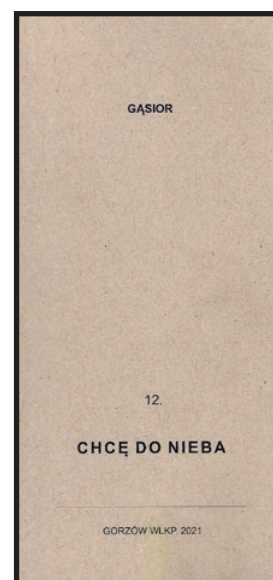
Krystyna Kamińska

Iwona Żytkowiak, „Epizody z życia mojej mamy”, wyd. Szara Godzina, Katowice 2020, 248 s.

OD POETY NA URODZINY

Wszystkie tomiki podpisuje krótko „Gašior”, ale naprawdę nazywa się Jerzy Gašiorek. Na okładce obok tytułu liczba 12, bo to dwunasty jego tomik. Wszystkie są w tej samej formie graficznej: wydłużony format, szara okładka bez żadnych ozdób, wewnątrz tylko wiersze, przeważnie jeden na stronie.

Jerzy Gašiorek przede wszystkim jest plastykiem. Najchętniej tworzy tzw. asamblaże, czyli kompozycje z rozmaitych starych przedmiotów lub ich części, które w jego ujęciu zyskują nowe znaczenie i wartości. Bierze do ręki kawałek deski, korzenia, dodaje zardzewiałe okucie lub zawias, wzbogaca kawałkiem zgrzebanej tkaniny i przy pomocy takich zwykłych przedmiotów buduje metaforę,



a odbiorcę przenosi w krąg zagadnień transcendentnych. Chętnie obraca się wokół tematów i symboli religijnych.

Ale jednak asamblaż to dla Gąsior-ka za mało. Potrzebne mu było jeszcze słowo. Pisze wiersze. Najczęściej są to poetyckie notatki z obserwacji, wrażeń, przemyśleń. Nie ma w nich wyszukanych konstrukcji literackich, ale jest skrót, lapidarność użycia słowa, celna pointa, czasami ciekawa metafora. Tematycznie wiersze Gąsiora dotyczą przyrody, człowieka, upływającego czasu.

Przyroda

Jest częstym tematem wierszy Gąsior-ka. Szczególnie zachwycają go pejzaże oglądane z wieży w Santoku, która jest miejscem pracy twórczej autora.

Wystarczy
spojrzeć za okno
wszędzie poezja
leży odłogiem
lecz poeta słaby
nie umie jej podnieść

Spóźniona wiosna

Przyszła później niż zwykle
wody nie zeszyły do koryt
bociany pogniewane
zaledwie w dwóch gniazdach osiadły
bzy w powijkach
zimne mgły poranne
ale błękit nieba
i ptaków donośne odgłosy
zwiastują, że wnet się rozgości (s. 11)

Ludzie

Gąsior rozmyśla w wierszach, dlaczego ludzie są źli, dlaczego jedni drugim nieśli śmierć w czasie wojny, dlaczego ciągle się zbroją, dlaczego budują swój świat na krzywdzie.

Nadal (a żyję już dość długo)
tyle spraw mnie zadziwia
szkoda że nie w pozytywach
nieustające konflikty wojny
agresje partii nacji
ustawki łysych kiboli
wytatuowane ciała [...]
postępujące bezguście rodaków
mógłbym wymieniać długo

nikła nadzieja
że Polak zmadrzeje i coś zmieni (s. 62)

Poeta chciałby mieć wpływ na postawy i decyzje ludzi, ale wie, że to tylko ułuda. A jednak sam do siebie czasami wzdycha:

Nie ulec
W oszalałym świecie
nie ulec modom
fałszywym hałasom
nie poddać się prądowi
co szumowiny niesie

samemu być normalnym
do tego bez winy
i pod prąd płynąć
nieprosta to sprawa (s. 80)

Czas

Wspomnienia i poczucie upływającego czasu to ważne tematy w wierszach Gąsiora. Obserwuje, jak odchodzą w zapomnienie przedmioty, które przed laty stanowiły naszą rzeczywistość, jak zmieniają się mody i jak my się zmieniamy. Dla niego istotne jest, abyśmy dla siebie wzajemnie byli życzliwi.

Na stacji ŻYCIE

bilet w jedną stronę
(nie ma powrotnych niestety)
tyle miejsc tyle ludzi
minąłem w pośpiechu
nie zdążyłem ich poznać
pozdrowić powiedzieć że są
zdolni dobrzy wielcy
szkoda...
pociąg pędził przyspieszał
(s. 56)

Aktualność

Wiersze Jerzego Gąsior-ka rodzą się z wrażeń doraźnych, aktualnych, ale zawsze refleksji nadaje wymiar uniwersalny. Kilka wierszy w najnowszym tomie dotyczy panującej pandemii i zagubieniu człowieka w tej sytuacji.

Cóż powiesz butny człowieku
opływający w dobrobytu
robiący dalekie plany...
pokonał cię

mały niewidzialny wirus
zasiał panikę
zarygłował domy
szkoły szpitale zakłady

po co zbrojenia pytam
poligony czołgi
rakiety samoloty
wystarczy mikrob niewidzialny
może ów covid 19
przywoła refleksję w narodzie
oby...

O sobie, dla siebie

Wiele wierszy zawiera wprost refleksje autora związane z jego wiekiem i życiowymi doświadczeniami.

Kolejny rok
Pan mi podarował
a ja niewiele Mu dałem
zaledwie kilka rzeźb wierszy
za mało uśmiechów
życzliwych gestów
nie miałem odwagi
wyplłynąć na głęboką wodę
by zarzucić sieć
i perłę wyłowić (s. 84)

Tyle jeszcze
zamierzałem zrobić
a tu zmierzch życia
zza węgła wyskoczył
i rzecze
przespaałeś bracie
czas się sposobić (s. 68)

17 stycznia 2021 r. Jerzy Gąsior-ek skończył 80 lat. Zawsze uważał, że jest zobowiązany więcej z siebie dać ludziom, niż od nich brać. Z okazji osobistego jubileuszu poeta dał nam, czytelnikom, kolejny tom wierszy.

Krystyna Kamińska

Gąsior, „Chcę do nieba”, wyd. Drukarnia Sonar, Gorzów Wlkp. 2021, 92 s.

**Konkurs na fraszkę
im. Jana Grossa. Czyt. s. 29.**

Marek Stachowiak

KAMIENICA



Secesyjna kamienica na zachodnim skraju śródmiejskiego parku sprawiała wrażenie wycofanej z tkanki miasta. Może dlatego nigdy dotąd nie zwrócił na nią uwagi, choć nieraz tą ulicą przejeżdżał. Właściwie to odkrył jej istnienie dopiero, gdy spowolnił, a w końcu zatrzymał auto przed dużą dwuskrzydłową bramą ze snycerskim kwiatowym motywem lilii. Półkoliste mozaikowe nadświetle akurat odbijało zachodzące słońce, co zdało się mu niezwykle, gdyż cały pochmurny poranek, jak większość kwietniowych dni tego roku, nie rokował promieni na tak miły zbytek. Jednak nie zamierzał tracić czasu na zbędne refleksje. Chciał możliwie szybko mieć za sobą spełnienie, chyba ostatejnie woli starszego wysuszonego człowieka, który całym zmarszczonym sobą odmawiał zgody na podłączenie pod respirator. Może już się nażył i nie miał ochoty uporczywie się tego życia trzymać? Tak naprawdę nikt z personelu nie miał pewności, czy do końca rozumiał intencję wszechobecnych komitów. Po niecałej godzinie umarł. Przechodząc, rzucił okiem na obleczone dwoma workami humanoidalny kształt, który spakowany razem z wenflonami i cewnikiem czekał na swoją ostatnią drogę do spopielenia. Starszy pan tylko z imieniem, bez dokumentów, bez rodziny. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że patrzy na przejmującą bezdomnością samotność i choć powinien być obyty z nieuchronnością śmierci, to przy tym ludzkiem całunem obejmował go jakiś rodzaj lęku, który podbijała myśl, że jednak był świadkiem mocniejszego umierania, ostateczności odczuwanej niemal jak własna, spotęgowanej samotności w śmierci. Może dlatego stał teraz pod budynkiem i nie mógł uczciwie powiedzieć, czy spełnia prośbę zmarłego, czy próbuje oswoić ów lęk przed własną ostatecznością. Zaprzeczyc jej, bo przecież nie ma już człowieka, a mimo to on, bez żadnego nakazu, zamierza spełnić jego nawet niewypowiedzianą prośbę, czyli de facto przekroczy z tym człowiekiem granicę i wejdzie, sądząc z numeru mieszkania, na trzecie, końcowe piętro czegoś co wygląda na podniszczone, opuszczone, choć w jakiś sposób jeszcze piękne i zdobne resztkami ornamentów. A uczyni to, gryząc się z myślą, że może jest człowiekiem małej asertywności i nie powinien przed sobą udawać, że przybrał współczującą minę jedynie na okoliczność, bo jednak zawsze dziwnie miękkł i teraz zamiast odpocząć po dyżurze szukał adresata ze zmiętej karteczki. Swoją drogą wydało się mu dziwnym, że człowiek nie napisał żadnego imienia ani nazwiska, jedynie ulicę z numerem bloku i lokalu. Intrygowało go, kogo mogłaby dotknąć jego śmierć. A może pan Antoni był przemyślny, żeby nie powiedzieć przebiegły, i wiedział, że ludzka ciekawość ostatecznie skłoni go do połączenia adresu z kimś, kto być może zapłaci albo tylko przyjmie do wiadomości. Zakładając, że podał prawdziwe imię, bo przecież jak każdy bezdomny mógł mieć ich wiele albo zapomnieć własne, lub nawet nie chcieć go pamiętać. Na pewno był ze starej szkoły, w której zawijasami podkreślało się ważność dużych liter, a mniejszym

zapewniło oryginalne ogonki. Zresztą sam tekst, mimo iż krótki, miał w sobie staranność i sznyt kaligrafii. Teraz zastanawiał się, jaką ważność ma bawełniany kwadrat ozdobionej białym haftem chusteczki, obszyty koronką z dużym, również stylizowanym A, którą po skończonym dyżurze niemal wykapał w odkazalniku i jeśli był tam kiedyś zapach tego człowieka lub śladowe DNA, to teraz został jedynie alkoholowy polot, kto wie, czy nie bardziej mu za życia bliski. Niby proste wejść, a on przed wrotami tracił rezon. Zwyczajowo takie sprawy załatwiał szpital, ale jednak to on był ostatnim patrzącym na jego zaniwiający oddech. Ostatnim, który nad nim się nachylił, przywołany niebieskim wodnistym spojrzeniem oczu. I nie wie, jak to się stało, ale pozwolił, aby przekroczyły pleksi przyłbicy, kombinezon, maskę i już na zawsze pozbawiły go przekonania o eksterytorialności skrytego pod nimi wnętrza.

Cholerna miękkość zatrzymała go przy tym człowieku i skłoniła, by z trzęsącej się ręki przejął karteczkę. Wtedy razem z nią zaskakująca biel złożonej w prostokąt szmacianej materii przekroczyła gumę rękawicy, jak plemnik dziurawy kondom, i natychmiast poczęła przymus, który spacyfikował rozsądek nakazujący odłożyć całość na pobliską szafkę, a koniec końców postawił go na chodniku przed wejściem w bramę. Nacisnął solidną mosiężną klamkę, która kształtem przypominała konika morskiego. Ciężkie skrzydło zaskrzypiało, odsłaniając duży korytarz i w wysklepione łuki sufitu powędrowało światło, tworząc zrazu onieśmielającą go, niejako sakralną przestrzeń. W sposób naturalny codzienność obcowania ze śmiercią narzuciła myśl o cmentarnej kaplicy, a gdyby odjął świadomość wysokości wnętrza, mógłby domniemywać, że jest pod czaszą dziewiętnastowiecznego grobowca. Zatrzymał się przed wznoszącymi się ku piętom prawoskrętnymi schodami. Poniżej, na prawo od balustrady, były uchylone mniejsze drewniane drzwi. Wychodziły na małe podwórze, na którym ceglany oporowy mur stykał się z drzewami pobliskiego parku. Przypominał porzucony w trakcie zmiany koncepcji, już wstępnie rozpięty zestaw klocków lego, które mogłyby należeć do kogoś, kto w innej czasowej rozpiętości nie ma wiedzy, że jego mgnienie oka pozwala trawie przerastać rozwarte zygzakowato fugi i większe splekania, a korzeniom pobliskich drzew darowuje czas na wtulający opłot dużych ceglanych segmentów. Patrzył na linię zamarłego frontu, gdzie po długiej i wyniszczającej walce z sobą, obie strony w końcu zdały sobie sprawę z wzajemnej zależności i już za wszelką cenę pragnęły siebie zachować. Mur nie chciał zostać gruzem, a drzewa drewnem, po którym ślizgałby się wzrok miejskiego ogrodnika, widzącego

w nich jedynie liściasty kominkowy wsad. Ostrożnie wszedł na spiralne drewniane schody o łukowato wytartych na środku stopniach. Skrzyknięcie pod stopą było jak chropawy, nieco rozciągnięty w czasie klik, który uruchomił dotąd zastygłą tłumność ludzkich i zwierzęcych w tę i we w tę. Tysiące wejść, zejść, zbiegnięć, upadków, skulnięć. Rwetes szczenięć, miauków, wulgarnych pokrzykiwań, jęków, ale także czułość wyznań. Drewnianą poręcz przykrywał sarkofag poprzecieranych tu i ówdzie odcieni brązów, spod których nieśmiało prześwitywał dziewczyny seledyn. Dom trącił pleśnią, ale było w nim też coś, co zrazu wymykało się zmysłom, a co na półpiętrze poczuł dosadniej. Bioklimat. Pierwotna, zwierzęca mieszanina moczu, ekskrementów z lekkim kamuflażem rumiankowej świeżości, jaką mógł wnieść współczesny toaletowy papier. Poprawił maskę, dociskając do nosa aluminiowe skrzydełka, jednak bliżej szczytu jakieś subtelne nuty kobiecych perfum przeniknęły granice materiału. Ogarnęło go dziwne uczucie, że jest tutaj po to, aby dopełnić się jakiś cykl, który on, licencjonowany pielęgniarz, powinien zrozumieć. Poznać, że kamienica niczym zapłodniona ludzka komórka żyła już od pierwszego wbicia łopaty, a może nawet od momentu randki fundatora z projektantem, od pierwszego wspólnego szkicu z naniesionymi wymiarami, po którym zaczęła przrastać w piwnice, stropy, kominy, ściany nośne, działowe, więźbę, aż po łuskę dachówki, o którą rozcięły się wichry, prosząc się o różę, aby koniec końców ostateczność przemyśleć z rzemieślnikami i podobnie jak coś, co w ludzkim zarodku sprawia, że każda komórka wie, czym się stanie, tak ona wiedziała, jaką ważną częścią dla całości będzie każda ceglana pojedynczość, także ta, którą skrywał kartusz A. D. 1908. Anno Domini? A może powinien czytać Alfred, jakiś tam niemieckojęzyczny na D.? Fundator miejskiego Jugendstilu, któremu on właśnie domyka historię stu trzynastu lat, mniej lub bardziej dobrowolnej donacji, a jest przy tym refleksyjny, może nawet czuły, niczym kapłan idący z ostatnim namaszczeniem. Przystaje w klatkowych duszach i nasączony perfumami Terre d'Hermes pozwala, by secesyjna spirala wprowadziła w fugi jego zaprzyjaźnionego zabójcę szpitalnej woni. Pożegnalny akord, od nomen omen posłańca, który w drzwi ostatniego lokalu, szczeliną stylizowanego Post przepchnie do kamienicznych trzewi opłatek chusteczki i uprawomocni ostrzegawczy tytuł wpięty w elewację: „Uwaga! Prace Rozbiórkowe”.

Marek Stachowiak, autor tomu wierszy „Tata jest od tego”. Laureat konkursów literackich zarówno poetyckich, jak i prozatorskich. Na łamach „Pegaza” publikował wiersze i opowiadania.

TWÓRCY O TWÓRCZOŚCI

Olga Tokarczuk: Drodzy koledzy i koleżanki po piórze, młodzi adepci tego dziwnego zawodu, pisanie jest piekłem, ciągłą torturą, gotowaniem się w smole. Męczy, niszczy kręgosłupy, neurotyzuje, każe stawać w jakieś szranki, być nominowanym, aplikować, komentować, życzyć źle wrednemu recenzentowi, a w zdenerwowaniu po nieprzyjemnej recenzji gryźć palce. Ale pisanie jest także jednocześnie niebem – daje poczucie mocy, zmienia życie w ciągłe uprawianie hobby, pozwala obcować z mądrymi, interesującymi sprawami i ludźmi, zmusza do myślenia i podchodzenia do różnych spraw z nietypowej strony, każe stawiać sobie ciągłe pytania o to, kim się jest, rozwija empatię, i sprawia, że lepiej rozumiemy innych. No i uwalnia od konieczności porannego wstawania do pracy i wypruwania sobie żył na cudzą korzyść („Czuły narrator”, Kraków 2020, s. 144).

Guillaume Musso: Powieściopisarz to nie jest zawód dla normalnych ludzi. To praca dla schizofreników. Wymaga niszczącego podziału: żeby pisać, musisz się rozdzielić, żyć w rzeczywistości i poza nią jednocześnie. [...] Gdy piszesz, nie żyjesz w tym samym świecie co twoja żona, dzieci, przyjaciele. Tylko udajesz, że jesteś z nimi. Prawdziwe życie wieszysz ze swoimi bohaterami. To może trwać rok, dwa lata, pięć... [...]

Powieściopisarz to nie praca na pół etatu. Pisarzem jesteś przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nigdy nie masz wakacji. Jesteś zawsze spięty, wciąż na tropie nowych pomysłów, nowych wrażeń, nowych cech charakteru, które mogą wzbogacić osobowość jednego z twoich bohaterów. [...] Przed ekranem swojego laptopa jesteś demiurgiem, który może tworzyć i niszczyć losy innych. Kiedy poznasz tę euforię, nic innego już nigdy cię nie zadowoli („Sekretne życie pisarzy”, Warszawa 2020, s. 125-126).

Philip Roth: Powieść dostarcza autorowi kłamstwa, za pomocą którego ten wyjaśnia prawdę, której inaczej nie mógłby wyjaśnić.

Zora Neale Hurston: Nie ma nic gorszego niż noszenie w sobie historii, która jeszcze nie została opowiedziana.

Eugene Ionesco: Pisarz nie ma wakacji. Pisarz albo pisze, albo myśli o pisaniu.

Henry Miller: Po cóż innego są książki, jeśli nie po to, żeby pomagały w życiu, żeby zwiększyły w nas apetyt na codzienność.

Takie były ich początki

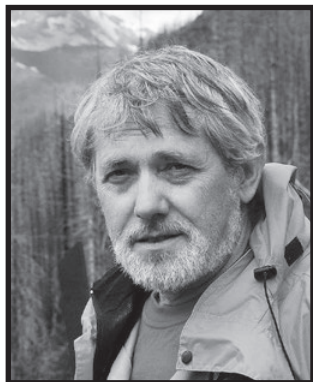
Ponad trzydzieści wydawnictw odrzuciło debiutancką powieść **Stephena Kinga** pt. „Carrie”.

Połowa londyńskich wydawnictw zlekceważyła pierwszy tom „Harry’ego Pottera” **J.K. Rowling** w przekonaniu, że to powieść zdecydowanie za długa dla dzieci.

Około dwudziestu wydawnictw odrzuciło „Diunę” **Franka Herberta**, najbardziej popularny bestseller science fiction.

Francis Scott Fitzgerald wykleił ściany swojego pokoju stu dwudziestoma dwoma listami odmownymi od gazet, którym proponował swoje opowiadania.

WIERSZE I PROZA LUDWIKA LIPNICKIEGO



31 stycznia 2021 r. zmarł Ludwik Lipnicki. Był przede wszystkim biologiem, specjalizował się w lichenologii, czyli w nauce o porostach. Uzyskał tytuł naukowy doktora habilitowanego, w Gorzowie wykładał w Akademii Wychowania Fizycznego i w Akademii im. Jakuba z Paradyża. Spod jego ręki wyszło ok. 200 nauko-

wych artykułów i książek o porostach, a także o ochronie przyrody i o przyrodzie jego ukochanego Drezdenka.

Bliski kontakt z naturą wyzwolił jego wrażliwość, a swoje odczucia i refleksje zaczął zapisywać w wierszach. Był autorem zbiorów poezji i książek prozatorskich, członkiem Związku Literatów Polskich. Śmierć zamknęła jego dorobek literacki.

Wiersze

Debiutował w 1986 r. wierszem „Pieśń jesienna” w piśmie „Przyroda Polska”. W 1991 r. przyjaciele z Tucholi wydali jego pierwszy tom wierszy pt. „O tym ci powiem”. Następne jego tomiki to „Zapięła się jesień” (Kraków 1994) i „Łapacze snów” (Kraków 2011). Ten ostatni tom kończy wiersz pt. „Moje wiersze”, który z perspektywy śmierci autora brzmi jak podsumowanie:

Moje wiersze zbierane
po lasach, po polach, po górach
między Ziemi sprawami
a wzniosłością nieba
tam zawieszono
istnieją, czekają,
może przemówią.

Wyrosną drzewem
co korzeniami tkwi w ziemi,
a koroną w niebie

I nie stworzenie
a tylko spisanie
i drogi do ludzi wskazanie

Ileż ich jeszcze pozostało między *Ziemi sprawami / a wzniosłością nieba*, których on nie zdążył zapisać?

W omówieniu „Łapaczy snów” pisałam: *Lubię twórczość Ludwika Lipnickiego przede wszystkim za to, że daje ona czytelnikowi poczucie porządku w świecie. My wszyscy stale za czymś*

gonimy, czegoś nam brak, wspominamy, kochamy, odrzucamy, tęsknimy, uciekamy. A Ludwik Lipnicki zna miarę czasu i sensu tego, co dzieje się w naturze i w ludziach („Pegaz Lubuski” 2012, nr 2 (49).

Pierwszy tom jego prozy nosi tytuł „Na niebie na ziemi”, a składa się z krótkich listów inspirowanych przyrodą, ale z podaniem tylko dziennej daty, bez roku. Bo przyroda żyje w rytmie rocznym i była taka sama w 2001 roku, gdy powstały te utwory, jaka będzie w 2021, choć autor już jej nie ujrzy.

Cudowny rytm tych przemian zatrzymał także w krótkim wierszu „Pochwała czasu”:

Chwała ci czasie wiosenny
za kwietnie dywany
chwała wam letnie dni
za ciepło i snów spełnienie
chwała ci jesieni
za złota, czerwienie i brązy
a kolor zadumy
ziemie zostawiony

Znany poeta Zdzisław Łączkowski wysoko cenił wiersze Ludwika Lipnickiego. Tak pisał: *Ludwik Lipnicki porażony został miłością do wszystkich i wszystkiego. Wędrując jak święty Franciszek z Asyżu, tylko tyle, że po polskiej ziemi, pochyla się z troską, uwagą i wielkim miłosierdziem nad każdym stworzeniem, w każdym bowiem stworzeniu dostrzega piękno i głęboki sens jego istnienia. Rzeczywiście poprzez tę twórczość płynie wartkim nurtem ogromny strumień poezji franciszkańskiej; płynie dobro i piękno. Oddanie się w miłości człowiekowi i przyrodzie* (*Powrót na ziemię*, „Pegaz Lubuski” z 1994 r.).

Proza

Badania naukowe Ludwik Lipnicki prowadził na terenie Borów Tucholskich, wiele jego wierszy tam się urodziło. Również tam jest jezioro z najpiękniejszymi na świecie zachodami słońca. Tak był nimi zafascynowany, że wprowadził je jako motyw przewodni do powieści pt. „Zachód słońca”, tyle że nie chodzi o Słońce jako planetę, a o cykl obrazów namalowany przez głównego bohatera – malarza. A tematem głównym powieści jest miłość, głęboka, gorąca, ale i nieszczęśliwa. Każdy dzień kończy się zachodem słońca, czyli kresem czegoś. Ale my wiemy, że następnego dnia słońce znów wzejdzie i ta świadomość cyklu daje nam nadzieję do życia. Nawet w nieszczęśliwej miłości trzeba zachować nadzieję – zda się tłumaczyć nam autor.

Bardzo wysoko oceniła tę książkę Renata Ochwat: *Od powieści pt. „Zachód słońca” trudno się oderwać z kilku przyczyn. Po pierwsze, sama narracja poprowadzona w niebanalny sposób.*

Życie Pawła czytelnik poznaje bowiem w kilku planach czasowych. Jest więc akcja dziejąca się teraz, ale są też liczne retrospektywy. I co zaskakujące, one nie burzą akcji, nie spowalniają jej, wręcz przeciwnie, dynamizują, na zasadzie poetyckiej średniówki. Uatrakcyjniają dramaturgię wydarzeń. Kolejną przyczyną, która trzyma czytelnika, jest styl, w jakim ta powieść została napisana. To elegancka polszczyzna, jaką spotyka się coraz rzadziej. [...] Powieść Ludwika Lipnickiego, po ostatnie wreszcie, daje nadzieję, jest mocnym przekazem – trzeba walczyć do samego końca, bo nikt naprawdę nie wie, co się czai za następnym rogiem ulicy. Nie wolno rezygnować. „Zachód słońca” to ważna książka, znakomicie napisana i mimo trudnego tematu, dająca nadzieję. Rządki przykład tego, że literatura może być jakże atrakcyjnym podręcznikiem, który z mocą podpowiada, jak się zachować, kiedy przychodzi trudny moment. Nie nudną cegłą czy wystylizowanym wydumkiem literackim. Tę powieść nie tylko warto przeczytać, ją po prostu przeczytać trzeba (Walczyć trzeba do końca, „Pegaz Lubuski” 2012, nr 2).

Szkoda, że ta powieść przeszła bez większego echa. Na szczęście jej egzemplarze znajdują się nie tylko w Wypożyczalni Głównej, ale także w wielu filiach, gorąco więc ją polecam do przeczytania.

Za tom prozy „Na niebie na ziemi” Ludwik Lipnicki dostał nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Zdzisława Morawskiego. Ale największym jego sukcesem był Lubuski Wawrzyn Literacki, który dostał w 2008 r. za powieść „Pan Iko – powieść na wtorek”. To opowieść o jednym dniu bohatera żyjącego tu i teraz, w okolicznościach często inspirowanych gorzowskimi realiami. Tyle że bohater jakby wyszedł z Kabaretu Starszych Panów: dobroduszny, lekko naiwny, a przecież prawdziwy.

Zielonogórski pisarz i krytyk literacki Czesław Markiewicz tak pisał o książce: *Wszystko w „Panu Iko” nanizane jest na wąty czas jednego dnia i skarłatą przestrzeń domostwa głównego... jednak bohatera. W tym, znowu pozornym, ograniczeniu znajduje panoramę człowieczej naiwności, którą cechują czystość intencji i dziwnie tkliwa nieporadność. Myśląc o przestaniach, takie przed-*

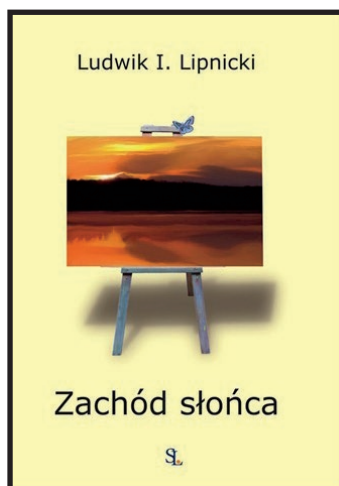
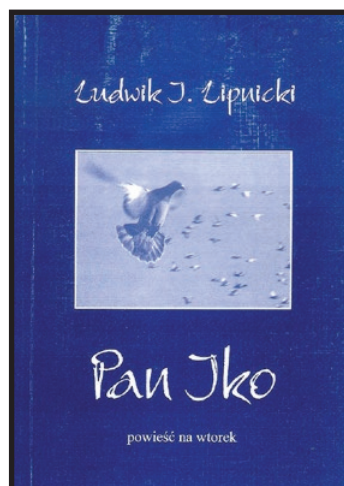
stawienie ucieleśnia już ideę ludzkiej pokory wobec nieokiełznanego intelektualizmu [...]. Ta powieść jest dla mnie propozycją bezbolesnej ucieczki w świat sublimacji; w świat, który jest rugowany z naszej świadomości podniecającą, aczkolwiek najczęściej bolesną tym razem, realnością tego, czego doświadczamy oglądając telewizję albo czytając codzienną prasę [...]. „Pan Iko” to niebezpiecznie inteligentna powieść. Lipnicki z profesorskim dystansem dobrotliwie szydzi z literatury rozumianej jako wieszczenie prawd objawionych. [...] „Pan Iko”, wbrew uniwersalnym pozorom, stwarza olbrzymie możliwości konotacyjne – ten postmodernistyczny urok przechodzenia od tego co anachroniczne, do tego co odkrywcze i ożywcze. Od „czarnego wtorku” na Wall Street do szczęśliwego snu Starszego Pana, Profesora Tutki z obrzeża Puszczy Noteckiej („Pro Libris” 2008, nr 2).

Do tego spisu książek Ludwika Lipnickiego dodać należy „Ducha Czarnej Wody”. Jest to zbiór opowieści i anegdot związanych z naukowymi badaniami i z ludźmi nauki, wśród których autor się obracał. Książka trochę prywatna, a jednocześnie oddająca klimat naukowych przyjaźni i sporów.

W „Pegazie Lubuskim” lub w „Pro Libris” jest kilka niewielkich opowiadań Ludwika Lipnickiego, bo ten gatunek też lubił.

Czy będą następne?

Czekaliśmy, kiedy zgodzi się wydać następne swoje utwory. Po podróżach do Stanów Zjednoczonych, szczególnie do tamtejszych parków narodowych, napisał cykl reportaży, które czytane były na antenie Radia „Zachód”. W ostatnich latach Ludwik Lipnicki zapisywał rodzinne opowieści, które stale mu się rozrastały w obszerną sagę. Z fascynacją odkrywał losy członków rodziny, która pochodziła z brzegów mickiewiczowskiej Świtezi. Ciągle był zdania, że ta księga jeszcze nie jest gotowa do druku. Więc choć zamknięta jest liczba książek wydanych za akceptacją Ludwika Lipnickiego, to może jeszcze poznamy utwory, nad którymi pracował. A na pewno są tego warte, nawet jeśli nie mógł ich dokończyć.



Promocja książki i literatury w Książnicy Herberta – przegląd wydarzeń w I półroczu 2021 r.

Globalna epidemia COVID-19 narzuciła instytucjom kultury, w tym bibliotekom, nowe zasady pracy. Wydarzenia kulturalne odbywają się hybrydowo, łącząc możliwość uczestnictwa online i fizycznie w siedzibie instytucji lub wyłącznie w sieci. Obecność bibliotek w mediach społecznościowych znacząco wzrosła w porównaniu z czasem sprzed pandemii, co wiąże się z przeniesieniem sporej części oferty kulturalnej do internetu. Fakt ten można odnieść również do gorzowskiej Książnicy Herberta, gdzie w związku z zaistniałą sytuacją odnotowano wielokrotny wzrost zainteresowania na kanale YouTube, na którym wśród bogatej oferty kulturalnej znajduje się wiele wydarzeń literackich. Wśród nich m.in. **promocje książek, spotkania autorskie** i rozmowy z gorzowskimi, i nie tylko, pisarzami.

Spotkania w sieci

Na otwarcie roku, 7 stycznia, gościem Biblioteki była **Aleksandra Szymaniak**, autorka powieści dla młodzieży „Slatron. Przeznaczenie” (wyd. Gdynia 2016), mówiącej o dojrzewaniu bohaterki, która z czasem odkrywa w sobie niezwykle moce. Mimo młodego wieku pisarka ma już wielu fanów.

19 stycznia do przeczytania swojej najnowszej, osadzonej w realiach gorzowskich powieści „Matylda II. Jak zabić muchę?” (Malbork 2020) zachęcała **Elżbieta Halina Daszkiewicz**. Tytułowa bohaterka, obok troski o rodzinę i pieczenia ciast, realizuje się, uczestnicząc w życiu kulturalnym miasta, stąd w powieści wiele rozpoznawalnych dla czytelnika osób, miejsc i wydarzeń, jak Orszak Trzech Króli czy gorzowski finał WOŚP.

20 stycznia o swojej drodze twórczej, m.in. zdobywaniu literackich szlifów w Robotniczym Stowarzyszeniu Twórców Kultury czy w Klubie Poetów Okrągłego Stołu, opowiadała **Janina Jurgowiak** – gorzowska poetka i malarka, autorka zbioru wierszy „Odroczenie” (Gorzów 2017) oraz „Wersje i dywersje” (Gorzów 2019).

27 stycznia **Wanda Milewska**, pisarka, dziennikarka radiowa i prasowa, rekomendowała swoją najnowszą publikację „Ameryka miła sercu. Kansas – kraina uśmiechu” (Warszawa 2020). Książka, w której wiele wątków osobistych, to nie tylko podróż w głąb siebie, ale równocześnie reporterski, pełen detali, opatrzony refleksją zapis obrazu współczesnej Ameryki z całą jej różnorodnością.

25 marca odbyła się promocja bajeczki terapeutycznej autorstwa psycholog **Martyny Brzozowskiej** „Niesamowite przygody Misia Wędrowniczka” (Gorzów 2021), która ukazała się nakładem WiMBP oraz Gorzowskiego Centrum Pomocy Rodzinie w ramach promocji idei rodzicielstwa zastępczego. Jak podkreśliła autorka, książeczka ma być wsparciem, narzędziem do zrozumienia i wzmocnienia relacji między przybranym rodzicem i dzieckiem, pomocą w zrozumieniu emocji, które przeżywają obie strony.

12 maja, z okazji XVIII edycji „Tygodnia Bibliotek” przebiegającego pod hasłem „Znajdziesz mnie w bibliotece”, z czytelnikami spotkała się **Katarzyna Mak**, autorka powieści obyczajowych, m.in. „Garść miłości, okruchy szczęścia” (Katowice 2020), poruszającej tak istotne tematy jak zdrada, wy-

baczenie czy skomplikowane relacjemiedzy ludzkie. Tego dnia gośćmi Książnicy były również gorzowskie literatki **Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk**, **Beata Patrycja Klary** i **Wanda Milewska**, ale także osoby spoza środowiska, m.in. posłanka **Krystyna Sibińska**, prof. **Beata Orłowska** czy animatorka społeczna **Katarzyna Miczał**, w których życiu książka zajmuje również ważne miejsce.

Tuż przed sezonem wakacyjnym Biblioteka zaproponowała jeszcze dwie interesujące lektury. Pierwsza to promowana 10 czerwca książka zielonogórskiego dziennikarza **Andrzeja Flügela** „Schowani do wora. Wspomnienia byłego wychowawcy więziennego” (Gdynia 2020), która stanowi bezkompromisowy zapis przeżyć związanych z trwającą blisko dekadę pracą autora za więziennym murem, ukazuje niepisane prawa i twarde zasady obowiązujące w przedstawianym świecie, a jednocześnie obnaża absurdalność peerelowskiego systemu penitencjarnego. Jest to również książka o zderzeniu ideałów z często brutalną więzienną rzeczywistością.



Andrzej Flügel z prawej, spotkanie prowadził Zbigniew Borek

Zaprezentowana dzień później „Ławka” (wyd. Dziegielów 2021) to powieść szczecińskiego teologa i duchownego luteńskiego **Sławomira Sikory**, opowiadająca o skomplikowanej i trudnej przyjaźni dwóch mężczyzn, ale także – co podkreślił autor – książka o konieczności zmierzenia się z przeszłością, o poszukiwaniu wiary w siebie i akceptacji.



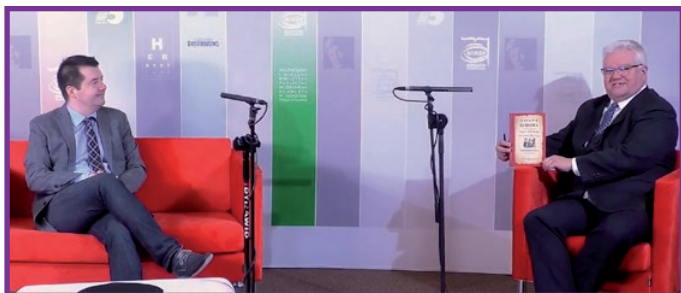
Sławomir Sikora i Agnieszka Moskaluk, która spotkanie prowadziła

O pasji i książkach

Ciesząc się zainteresowaniem formą dotarcia z książką do potencjalnego czytelnika są również **wywiady**, zwłaszcza z gorzowanami o znanych nazwiskach. **Agnieszka Pospieszna** z Informatorium WiMBP w kolejnych edycjach programu „**Tak, czytamy... o pasji i książkach**” rozmawiała o literackich fascynacjach m.in. z pisarką **Anną Szymaniak** (12 stycznia), z projektantką mody **Wiolettą Toruńczak** (8 marca), z plastyczką **Iwoną Mazur** (21 maja) oraz **Davidem Clune** (7 kwietnia) – mieszkającym w naszym mieście irlandzkim aktorem, reżyserem i terapeutą, natomiast **Emilia Mioduszevska** – z wizażystką **Anną Piechocką**. 2 kwietnia wywiadu udzieliła **Joanna Galant**, zaproszona w progi Biblioteki Pana Kleksa autorka „**Bajek leśnych**”.

Herbert w Gorzowie

Inną z form przekazu treści związanych z literaturą, jej popularyzacją, przyjętych w okresie pandemii przez Bibliotekę Herberta są **rozmowy o pisarzach**. Niektóre z nich przybrały **charakter cykliczny** i miały już po kilka odsłon, jak np. „**Herbert w Gorzowie**”, w którym o poecie i jego wierszach, wskazując m.in. na uniwersalny i kulturowy kontekst utworów i nawiązania literackie, rozmawiali **Sławomir Szenwald** – dyrektor Książnicy i prof. **Paweł Leszczyński** – prezes gorzowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego. Przedmiotem ich rozważań były m.in. utwory „**Boski Klaudiusz**” (10 lutego) i „**Potwór Pana Cogito**” (20 maja). Autorzy cyklu o Herbercie w jednym ze spotkań (9 marca) zachęcali też do poznawania autorów starożytnych, polecając na początek lekturę „**Żywotów cesarów**” Swetoniusza – także dla lepszego zrozumienia twórczości patrona Biblioteki, w którego twórczości tak wiele przecież odwołań do antyku.



O Herbercie rozmawiają prof. Paweł Leszczyński i dyr. WiMBP Sławomir Szenwald

Moje literackie fascynacje

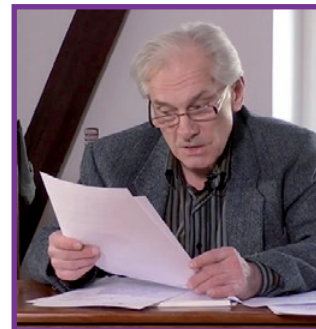
Popularyzacji poezji poświęcony jest również cykl autorski gorzowskiej poetki **Krystyny Jarosz** „**Moje literackie fascynacje**”. Bohaterami kolejnych spotkań, łączących prezentację twórczości z recytacją, byli m.in. **Konstanty Ildefons Gałczyński** (15 marca), **Maria Pawlikowska-Jasnorzewska** (20 kwietnia), **Bolesław Leśmian** (10 maja) i **Zuzanna Ginczanka** (3 czerwca). Literackimi fascynacjami podzieliła się również **Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk**, prezentując 6 kwietnia czytelnikom swoje ulubione lektury.

Rocznice

Nie zabrakło też **wydarzeń rocznicowych**, w szczególności tych **poświęconych patronom roku 2021**. Niespodzianką dla wielbicieli żywego słowa, i to w znakomitej interpretacji, przygotowała gorzowska Książnica 9 kwietnia w związku z przypadającą

w tym roku 200. rocznicą urodzin **Cypriana Kamila Norwida**. W programie „**Rzecz o wolności słowa**” poezję wielkiego romantyka recytował **Michał Anioł** – aktor Teatru im J. Osterwy w Gorzowie.

W cyklu „**Ze Stanisławem Lemem do gwiazd**” – z okazji 100. rocznicy urodzin – zostały zaprezentowane utwory tego uznanego na całym świecie pisarza i futurologa, m.in. „**Bajki robotów**”, „**Powrót z gwiazd**” i „**Jak ocalał świat**”. Na okoliczność stulecia urodzin zarejestrowano również rozmowy o twórczości i interpretacje wierszy **Krzysztofa Kamila Baczyńskiego** (19 marca) i **Stanisława Różewicza** (24 kwietnia). Gorzowska Biblioteka nie zapomniała też o przypadającym 25 marca **Międzynarodowym Dniu Czytania Tolkiena**. Z kolei 50. rocznicę śmierci **Czesława Janczarskiego** upamiętniono, przygotowując 18 maja pięknie zilustrowaną interpretację utworu dla dzieci „**Miś Uszatek**”.



Michał Anioł czytał C.K. Norwida

Dla najmłodszych

Dzieciom dedykowano wiele innych propozycji, rekompensując im niemożność bezpośredniego kontaktu z książką w bibliotece. **Anna Porowska** – wokalistka, gitarzystka i autorka tekstów – przygotowała cykl spotkań „**Baśnie dźwiękiem pisane**”, w których zaprosiła dzieci w literacko-muzyczną podróż po świecie baśni **braci Grimm**, m.in.: „**O sześciu łabędziach**”, „**O czterech muzykantach z Bremy**” i „**O rybaku i jego żonie**”. Znani gorzowianie, podobnie jak bibliotekarze, chętnie udzielali swego głosu, aby osłodzić najmłodszym czas pandemii, prezentując perełki polskiej i światowej literatury dziecięcej.



Anna Porowska śpiewa i gra na gitarze

Promocją nowości...

...wydawniczych, o które wzbogaciły się zasoby Biblioteki Herberta, zajmują się nie tylko autorzy, krytycy literacy (tu godny polecenia zamieszczony na stronie internetowej WiMBP cykl artykułów krytycznoliterackich „**Czytaj z Krystyną Kamińską**”), ale też sami bibliotekarze. 30 kwietnia zainicjowana została seria plenerowych spotkań „**Na hamaku i... na leżaku**” **Magdaleny Matuszewskiej** z Działu Zbiorów Regionalnych, natomiast **Grzegorz Urbanek** regularnie omawiał nowości tego działu.

Naprzeciw potrzebom osób niedowidzących wyszli pracownicy Oddziału Integracji i Aktywności – **Beata Toruńska**, **Sandra Szczudło-Ziemianin** i **Olga Smolec-Kmoch** – prezentując w kolejnych spotkaniach pod hasłem „**Czytaj z nami wielkimi literami**” książki pisane dużą czcionką.

O tym, co nowe i ciekawe w Oddziale Dziecięcym, opowiadały **Magdalena Chorkawa** i **Klaudja Makasów**.



Magdalena Matuszewska

Dyskusyjne Kluby Książki

Podobnie jak większość wydarzeń literackich w dobie Covid-19, także spotkania **Dyskusyjnego Klubu Książki** odbywały się w trybie online. 26 stycznia członkowie Klubu skupionego wokół Filii nr 6 dzielili się refleksjami nt. historyczno-biograficznej powieści **Madeleine Masson** „Wojna moja miłość” (Czerwonak 2012), której bohaterką jest as wywiadu **Krystyna Skarbek**, polska hrabianka związana ze słynnym SOE w Londynie. Książka prezentuje nowe, nieco inne od polskich doświadczeń, spojrzenie na II wojnę światową. 25 lutego dyskutowano o powieści **Katarzyny Enerlich** „Akuszerka z Sensburga” (Warszawa 2019), opowiadającej dzieje młodej, doświadczonej przez los kobiety, której pasją – wbrew wcześniejszym marzeniom – stają się zielarstwo i akuszerstwo. Warto zwrócić uwagę na tło historyczne, ukazujące, jak podstępnie w życie społeczności Sensburga wkrada się ideologia faszyzmu. Sensualizm opisów sprawia, że – jak stwierdzili klubowicze – powieść pachnie ziołami. 13 kwietnia dzielono się refleksjami na temat książki „Kobieta w wielkim mieście” **Katarzyny Olubińskiej** (Kraków 2020), zawierającej osiem wywiadów ze znanymi, walczącymi o swoje marzenia kobietami, m.in. z Magdaleną Lamparską, Anną Karwan i Joanną Jędrzejczyk. Wyowiedzi bohaterek autorka przeplata własnymi przemyśleniami, starając się zdefiniować kobiecość i rolę kobiety we współczesnym świecie. 20 maja przedmiotem dyskusji był reportaż **Marty Spaly** „Na marne” (Wołowiec 2019), w którym autorka, pisząc o food-sharingu, poddaje w wątpliwość powtarzane w mediach opinie o rosnącej skali marnowania żywności.

Nowa Marchia prowincja zapomniana

Obok tej stricte literackiej w mijającym półroczu działalność popularyzatorska gorzowskiej Książnicy obejmowała też tradycyjnie tematykę regionalną (kolejne spotkania z cyklu „**Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie**” – 31 marca **dr Arkadiusz Michalak** – wykład „Intrygująca enigma”, 27 kwietnia **Roland Semik** – wykład „Ochrona zabytków i opieka nad zabytkami w powiecie ślubickim”) oraz szereg innych interesujących zagadnień dotyczących kultury, hi-



Dr Arkadiusz Michalak (z lewej) i Grzegorz Urbanek prowadzący cykl spotkań

storii czy współczesności, podejmowanych m.in. w ramach kolejnych edycji „**Rozmów u Herberta**” czy „**Ameryki w twojej bibliotece**”.

Wystawy sztuki

Wśród oferty kulturalnej Biblioteki ważne miejsce zajmuje też promocja plastyki, czego przykładem zorganizowane przez Dział Zbiorów Specjalnych wystawy, m.in. fotografii **Leszka Harasimowicza**, malarstwa **Ewy i Radosława Krawczyków** i grafiki **Roberta Ganczarskiego**, czy przez inne agendy, jak DZR, odpowiedzialny za **Ogólnopolską Wystawę Fotografii KONFRONTACJE 2020**.

...i muzyka

Wiele uwagi gorzowska Książnica poświęca też – realizowanej online, m.in. poprzez spektakle łączące dźwięk i słowo oraz promocję zbiorów – **edukacji muzycznej**.

Wszystkie propozycje do obejrzenia na kanale YouTube i Facebooku WiMBP.



Anna Sokółka

Leszek Harasimowicz



CZASOPISMO LITERACKIE pod auspicjami WiMBP i ZLP w Gorzowie Wlkp.

Wydawcy: Oddział Związku Literatów Polskich w Gorzowie Wlkp. oraz Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, ul. gen. Wł. Sikorskiego 107, 66-400 Gorzów Wlkp.

P.o. red. nac.: Krystyna Kamińska, tel. 515 198 680, e-mail: kaminska.arsenal@wp.pl, sekretarz red.: Danuta Zielińska, tel. 95 727 70 70, e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl.

Współpraca: Jerzy Alski, Anna Dominiak, Beata P. Klary, Ewa Rutkowska, Anna Sokółka. Zdjęcia: Kazimierz Ligocki oraz archiwa wydawcy i autorów. Skład komputerowy: Daniel Besta.

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne na stronie www.wimbp.gorzow.pl.

ZASADY WSPÓŁPRACY

Przekazując materiały do redakcji czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski” wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w wersji online,
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich,
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów,
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

Karol Wojdyło

Legenda o królu, który rozpaczliwie szukał tronu

Dawno temu, za górami,
za lasami i za rzeką,
nie wiem gdzie, tak między nami
w każdym razie gdzieś daleko...

zdarzyło się, że król wraz ze swoją świtą udali się w podróż po okolicznych włościach. Na taką okazję przygotowany był specjalny powóz – bogato zdobiona malowidłami karetka ze szczerego złota, zaprzężona w dwanaście śnieżnobiałych koni. Monarcha, występując w niej, chciał pokazać poddanym, na co przeznaczone są ich podatki. Ci z kolei, widząc, że środkiem ich wioski przejeżdża królewski orszak, przerywali na chwilę znojną pracę w upale, by uklonić się najmożliwszemu władcy. Niewykonanie tego gestu wiązało się z subtelnym upomnieniem oraz nabiciem na pal.

Zbliżał się wieczór i obchód miał się ku końcowi. Podczas drogi powrotnej władca niespodziewanie rozkazał woźnicy zatrzymać zaprzęg. Powóz stanął gwałtownie pośród łąnów żółknącego owsa. Rycerze spojrzeli po sobie z wyrazem głębokiego zdumienia.

Do króla natychmiast podbiegł przyboczny strażnik i klękając przed jego obliczem, zapytał:

– Czy coś się stało, mój panie?

– Jeszcze nie, ale lada moment się stanie! Poczułem w brzuchu silne parcie. Muszę sobie gdzieś tu ulżyć!

– Jesteśmy godzinę drogi od zamku. Jeśli Wasza Wysokość raczyłby zaczekać...

– Nie mogę dłużej czekać! Obzarłem się dziczyzny i ożłopałem piwską, aż dziw bierze, że zdążyłem was ostrzec. Prowadźcie mnie do najbliższego wychodka, inaczej skażę was na śmierć za skalanie królewskich szat!

– Oczywiście, mój panie. Twoja potrzeba jest dla mnie rozkazem.

Niestety karoca, mimo wielu udogodnień, nie była wyposażona w sanitariaty. Nie zmieściły się one po wstawieniu do środka jacuzzi, stołu bilardowego i lodowiska. Służący musiał więc rozjeżdżać się po okolicy w poszukiwaniu jakiegoś „ustronnego miejsca”.

Nie było to jednak łatwe zadanie. Królewskie pośladki, przyzwyczajone do wygod zamkowych łazienek, wymagały godnego przybytku. Władca nie mógł sobie wszakże pozwolić na skorzystanie z pobliskich zarośli. Taką hańbą okryć się mogli tylko przedstawiciele najniższej warstwy społecznej.

Jak okiem sięgnąć rozciągały się falujące płowymi kłosami zboża i miedze pełne zielonej trawy. Okolica zdawała się być niezamieszkała. Na szczęście po chwili strażnik dostrzegł słup siwego dymu unoszący się nad jednym z wzgórz.

– Nieopodal jest zagroda, Wasza Wysokość! Tam się udamy! – zawołał przez okienko do środka karety.

– Tylko się pośpiesz, bo każę cię wtrącić do lochu!

Strażnik dał woźnicy znak do odjazdu. Rozległo się głośnie trzaskanie z bicza i po kilku chwilach powóz zajechał do obejścia małej wiejskiej chaty.

Gospodarz, słysząc stukot kopyt, przerwał młockę i założywszy spodnie, wyszedł ze stodoły. Widząc zmierzającego ku niemu strażnika, przemówił doń drżącym głosem:

– Witajta, jaśnie wielmożni panowie! Cóż za kłopotliwa wizyta! Jeśli chodzi o tę zaległą daninę, to ja wszyściutko oddam, muszę ino...

– Gadaj, kmieciu, czy jest tu toaleta?

– Że co, proszę?

– Ustępl! Znasz-li chyba? Ubikacja!

– Pan wybaczy, nie rozumiem.

– No kibel, czy jest!? Czy masz tu, buraku, klopl?

– Aaa, to trza było mówić, że rozchodzi się panu o sracz. Nie, u mnie ni ma takich wynalazków. My tu w chałupie to po bożemu, rach-ciach do garnuszka i chlust do rzeki. Ale u Kazka, somsiada – ło tam mieszka, na drugim końcu wiochy – to postawili niedawno sławojkę na podwórku. Ciekawe ino, skąd na to piniążki wzięli, złodzieje! Tak czy siak, jak chcesz pan luksusów, to pojedźże se do tego łachmyty.

Konie ze wściekłym impetem ruszyły we wskazaną stronę.

– Prędzej, bo każę cię rzucić lwom na pożarcie! – władca przez całą drogę wygrażał strażnikowi.

Ten zaś, po dotarciu do sąsiedniego gospodarstwa, nie tracił już czasu na próżne rozmowy i od progu ryknął:

– Gadaj, wieśniaku, gdzie masz sracz!

Zaskoczony chłop odskoczył od pługa i ciągnącej go świni. Nie wypowiedział ani słowa, tylko wskazał palcem stojącą na stromej górcie budę z wrytym w drzwiach serduszkim.

– Na co czekacie!? – zmarszczył się groźnie władca. – Wieźcie mnie na górc!

Konie postąpiły do przodu, lecz zaraz zapadły się po kolana w grząskim błocie, staczając się i przewracając. Chłop, widząc te daremne zmagania, odezwał się nieśmiało:

– Miłościwy królu, tą furmanką to tam ni podjedzieta, trza ino wysiąść i pieszo poleżć.

Doprowadzony do białej gorączki władca wysiadł z karety i trzymając się nerwowo za brzuch, zaczął z wolna wspinać się pod górę. Skórzane cizmy z diamentowymi zdobieniami z każdym krokiem zanurzały się coraz bardziej w rozmokłej ziemi. Sapiąc jak kowalski miech, król miotał na wszystkie strony przekleństwa:

– Bodajbyś szczeł, wieśniaku! Czekaj no, niech li stamtąd wróć! Będziesz nie tylko obowiązany do pańszczyzny, pozbawiony jakichkolwiek przywilejów obywatelskich i sprowadzony do roli niewolnika! Zabiorę wszystko, co ci stało! A co do ciebie, strażniku, to szykuj się na kąpiel w fosie! Daję wam słowo króla, że gdy tylko wyjdę z tej parszywej budy, to...

Krzyki monarchy dało się słyszeć do czasu, aż zniknął za drzwiami sławojki.

Wszyscy zgromadzeni stali w milczeniu, obawiając się kary, jaka spotka ich po powrocie króla. Nieznośną ciszę przerywały tylko dobiegające ze szczytu odgłosy.

Tymczasem, król wyszedł z wygodki i radośnie podskakując, zbiegł na dół.

Okazało się, iż poczuł tak wielką ulgę, że nie złościł się już ani na strażników, ani na chłopca. Ba, w podziękowaniu za użyczenie wychodka uwłaszczył go i ofiarował mu dwieście morgi ziemi. Po serdecznym pożegnaniu wszedł do karety i wrócił do swojego zamku, gdzie żył długo i szczęśliwie (przynajmniej jak na standardy średniowiecza, bowiem w wieku trzydziestu lat zmarł w męczarniach na świerzb).

Tak to było, przyjaciele, i od tamtej pory po dziś dzień mówi-my na kibelek: „tam, gdzie król piechotą chodzi”.

Dla Katarzyny – starszej córki Ireneusza

Kasia

Młoda para zakochanych – w swoim czasie
 Pragnie dziecka i na ogół chce mieć Kasię.
 Potem wszystko się już dzieje jednym ciurkiem:
 Najpierw ciąża, potem radość: mamy córkę!

Rośnie dzielnie – prawie wcale nie choruje;
 I zabawki i powietrze ciągle psuje;
 Czasem w oku jasna iskra jej zaświeci
 I zapyta mamy, skąd się biorą dzieci.

Mama z tatą mówią zwykle jednogłośnie,
 Że powiedzą jej konkretnie, gdy dorośnie;
 Ona rośnie wtedy w oczach – jak drabina,
 Aż wyrasta z małej Kasi – Katarzyna.

Wiersze dla Igi i Ady, córek Katarzyny,
 a wnuczek Ireneusza, autor ma w planie

Dla Joanny – młodszej córki

Joasia

Jeszcze w trawie szkli się rosa, a Joasia rześka, bosa,
 biegnie łąką i zostawia drobny ślad,
 chociaż nic nie musi musieć, kocha życie, nie chce gnuśnieć,
 obojętnie, ile sobie liczy lat.

Nie dla Aśki praca w biurze, ona kocha świat, podróże,
 jej nie sięga biurokracji szorstki bat.

Aśka chwili nie zmitręży, każdy problem przezwycięży,
 i przeważnie nie ponosi żadnych strat,
 nie przysypia i nie ziewa, gra, maluje albo śpiewa,
 artystyczna dusza z muzą za pan brat,
 nie ma fochów, nie ma dołów, może ona od aniołów?
 Kto ja spotka, ten z pewnością będzie rad.

Dla Leona, syna Joanny, a wnuczka Ireneusza, gdy dorośnie

Leon

Nie wiadomo, z jakich źródeł się to wzięło,
 że od dzikich lwów drapieżnych powstał Leon;
 jest to pogląd bałamutny i niesłuszny,
 bowiem Leon jest człowiekiem dobrodusznym.

Chociaż spore ma bicepsy, silne dłonie,
 chroniąc słabszych, zawsze staje w ich obronie.
 Leon umie się wykazać także pracą;
 nie zazdrości tym, co łatwo się bogacą.

Gdy siwieje i ma czoło pobrużdżone,
 nadal ciepłym i serdecznym jest Leonem;
 swoim wnukom nie zabrania zbytków wszelkich,
 a w kieszeniach zawsze dla nich ma karmelki.

Dla Karola – brata Ireneusza

Karol

Gdy zasuwam piechotą po polach,
 czasem w drodze spotykam Karola;
 idzie zwawo rytmicznym pośpiechem,
 sam dla siebie przeważnie jest szefem.

Czy po drodze zaścianek, czy wiocha,
 on brnie dalej, nie lubi się cofać.
 Nie zabiega o licznych wasali,
 nie bryluje, nie lubi się chwalić.

Słabeuszy ma zwykle w pogardzie,
 nie jest słodki, wylewny, lecz twardziel,
 aby rosnać i wciąż iść do przodu,
 woli zamiast przyjaciół mieć wrogów.

Dla Ewy – ulubionej kuzynki Ireneusza

Ewa

Karty Biblii wszem i wobec oznajmiają,
 że przed laty Stwórca Ewę wygnał z raj.
 Na początku wcale jej nie było łatwo,
 a szczególnie kiedy stała się pramatką.

Bo musiała wychowywać swoje dzieci
 i przykładem przyszłym matkom także świecić;
 lecz posłańcy opatrności wieszczą o tym,
 że ją w niebie znów chcą przyjąć do wspólnoty.

By się łatwiej odnalazła w gronie świętych,
 utworzono dla niej fundusz na prezenty;
 w imieniny każda Ewa więc dostaje
 wsparcie z niebios zwane świętym Mikołajem.

Dla Barbary – przyjaciółki ze Szczecina

Barbara

Chcę Barbarę uczcić dzisiaj ciepłym słowem;
 te kobiety nigdy nie są jednakowe.
 Wiele sprzecznych uczuć serce moje targa,
 bo poznałem w życiu kilka różnych Barbar.

Wiedzą wszyscy od Katowic do Stolicy,
 że w Barbarze zakochani są górnicy,
 a gdy etos takiej pracy upadł nisko,
 to Barbara poświęciła się artystom.

To odważna żywiołowa jest natura;
 znajdzie pomoc, gdy artysta buja w chmurach.
 Choć się w mediach tania papką dzieci karmi,
 to Barbara dużo droższa jest od Barbie.

Dla Zbigniewa – przyjaciela ze Szczecina

Zbigniew

O słabostkach nie ma mowy u Zbigniewów,
 każdy Zbyszek nosi w sobie zbytek gniewu.
 Dnia jednego nie potrafi biernie przeżyć;
 przegra zawsze ten, co w walce z nim się mierzy.

W nim odwaga całe życie rośnie w siłę;
 Burzy zamki, rusza z posad świata bryłę.
 Jako belfer wie, kto ściaga, kto pracuje,
 bumelantom bez skrupułów stawia dwóje.

Nie powali go zmęczenie ani przesyty;
 on porażki wciąż wymienia na sukcesy;
 a gdy wraca po dniu zwycięstw do swej chaty,
 prosi cicho: Żono, zaparz mi herbaty.